

WILLIAM FAULKNER

AZYL

PRZEŁOŻYŁA: ZOFIA KIERSZYS

I

Spoza zasłony krzaków otaczających źródło Wytrzeszcz patrzył na człowieka, który pił wodę. Do źródła prowadziła od szosy prawie niewidoczna wśród zarośli ścieżka. Wytrzeszcz patrzył, jak ten człowiek – wysoki, szczupły mężczyzna bez kapelusza, w zniszczonych spodniach z szarej flaneli, z przewieszoną przez ramię tweedową marynarką – podchodzi ścieżką i klęka, żeby napić się źródlanej wody.

Źródło wytryskiwało przy korzeniu buka i odpływało fałdując, rzeźbiąc piaszczyste dno. Otaczała je gęstwina trzciny i głogów, cyprysów i figowców, schlapanych słonecznym blaskiem jak gdyby znikąd. Ptak, niewidoczny i tajemniczy, a przecież gdzieś w pobliżu, zaśpiewał trzy nuty i ucichł.

Ten człowiek pił schylony nad źródłem, nad splekanym, rozbitym odbiciem swojej twarzy w wodzie. Prostując się zobaczył też popękane, rozedrgane odbicie słomkowego kapelusza Wytrzeszcza, chociaż przedtem nie słyszał żadnego szmeru.

Zobaczył po drugiej stronie źródła jakiegoś niskiego człowieka, który stał z rękami w kieszeniach, z papierosem sterczącym z kącika ust. Miał na sobie czarne ubranie, marynarkę obcisłą, z wysoko zaznaczonym stanem, nogawki spodni podwinięte i zabłoczone nad oblepionymi błotem butami. Jego twarz była dziwnie bezkrwista, jak gdyby padało na nią ostre światło elektryczne; w słomkowym kapeluszu na bakier, gdy tak rękami w kieszeniach trzymał się pod boki, wyglądał na tle tej słonecznej ciszy płasko jakoś i gadzinowato niczym zdeptany, szerniały rondel z dwoma uchami.

Gdzieś poza nim znów zaśpiewał ptak – trzy monotonicznie powtórzone nuty: bezsensowne dźwięki wydarte z ciszy głębokiej, oddychającej spokojem, zdającej się odgradzać to miejsce od świata, skąd po chwili doleciał warkot samochodu, stopniowo zamierając w dali. Człowiek, który pił wodę, klęczał przy źródle.

– Pan ma chyba w tej kieszeni rewolwer – powiedział.

Z drugiej strony źródła Wytrzeszcz wpatrywał się w niego oczami jak dwie gałki z miękkiej, czarnej gumy.

– To ja się pytam – powiedział – co pan masz w kieszeni?

Tamten sięgnął do marynarki wciąż jeszcze przewieszanej przez ramię. Z jednej

kieszeni wystawał zmięty pilśniowy kapelusz, a z drugiej wystawała książka.

- O którą kieszeń chodzi? – zapytał.
- Nie pokazuj. Powiedz. Zatrzymał rękę na pół podniesioną.
- To jest książka – powiedział.
- Co za książka?
- Po prostu książka. Do czytania. Niektórzy ludzie czytają.
- Czyta pan książki? – zapytał Wytrzeszcz.

Ręka tamtego znieruchomiała nad marynarką. Dym z papierosa przewijał się po twarzy Wytrzeszcza, która z jednym okiem przymrużonym wyglądała jak maska złożona z dwóch odmiennych połówek.

Z bocznej kieszeni spodni Wytrzeszcz wyciągnął zaszarganą chustkę do nosa. Rozłożył ją sobie na napiętkach zabłoconych butów, żeby nie pobrudzić ubrania, gdy przysiadł naprzeciwko człowieka po drugiej stronie wody. Była wtedy mniej więcej godzina czwarta majowego popołudnia. Przykucnięci tak, patrzyli na siebie ponad źródłem przez dwie godziny. Od czasu do czasu odzywał się ptak z mokradła, jak gdyby pobudzał go mechanizm zegarowy; jeszcze dwukrotnie przejeżdżały po szosie niewidoczne samochody. Znowu śpiewał ptak.

– I oczywiście pan nie wie, jak on się nazywa – powiedział człowiek po drugiej stronie źródła. – Mam wrażenie, że jeżeli w ogóle zna pan jakiegoś ptaka, to chyba tylko takiego, co śpiewa w klatce w hallu hotelowym albo kosztuje cztery dolary na półmisku.

Wytrzeszcz nie odpowiedział. Wciąż jeszcze siedząc na piętach, w tym obcisłym czarnym ubraniu z prawą kieszenią marynarki wypchaną, skręcał i ugniatał papierosy małymi, lalczynymi nieomal rękami i splotował do źródła. Był martwo, ziemiście blady. Nos miał krogulczy, podbródka nie miał wcale. Twarz jego w miejscu, w którym powinien być podbródek, po prostu się usuwała jak twarz woskowej lalki zapomnianej zbyt blisko ognia w kominku. Po kamizelce snuła mu się pajęczyna platynowej dewizki.

– Słuchaj pan – powiedział człowiek po drugiej stronie źródła. – Nazywam się Horace Benbow. Prowadzę kancelarię adwokacką w Kinston. Dawniej mieszkałem w Jefferson; właśnie tam teraz idę. Każdy w tym hrabstwie może panu powiedzieć, że jestem nieszkodliwy. Jeżeli to whisky, mało mnie naprawdę obchodzi, ile jej produkujecie czy sprzedajecie, czy kupujecie. Zatrzymałem się tutaj na łyk wody. I chcę tylko dostać się do Jefferson.

Oczy Wytrzeszcza wyglądały jak gałki z gumy, które przed chwilą naciśnięte odzyskały już pierwotną wypukłość, ale zachowały jeszcze na sobie spiralne odciski palców.

– Chcę dojść do Jefferson przed zapadnięciem zmroku – powiedział Benbow. – Pan nie może mnie tutaj tak trzymać.

Nie wyjmując papierosa z ust, Wytrzeszcz splunął do źródła.

– Pan nie może mnie zatrzymywać – powiedział Benbow. – A gdybym się stąd wyrwał i uciekł...

Wytrzeszcz skierował gumowe gałki oczu na Benbowa.

– Chcesz pan uciekać?

– Nie.

Wytrzeszcz odwrócił oczy.

– No więc siedź.

Benbow znów usłyszał ptaka i spróbował sobie przypomnieć, jak go nazywają w tych stronach. Po niewidocznej szosie przejechał jeszcze jeden samochód z warkotem cichnącym w dali. Tymczasem słońce prawie zaszło. Wytrzeszcz wyciągnął z kieszeni spodni zegarek za dolara, spojrzął, która godzina, i jak monetę wrzucił zegarek z powrotem do kieszeni.

W miejscu, gdzie ścieżka biegnąc od źródła łączyła się z piaszczystą boczną drogą, zagradzało ją niedawno ścięte drzewo. Przeleźli przez to drzewo i szli dalej, zostawiając szosę za sobą. Piach drogi znaczyły dwie płytkie koleiny, ale śladu kopyt nie było. Dopiero tam, gdzie przez piach przesączał się strumyk, Benbow zobaczył odcisniętą kratkę opon samochodowych. Wytrzeszcz szedł przed nim – w obcisłym ubraniu, w sztywnym kapeluszu, ostry w liniach jak ultranowoczesny model stojącej lampy.

Piach się skończył i wyszli z zarośli. Droga kreto biegła pod górę. Było prawie ciemno. Wytrzeszcz spojrzął przez ramię.

– Prędzej, Jack – powiedział.

– Dlaczego nie szliśmy na przełaj? – zapytał Benbow.

– Między tymi tam... tymi wszystkimi drzewami? – zapytał Wytrzeszcz. Popatrzył ze wzgórza w dół, gdzie gąszcza wyglądała już jak jezioro atramentu, i podrzucił głowę, przy czym jego kapelusz mętnie, gadzinowato mignął w ostatniej szarości zmierzchu. – Rany boskie!

Było prawie zupełnie ciemno. Wytrzeszcz zwolnił kroku. Szedł teraz obok Benbowa i Benbow widział nieustanne podrygiwanie słomkowego kapelusza, kiedy Wytrzeszcz, nieledwie wijąc się jak gadzina, rzucił szybkie spojrzenie wokoło. Ten kapelusz sięgał Benbowowi akurat do podbródka.

Nagle coś – jakiś cień ukształtowany szybkością – przemknęło nad nimi nisko, bezszelestnie na napiętych skrzydłach, omiatając pędem powietrza ich twarze, i Benbow poczuł, że Wytrzeszcz całym ciałem przywiera do niego i wczepia dłoń w jego marynarkę.

– To tylko sowa – powiedział. – To nie, tylko sowa. – I dodał: – Nazywają tego karolińskiego strzyżyka ptakiem rybackim. Otóż to! Że też tam nie mogłem sobie tego przypomnieć.

A Wytrzeszcz kurczył się obok niego i wpijał mu palce w kieszeń, i syczał przez zęby jak kot.

“On pachnie czarno – pomyślał Benbow – on pachnie tak jak ta czarna maź, która z ust pani Bovary chlusnęła na ślubny welon, kiedy podnieśli jej głowę.”

W chwilę później nad czernią tej poszarpanej masy drzew ukazał się jakiś dom, sztywny, kanciasty na tle wieczornego nieba.

Dom ten był wypatroszoną ruiną wysoką i wąską, wyłaniającą się sztywno z zapuszczonego cedrowego gaju. Górował nad okolicą, znany jako Siedziba Starego Francuza, wzniesiony jeszcze przed wojną secesyjną – dom plantatora w samym środku jego posiadłości: pól bawełny, ogrodów i trawników, które już dawno obróciły się na nowo w puszcze, na których od pięćdziesięciu lat plądrowali ludzie z sąsiedztwa, ściągając po kawałku drzewo na opał albo czasami przekopując grunt w tajemnej nadziei, że znajdą złoto rzekomo gdzieś tutaj zakopane przez założyciela plantacji, gdy Grant tędy prowadził swoje wojska na Vicksburg.

Trzech mężczyzn siedziało na krzesłach przy końcu ganku. W głębi otwartej sieni widać było słaby odblask światła. Sień przecinała cały dom, wiodąc wprost na tyły. Wytrzeszcz wszedł po schodkach.

Trzech mężczyzn spojrzęło na niego i na jego towarzysza.

– To jest profesor – powiedział nie zatrzymując się.

Wkroczył do domu, do sieni. Przeszedł przez sień, przez tylny ganek i skręcił do izby, w której paliło się światło. To była kuchnia. Przy piecu stała kobieta. Miała na sobie wypłowiałą perkalową suknię, na gołych nogach zniszczone męskie buty robocze, nie za-

sznurowane i kłapiące. Spojrzała na Wytrzeszcza, a potem znów na kuchenną płytę, gdzie skwierczało mięso na patelni.

Wytrzeszcz stał w drzwiach. Rondo kapelusza ukośnie ocieniało mu twarz. Wyciągnął papierosa z paczki w kieszeni, ugniótł go i włożył do ust, po czym potarł zapalkę o paznokieć kciuka.

– Ptaszek przed domem – oznajmił.

Kobieta nie podniosła oczu. Odwracała mięso na patelni.

– Po co mi to mówisz? – zapytała. – Ja nie obsługuję klientów Lee.

– To profesor – powiedział Wytrzeszcz.

Kobieta odwróciła się z żelaznym widelcem w znieruchomiałej dłoni; za piecem w cieniu stała drewniana skrzynka.

– Kto taki? – zapytała.

– Profesor – powiedział Wytrzeszcz. – Ma przy sobie książkę.

– Czego on tu chce?

– A bo ja wiem. Nie pytałem. Może chce czytać tę książkę.

– Sam tu przyszedł?

– Nakryłem go przy źródle.

– Szukał tego domu?

– A bo ja wiem – powiedział Wytrzeszcz. – Nie pytałem.

Kobieta dalej patrzyła na niego.

– Wyślę go do Jefferson ciężarówką – powiedział. – Coś gadał o tym, że tam idzie.

– Po co mi to mówisz? – zapytała kobieta.

– Gotujesz. Będzie chciał zjeść.

– Tak – burknęła kobieta. Odwróciła się znowu

do pieca. – Gotuję. Gotuję dla kalek i moczymordów, i pomyłonych. Tak. Gotuję.

Stojąc w drzwiach Wytrzeszcz patrzył na nią poprzez dym z papierosa wijący mu się po twarzy. Ręce trzymał w kieszeniach.

– Możesz to cisnąć. Zawiozę cię w niedzielę z powrotem do Memphis. Możesz tam znów się puszczać. – Patrzył na jej plecy. – Tyjesz tutaj. Zanedbujesz się na wsi. Nie powiem im tam na ulicy Manuel.

Kobieta odwróciła się z widelcem w dłoni.

– Ty draniu – powiedziała.

– No pewnie – powiedział Wytrzeszcz. – Nie powiem im, że Ruby Lamar chodzi na wsi w butach, które Lee Goodwin wyrzucił na śmietnik. Że sama drzewo rąbie. Nie. Powiem im, że Lee Goodwin jest cholernie bogaty.

– Ty draniu! – powtórzyła kobieta. – Ty draniu!

– No pewnie – powiedział Wytrzeszcz.

Odwrocił głowę, bo na ganku rozległo się szuranie.

Po chwili do kuchni wszedł jakiś człowiek. Był zgarbiony, w kombinezonie i bosi; to właśnie jego szurające kroki usłyszeli przed chwilą. Na głowie miał strzechę kudłów jasnych od słońca, zmierzwionych i brudnych. Oczy miał siwe, rozgorączkowane i krótką, miękką brodę o barwie brudnego złota.

– Niech mnie gęś kopnie, jak on nie jest cudak – powiedział.

– O co ci chodzi? – zapytała kobieta.

Człowiek w kombinezonie nie odpowiedział. Mijając Wytrzeszcza rzucił na niego spojrzenie tajemnicze i czujne zarazem, jak gdyby gotów uśmieć się z jakiegoś żartu, czekał na moment odpowiedniejszy do śmiechu. Niezdarnymi, niedźwiedzimi krokami przeszedł przez kuchnię i wciąż z tą samą miną, czujną, radośnie tajemniczą, chociaż wiedział, że oni to widzą, podniósł luźną deskę w podłodze i wyciągnął gąsior o pojemności jednego galona. Wytrzeszcz z palcami wskazującymi zatkniętymi za kamizelkę, z niedopałkiem papierosa w ustach (wypalił go ani razu nie dotykając ręką) patrzył na niego uważnie, zawzięcie, może nawet złowieszczo, dopóki on, niezgrabnie ukrywając gąsior za biodrem, czujny, trochę już onieśmielony, a przecież wpatrzony w Wytrzeszcza i nadal wyraźnie gotów dać wyraz swojej uciecze, nie opuścił kuchni. Znów usłyszeli szuranie jego bosych stóp na ganku.

– No pewnie – powiedział Wytrzeszcz. – Nie powiem im tam na Manuel Street, że Ruby Lamar gotuje dla niemowy i dla pomyłonego.

– Ty draniu! – powtórzyła kobieta. – Ty draniu!

II

Gdy kobieta wniosła półmisek z mięsem do jadalni, Wytrzeszcz, człowiek, który przyniósł gąsior z kuchni, i ten nieznajomy siedzieli już przy stole zbitym z trzech nieheblowanych desek umieszczonych na dwóch kozłach. W świetle lampy, stojącej na stole, twarz kobiety była posepna, niestara; oczy zimne. Patrząc na nią Benbow nie zauważył, żeby bodaj raz zerknęła na niego ani wówczas, gdy stawiała półmisek i zatrzymała się przez chwilę z owym badawczym, na pozór niedbałym spojrzeniem, jakim kobiety zwykle obrzucają nakryty do posiłku stół, ani później, gdy odeszła w kąt pokoju i z otwartej paki wyjęła jeszcze jeden talerz, nóż i widelec, które położyła na stole przed gościem z jakąś raptowną, ale wolną od pośpiechu determinacją, przy czym rękaw jej otarł się o jego ramię.

Wtedy właśnie wszedł Goodwin. Ubrany był w zabłocony kombinezon. Twarz miał szczupłą, ogorzałą, szczęki pokryte czarnym zarostem, włosy posiwiałe na skroniach. Prowadził pod ramię staruszka z długą białą brodą, uszarganą wokół ust. Benbow patrzył, jak Goodwin pomaga staruszkowi usiąść na krześle, jak ten stary siada posłusznie, z nieporadną, obmierzłą

skwapliwością człowieka, któremu została w życiu już tylko jedna przyjemność, do którego świat dociera już tylko jednym zmysłem, gdyż był on i niewidomy, i głuchy – mały, łysy człeczyna o pełnej, krągłej, różowej twarzy, oczach przesłoniętych kataraktą, przypominających skrzepy flegmy. I Benbow patrzył, jak stary wyciąga z kieszeni brudną szmatę i wypluwa w nią niemal bezbarwną miazgę czegoś, co w swoim czasie musiało być niewątpliwie prymką, jak zwija szmatę i wkłada ją z powrotem do kieszeni. Kobieta nałożyła staremu na talerz mięso z półmiska. Tamci jedli w milczeniu, miarowo, a on siedział między nimi, pochylając głowę nisko nad talerzem i słabo trzęsąc brodą. Niepewną, rozdygotaną ręką namacał kawałek mięsa, podniósł do ust i zaczął ssać. Kobieta wróciła, uderzyła go po knykciach. Położył mięso z powrotem na talerzu i Benbow patrzył teraz, jak ona kraje mu jedzenie, mięso, chleb i wszystko, i polewa to syropem z sorgo. Potem odwrócił wzrok. Po jedzeniu Goodwin wyprowadził starego i Benbow patrzył na nich, gdy wychodzili, i słyszał ich kroki oddalające się w sieni. Potem

mężczyźni wrócili na ganek. Kobieta sprzątnęła w jadalni i wyniosła naczynia do kuchni. Postawiła je na kuchennym stole, podeszła do skrzynki za piecem i stała tam przez jakiś czas. Wróciła do stołu, nałożyła sobie na talerz swoją kolację, usiadła, zjadła, od płomyka lampy zapaliła papierosa, zmyła naczynia i schowała je. Potem przeszła przez sień do frontowej części domu. Nie wyszła na ganek. Stała wewnątrz tuż przy samych drzwiach i słuchała rozmowy tamtych, słuchała, co mówił nieznajomy, słuchała cichego, szorstkiego szmeru, gdy podsuwali sobie gąsior.

– Ten dureń – szepnęła. – Czego on chce... Słuchała, jak on mówi – szybko, akcentem, trochę cudzoziemskim, tonem człowieka oddającego się mówieniu i chyba niczemu ponadto.

– W każdym razie nie pijak – szepnęła, cicha za drzwiami. – Lepiej, żeby już sobie poszedł tam, dokąd idzie i gdzie mogą się nim zająć kobiety z rodziny.

Słuchała:

– Z mojego okna widziałem tę altanę obrośniętą dzikim winem, a w zimie widziałem także i hamak. Oto skąd wiemy, że Natura jest rodzaju żeńskiego. Bo istnieje owo sprzysiężenie między ciałem kobiecym i kobiecą porą roku. Tak więc co rok wiosną mogłem patrzeć na nowe utwierdzenie się starego fermentu, na te liście zasłaniające hamak, na usidloną w zieleń obietnicę niepokoju. To właśnie ma w sobie kwitnące dzikie wino. Niby nic: nieobliczalnie, jak gdyby lało się wosk, rozwijają się nie tyle kwiaty, co liście i coraz bardziej i bardziej zasłaniają ten hamak, aż wreszcie przy końcu maja słychać tam o zmierzchu jej głos – Małej Belle – jak szept tego dzikiego wina. Nigdy nie mówiła do mnie: „Horace, to jest Louis czy Paul, czy ktoś tam inny”, tylko zawsze do nich: „To jest tylko Horace”. Tylko, rozumiecie. W białej sukieneczce o zmierzchu. Oni oboje zupełnie trzeźwi i dostatecznie baczni, i trochę niecierpliwi. I nie mógłbym czuć się bardziej obcy jej ciału, nawet gdybym sam je splodził.

Więc dziś rano... nie, to było cztery dni temu, ona przyjechała z internatu w czwartek, a dziś mamy wtorek... powiedziałem:

“Kochanie, skoro znalazłaś go sobie w pociągu, prawdopodobnie on jest własnością spółki kolejowej. Nie wolno zabierać go spółce kolejowej, to przestępstwo, tak jakbyś zabrała izolator ze słupa.”

“Nie głupszy jest od ciebie. Studiuje na uniwersytecie Tulane.”

“Ale w pociągu, kochanie” – powiedziałem.

"Znajduję ich sobie w gorszych miejscach niż w pociągu."

"Wiem – powiedziałem. – Ja także. Ale ty ich nie sprowadzaj do domu, wiesz. Po prostu przechodź przez nich i idź dalej. Nie brudź sobie pantofli."

Byliśmy wtedy w saloniku. Przed kolacją. Ona i ja, sami w domu. Belle wyszła do miasta.

"Co cię obchodzi, kto mnie odwiedza? Nie jesteś moim ojcem. Jesteś tylko... tylko..."

"Tylko? – zapytałem. – Tylko czym?"

"Więc powiedz mamie. Powiedz jej. Przecież to właśnie chcesz zrobić. Powiedz jej!"

"Ale w pociągu, kochanie – powiedziałem. – Gdyby wszedł do twojego pokoju w hotelu, najzwyczajniej bym go zabił. Ale w pociągu... Czuję niesmak. Odeślijmy go i zaczniemy wszystko od początku!"

"I kto mówi o znajdowaniu rzeczy w pociągu! Kto to mówi! Krewetka! Krewetka!"

– To wariat – szepnęła kobieta, nieruchoma za drzwiami.

Nieznajomy mówił dalej bełkotliwie, szybko, wylewnie.

– Ale zaraz powiedziała: "Nie! Nie!" – a ja trzymałem ją i przytulała się do mnie.

"Tak mi się głupio wyrwało, Horace! Horace!"

I czułem ten zapach zamordowanych kwiatów, delikatnych martwych kwiatów i łez, a potem nagle zobaczyłem jej twarz w lustrze. Jedno lustro było za nią, a drugie za mną i ona przeglądała się w tym za mną, nie pamiętała o drugim lustrze, w którym mogłem widzieć jej twarz, całą obłudę jej spojrzenia, kiedy patrzyła na tył mojej głowy. Oto dlaczego Natura jest rodzaju żeńskiego, a Postęp męskiego. Natura opłotła altanę dzikim winem, ale Postęp wynalazł lustro.

– To wariat – powiedziała kobieta za drzwiami słuchając.

– Ale nie tylko w tym rzecz. Pomyślałem sobie, że może wiosna albo może to, że mam czterdzieści trzy lata, tak mnie zdenerwowało. Pomyślałem sobie, że może poczułbym się dobrze, gdybym przez chwilę poleżał na jakimś wzgórzu. To były tamte okolice. Płaskie, wstrętne i tak bogate, że chyba nawet wiatr wydmuchuje stamtąd pieniądze. Człowiek tam nawet by

się nie zdziwił, gdyby zobaczył, że liście opadające z drzew obracają mu się w gotówkę. Ta Delta. Pięć tysięcy mil kwadratowych i ani jednego wzgórza poza kopcami,

które usypali Indianie, żeby się na nich chronić, kiedy wylewała rzeka. Więc pomyślałem sobie, że potrzebne mi jest właśnie wzgórze. To jednak nie Mała Belle doprowadziła mnie do takiej ostateczności. Wiecie, co to było?

– Wariat przecież – szepnęła kobieta za drzwiami. – Lee nie powinien pozwolić... Benbow nie czekał na odpowiedź.

– To była szmatka z różem. Wiedziałem, że ją znajdę, jeszcze zanim wszedłem do pokoju Belle. I znalazłem zatkniętą za lustro... chustkę do nosa, którą Belle malując się starła nadmiar szminki i którą zatknęła za lustro nad kominkiem. Włożyłem ją do nesesera, wziąłem kapelusz i wyszedłem. Podjechałem na autostop kawałek drogi jakąś ciężarówką, kiedy się spostrzegłem, że nie mam przy sobie pieniędzy. Rozumiecie, to także odgrywało rolę; nie mogłem zrealizować czeku; nie mogłem wysiąść z tej ciężarówki, żeby wrócić do miasta po pieniądze. Nie mogłem. Więc dalej szedłem pieszo, podjeżdżałem, jak się dało, spotkanymi samochodami. Jedną noc przespałem na stercie trocin w tartaku, jedną noc w chacie murzyńskiej, jedną noc w wagonie towarowym na bocznicu. Potrzebne mi było tylko wzgórze, gdzie mógłbym poleżeć, rozumiecie. Wtedy poczułbym się dobrze. Człowiek, kiedy żeni się ze swoją własną żoną, zaczyna od samego początku drapać się pod górę... może nawet drapiąc. Kiedy żeni się z cudzą żoną, zaczyna drapać się pod górę z dziesięcioletnim może opóźnieniem... od miejsca, na które już wdrapał się, drapiąc, ktoś inny. Potrzebne mi było tylko wzgórze, gdzie mógłbym poleżeć przez chwilę.

– Dureń – szepnęła kobieta. – Biedny dureń.

Stała wciąż za drzwiami. Przez sień przeszedł z tylnej części domu Wytrzeszcz. Minał ją bez słowa i wyszedł na ganek.

– Chodźcie – powiedział. – Załadujmy to. Słyszała, jak tamci dwaj odchodzą z Wytrzeszczeni.

Stała tam. A potem słyszała, jak nieznajomy chwiejnie wstaje z krzesła i przechodzi przez ganek. I zobaczyła go – nikłą sylwetkę tylko trochę ciemniejszą od tła, jakim było ciemne niebo – szczupłego człowieka w luźnym ubraniu, o włosach rzednących, potarganych, zupełnie pijanego.

– Nie karmią go porządnie – szepnęła kobieta. Stała nieruchomo, oparta lekko o ścianę, gdy odwrócił się do niej.

– Odpowiada pani takie życie? – zapytał. – Dlaczego pani to robi? Jest pani

jeszcze młoda. Mogłaby pani wrócić do miasta i bez trudu urządzić się lepiej.

Stała nieruchomo, z rękami założonymi na piersiach, oparta lekko o ścianę.

– Biedny wystraszony dureń – powiedziała.

– Widzi pani – wyjaśnił – brak mi odwagi. Uszła ze, mnie. Mechanizm jest cały, ale nie działa. – Niezdarnie przesunął rękę po jej policzku. – Pani jest jeszcze młoda.

Nie poruszyła się czując dotknięcie tej ręki, błędzącej po jej twarzy, jak gdyby on chciał poznać kształt i układ jej kości policzkowych, budowę mięśni.

– Życie przecież przed panią. Ile pani nią lat? Nie więcej niż trzydzieści. – Mówił zniżonym głosem, niemal szeptem.

Ona jednak, gdy się odezwała, nie zniżyła głosu, wciąż nieruchoma, z rękami założonymi na piersiach.

– Dlaczego pan rzucił żonę? – zapytała.

– Dlatego że jadła krewetki – wyjaśnił. – Nie mogłem... Widzi pani, to był piątek i pomyślałem, że w południe mam znów pójść na stację i wziąć skrzynkę krewetek z pociągu, i wracać do domu licząc po sto kroków i przekładając ją z ręki do ręki... I to...

– Robił pan to codziennie? – zapytała kobieta.

– Nie. Tylko w piątek. Ale przez pełne dziesięć lat, odkąd się pobraliśmy. I ciągle jeszcze nie cierpię zapachu krewetek. Ale już by mi nie chodziło o to,

że muszę je zanosić do domu. To mógłbym wytrzymać. Tylko że z tej paczki kapąło. Przez całą drogę zawsze kapąło i kapąło, aż po pewnym czasie zacząłem chodzić sam za sobą na stację i stawałem z boku, i patrzyłem, jak Horace Benbow odbiera tę skrzynkę z pociągu i wyrusza z nią do domu, i co sto kroków przekłada ją z ręki do ręki... Szedłem za nim i myślałem: "Tutaj leży Horace Benbow w zanikającym szeregu małych, smrodliwych plam na chodniku w stanie Missisipi."

– Aha – powiedziała kobieta.

Oddychała spokojnie, z założonymi rękami. Ruszyła od drzwi. Cofnął się i poszedł za nią przez sień. Weszli do kuchni, w której paliła się lampa.

– Musi pan wybaczyć, że tak wyglądam – powiedziała kobieta. Podeszła do skrzynki za piecem, wyciągnęła ją stamtąd i stanęła nad nią, ukrywając ręce w sukni na piersiach. Benbow stał na środku kuchni. – Muszę go trzymać w tej skrzynce, żeby szczyry się do niego nie dostały – powiedziała.

– Co? – zapytał Benbow. – Co to jest? – Podeszedł i zajrzał do skrzynki. Leżało w

niej śpiące, niespełna roczne dziecko. Spokojnie popatrzył na mizerną twarzyczkę. – Aha – powiedział – pani ma syna.

Oboje patrzyli na mizerną twarzyczkę śpiącego dziecka. Na zewnątrz dały się słyszeć kroki; ktoś wszedł na kuchenny ganek. Kobieta kolanem pchnęła skrzynkę w kąt, gdy do kuchni wchodził Goodwin.

– Dobra jest – oznajmił. – Tommy zaprowadzi pana do ciężarówki. – I odszedł w głąb domu.

Benbow spojrzał na kobietę. Wciąż jeszcze ukrywała ręce w sukni na piersiach.

– Dziękuję za kolację – powiedział. – Kiedyś może... – Patrzył na nią. Przyglądała mu się z twarzą nie tyle posępną, co zimną, spokojną. – Może mógłbym coś zrobić dla pani w Jefferson? Przysłać pani coś, czego potrzeba...

Błyskawicznym, krągłym ruchem wysunęła ręce z fałd sukni i natychmiast ukryła je z powrotem.

– Tyle tych pomyj i prania... Mógłby mi pan przysłać takie drewniane kopytko – powiedziała – do usuwania skórki z paznokci.

Tommy i Benbow wyszli z domu i gęsiego schodzili ze wzgórze zapuszczoną drogą. Benbow obejrzał się. Wysoka, wąska ruina domu sterczała na tle nieba ponad splątana masą cedrów, ciemna, samotna, nieprzenikniona. Droga, zbyt głęboka, żeby być prawdziwą drogą, i zbyt płaska, żeby być rowem, była właściwie szramą wyżłobioną w ziemi, zrytą przez zimowe zalewy, zarosła paprociami, pełną zgniłych liści i gałęzi. Benbow szedł nikłą ścieżką – śladami stóp, które wdeptały tę gnijącą roślinność w glinę. W górze poprzez łukowate sklepienie drzew przeświecało niebo. Zakręcając droga stawała się coraz bardziej spadzista.

– To gdzie tutaj widzieliśmy tę sowę – przypomniał sobie Benbow.

Idący przed nim Tommy parsknął śmiechem.

– On i przed sową miał stracha, głowę dam – powiedział.

– Tak – odpowiedział Benbow.

Szedł za niewyraźną postacią Tommy'ego, starając się stąpać ostrożnie i mówić ostrożnie, z owym tępyim skupieniem człowieka pijanego.

– Niech mnie gęś kopnie, jak on nie jest na j cholernie j bo jacy biały, jakiego w życiu widziałem – rozgadał się Tommy. – Tą ścieżką podchodził do ganku, a tu pies wylazł spod domu i do niego, i dalej obwąchiwać mu obcasy, jak to pies, i niech mnie gęś

kopnie, a on wtedy odskoczył, jakby był na bosaka, a ten pies to była jakaś żmija czy co, i złapał się za ten mały autemutyczny pistolet, i na śmierć tego psa zastrzelił. Niech mnie szlag, jak nie zastrzelił.

– Czyj to był pies? – zapytał Benbow.

– A mój – odpowiedział Tommy. Zachichotał. – Stary pies, co by i pchły nie ukrzywdził, jakby nie musiał.

Droga opadła w dół i wyrównała się. Piach szemrał pod butami Benbowa, odmierzającego staranne kroki. Na jasnym tle piasku Benbow widział teraz wyraźnie Tommy'ego, który szedł na pozór bez żadnego wysiłku, stawiając nogi do wewnątrz, szurając jak muł na piaszczystym terenie, tak że piach z sykiem, słabymi podmuchami odlatywał spod jego bosych stóp do tyłu.

Drogę dużym, nieforemnym cieniem przekreślało ścięte drzewo. Tommy przełaził przez nie, a Benbow pogramolił się za Tommym, wciąż starannie, ostrożnie, przez tę masę listowia jeszcze nie uschniętego, jeszcze pachnącego zielenią.

– To także... – powiedział Tommy. Odwrócił się. – Niesporo przejść, co?

– Zupełnie dobrze – powiedział Horace. Stanął już na równe nogi. Tommy szedł dalej.

– To także Wytrzeszcz – powiedział Tommy. – Potrzebne takie zawalenie drogi? Tyle z tego, że musimy całą milę iść do tych ciężarówek. Mówiłem mu, ludzie tu przyjeżdżają kupować od Lee będzie już cztery lata, a jeszcze nikt nie narobił kłopotu. I jak tu może przejechać to jego wielkie samochodzisko? Ale nie dał sobie przetłumaczyć. Niech mnie gęś kopnie, jak on się nie boi swojego rodzzonego cienia.

– Ja też bym się bał – powiedział Benbow – gdybym miał jego cień.

Tommy parsknął śmiechem niegłośno. Droga była teraz jak czarny tunel, którego chodnik stanowiła nienamacalna, trupia poświata piachu. "To gdzieś tutaj ścieżka skręca do źródła" – pomyślał Benbow usiłując rozpoznać miejsce, gdzie ścieżka wyszczerbiała ścianę zarośli. Szli dalej.

– Kto prowadzi tę ciężarówkę? – zapytał Benbow. – Jeszcze ktoś z Memphis?

– A jakże – przytknął Tommy. – To ciężarówka Wytrzeszcza.

– Nie mogą ci z Memphis siedzieć w Memphis i pozwolić, żebyście pędzili tę waszą whisky w spokoju?

– W tym są pieniądze – powiedział Tommy.

Nie ma pieniędzy, jak się tak sika pomału kwaterki – i półgalony. Lee robi to, żeby żyć, załapać tych parę dolarów dodatkowo. Pieniądze są dopiero, jak się robi whisky ciurkiem i w mig się wypycha.

– Aha – powiedział Benbow. – No, ja bym chyba wolał konać z głodu niż mieć koło siebie tego człowieka.

Tommy parsknął śmiechem.

– Wytrzeszcz nie jest zły. Tylko że trochę dziwny. – Szedł dalej, bezkształtna postać na tle przyćmionej poświaty drogi, piaszczystej drogi. – Niech x mnie gęś kopnie, jak on nie jest cudak. No, może nie?

– Tak – powiedział Benbow. – W całej pełni.

Ciężarówka stała tam, gdzie droga, znowu gliniasta, zaczynała się podnosić ku wysypanej żwirem szosie. Paląc papierosy siedzieli na błotniku dwaj mężczyźni; wysoko nad nimi przez gałęzie drzew przeświecały północne gwiazdy.

– Nie spieszyliście się – powiedział jeden z

nich. – A ja chciałem być o tej porze już niedaleko miasta. Kobieta na mnie czeka.

– Na pewno – powiedział drugi. – Rozłożyła się już na wznak i czeka.

Ten pierwszy sklął go.

– Tak się spieszyliśmy, jak mogliśmy – powiedział Tommy. – Czemu wy tu jeden z drugim jeszcze latarni nie wywiesicie? Jakbyśmy ja i on byli policją, już byśmy was mieli. A jakże.

– A wypchaj się, ty bękarcie, dupo wołowa! – zachnął się ten pierwszy.

Odrzucili papierosy i wsiedli do ciężarówki. Tommy parsknął przyciszonym śmiechem. Benbow odwrócił się i wyciągnął rękę.

– Do widzenia – powiedział. – Bardzo panu dziękuję, panie...

– Tommy się nazywam.

Stwardniała ręka bezwładnie, niezdarnie wmacała się w rękę Benbowa, uroczyście szarpnęła nią jeden raz i niezdarnie się wycofała. Tommy stał tam, krępy, bezkształtny na tle słabej poświaty drogi, gdy Benbow podnosił nogę na stopień. Potknął się, ale nie upadł.

– Ostrożnie, panie doktor – doleciał głos z szoferki.

Benbow wszedł. Ten drugi w szoferce kładł wzdłuż oparcia śrutówkę. Ciężarówka ruszyła. Z przeraźliwym zgrzytaniem wjechała po zrytym zboczu na żwir szosy i zakręciła

w kierunku Jefferson i Memphis.

III

Następnego dnia po południu Benbow był u siostry. Na wsi, o cztery mile od Jefferson, w domu rodziny jej męża. Siostra Benbowa, wdowa, mieszkała w tym dużym domu ze swoim synem, chłopcem teraz dziesięcioletnim, i cioteczną babką męża – dziewięćdziesięcioletnią kobietą przykutą do fotela na kółkach, zwaną powszechnie Panną Jenny. Razem z Panną Jenny Benbow patrzył teraz przez okno na siostrę, która spacerowała po ogrodzie z jakimś młodym człowiekiem. Siostra była wdową od lat dziesięciu.

– Dlaczego ona nie wychodzi drugi raz za męża? – zapytał Benbow.

– No, właśnie – powiedziała Panna Jenny. – Młodej kobiecie potrzebny jest mężczyzna.

– Ale nie ten – powiedział Benbow. – Patrzył na nich dwoje. Mężczyzna miał na sobie flanelowe spodnie i niebieską marynarkę – tęgi, pulchny młody człowiek z arogancką miną, sprawiający wrażenie studenta. – Ona chyba lubi dzieci. Może dlatego, że ma własne dziecko. Który to jest? Jeszcze ten, co tu bywał na jesieni w zeszłym roku?

– To Gowan Stevens – powiedziała Panna Jenny. – Powinieneś pamiętać Gowana.

– Owszem – przyznał Benbow. – Teraz sobie przypominam. Z października zeszłego roku.

Przejeżdżał wtedy przez Jefferson w drodze do domu i zatrzymał się na jedną noc u siostry. I przez to samo okno patrzył razem z Panną Jenny, jak ta sama para spacerowała po tym samym ogrodzie, w którym kwitły październikowe kwiaty, późne, jaskrawe i pachnące kurzem. Stevens nosił wtedy brązowe ubranie i był dla niego kimś zupełnie nowym.

– Zjawił się niedawno, bo dopiero tej wiosny wrócił do domu z Virginii – powiedziała Panna Jenny. – Tamten na jesieni to był młody Jones. Herschell. Tak, Herschell.

– Aha – powiedział Benbow. – Światowiec podejmowany przez elitę stanu

Virginia czy zwykły przebywający tam śmiertelnik?

– Kształcił się tam na uniwersytecie. Nie pamiętasz go, bo był jeszcze w pieluszkach, kiedy wyprowadziliście się z Jefferson.

– Dobrze, że Belle tego nie słyszy – powiedział Benbow.

I Patrzył na nich dwoje. Doszli do domu i zniknęli za węglem. Po chwili wchodzili już na schody i do pokoju. Wszedł Stevens z przy lizanymi połyskliwymi włosami i butnym wyrazem pulchnej twarzy. Panna Jenny podała mu ręką, którą ucałował pochylając się miękko i ociężale.

– Co dzień młodsza i ładniejsza – powiedział. – Właśnie mówiłem Narcissie, że nie miałaby u mnie żadnych szans, gdyby pani wstała z tego fotela i zechciała zostać moją dziewczyną.

– Jutro to zrobię – powiedziała Panna Jenny. – Narcisso...

Narcissa była duża, ciemnowłosa. Twarz miała szeroką, głupią, pogodną. Ubrana była jak zwykle w białą suknię.

– Pozwól, Horace, to jest Gowan Stevens – powiedziała. – Gowan, to mój brat.

– Bardzo mi miło – rzekł Gowan.

Uścisnął Benbowowi rękę z wysoka, krótko, twardo i mocno. W tej samej chwili do pokoju wbiegł mały chłopiec, Benbow Sartoris, siostrzeniec Benbowa.

– Słyszałem o panu – rzekł Gowan.

– Gowan studiował w Virginii – odezwał się chłopiec.

– Och – powiedział Benbow. – Słyszałem o tym.

– Dzięki – powiedział Gowan. – Ale nie wszyscy mogą studiować w Harvard.

– Dziękuję – powiedział Benbow. – Byłem w Oxford.

– Horace zawsze mówi ludziom, że był w Oxford, po to żeby myśleli, że był tam na uniwersytecie stanowym i żeby mógł ich wyprowadzić z błędu – wyjaśniła Panna Jenny.

– Gowan jeździ do Oxford mnóstwo – odezwał się chłopiec. – Ma tam f lamę. Zabiera ją na tańce. Prawda, Gowan?

– Zgadza się, kolego – odpowiedział Stevens. – Rudą.

– Cicho bądź, Bory – powiedziała Narcissa. Spojrzała na brata. – Co słyhać u Belle i Małej Belle?

Jeszcze o coś chciała zapytać, ale urwała. Nie odwróciła jednak od brata poważnego, uporczywego spojrzenia.

– Jeżeli nie przestaniesz się spodziewać, że Horace ucieknie od Belle, to on tak wreszcie zrobi – powiedziała Panna Jenny. – Zrobi tak kiedyś. Ale Narcissa nawet wtedy nie będzie zadowolona – dodała. – Bywają kobiety, które chociaż mają mężczyźnie za złe fakt, że ożenił się właśnie z tą, a nie z inną, wściekają się, kiedy on staje dęba i ją porzuca.

– Teraz Panna Jenny niech będzie cicho – powiedziała Narcissa.

– Właśnie – powiedziała Panna Jenny. – Horace od pewnego czasu szarpie się na postronku. Ale ty uważaj, Horace, i nie nabieraj za dużego rozpędu, bo mogłoby się okazać, że drugi koniec postronka nie jest przywiązany.

Z hallu doleciały dźwięki małego ręcznego dzwonka, Stevens i Benbow ruszyli do fotela Panny Jenny.

– Ustąpi mi pan? – zapytał Benbow. – Chyba to ja jestem tu gościem.

– Ależ, Horace – upomniała go Panna Jenny. – Narcisso, może pošlesz kogoś do komody na strychu po pojedynkowe pistolety. – Odwróciła się do chłopca. – A ty idź naprzód i każ zagrać tusz i przygotować dwie róże.

– Jaki tusz? – zapytał chłopiec.

– Są róże na stole – powiedziała Narcissa. – Gowan je przysłał. Chodźcie na kolację.

Przez okno Benbow i Panna Jenny patrzyli na nich dwoje spacerujących po ogrodzie: na Narcissę wciąż jeszcze w bieli i na Stevensa w spodniach flanelowych i w niebieskiej marynarce.

– Dżentelmen z Virginii... tyle nam naopowiadał przy tej kolacji, jak uczono go pić po dżentelmeńsku. Zalejcie alkoholem chrząszcza, a będziecie mieli skarabeusza; zalejcie alkoholem Missisipi języka i już macie dżentelmena...

– Gowana Stevensa – uzupełniła Panna Jenny. Patrzyli, jak oni dwoje znikają za domem. Upłynęło trochę czasu, zanim usłyszeli ich kroki w hallu. Jit Potem Narcissa weszła do pokoju, ale nie ze Stevenem, tylko z chłopcem.

– Nie chciał zostać – powiedziała. – Jedzie do 4; Oxford. W piątek wieczorem jest zabawa na uniwersytecie. Umówił się z jakąś panią.

– Powinien tam znaleźć pełne pole do popisu, jeśli chodzi o dżentelmeński sposób picia – zauważył – Horace. – I dżentelmeński sposób robienia innych rzeczy. To pewnie dlatego jedzie tam wcześniej.

– Bierze jakąś facetkę na tańce – odezwał się chłopiec. – A w sobotę jedzie do

Starkville na mecz baseballu. Powiedział, że mnie weźmie, ale ty mnie przecież nie puścisz.

IV

Ludzie z miasta, którzy po kolacji lubili przejechać się po terenach uniwersytetu, a także ten i ów roztargniony, niezbyt przytomny profesor czy kandydat na magistra w drodze do biblioteki mogli widzieć Tempie, gdy z płaszczem pośpiesznie chwyconym pod pachę, połyskując w biegu długimi jasnymi nogami, pędziła na tle oświetlonych okien "Kojca", jak nazywano kwatery studentek, i skręcała w cień murów biblioteki, i może widzieć mogli wir jej halki, gdy z ostatecznego przysiadu wskakiwała do samochodu, z nie wyłączonym silnikiem czekającego tam na nią wieczorem. Samochody należały do chłopców z miasta. Młodzieży na uniwersytecie nie wolno było mieć samochodów i studenci – z gołymi głowami, w krótkich spodniach i jaskrawych pulowerach – patrzyli z pogardą pełną wściekłości na chłopców z miasta w kapeluszach nasadzonych sztywno na wypomadowane głowy, w marynarkach nieco za obcisłych, w spodniach nieco za luźnych.

Ale to w zwykłe wieczory tygodnia. W co drugą sobotę, gdy była zabawa w Klubie Literackim, czy też gdy odbywał się któryś z trzech dorocznych oficjalnych balów, chłopcy z miasta, w jednakowych kapeluszach i postawionych kołnierzach, bezradni, na pozór wojowniczo niedbali, patrzyli, jak Tempie, wysoko podnosząc swą delikatną głowę, twarz o zuchwale umalowanych ustach i miękkiej linii podbródka, rzucając obojętne spojrzenia na prawo i lewo oczami chłodnymi, drapieżnymi i rozważnymi, wpływa na fali czarnych studenckich ramion do hali gimnastycznej i ginie tam wśród rozmigotanego wirowania zabawy.

Później muzyka łkała za szybami i patrzyli przez okna, jak Tempie szybko przechodzi od dansera do dansera, z jednej pary czarnych rękawów do drugiej, jak wypełnia przerwy w tanecznym rytmie muzyką swoich kroków, patrzyli na jej talię smukłą i niecierpliwą. Pochylali się i popijali z flaszek, i zapalali papierosy, po czym znów wyprostowani, w postawionych kołnierzach, w kapeluszach, nieruchomieli na tle światła niczym płaskie, przystrojone kapeluszami popiersia wycięte z czarnej blachy, przybite do parapetów okiennych.

I jeszcze gdy orkiestra na zakończenie grała Home, sweet Home, zostawało ich

tam zawsze kilku. Zimni, zaczepni, trochę wymizerowani brakiem snu, stali leniwie w pobliżu wyjścia, patrząc na pary, które wylaniały się w cichnym podzwonnym wrzawy i ruchu. Trzech patrzyło teraz, jak Temple i Gowan Stevens wychodzą w chłodną zapowiedź wiosennego brzasku. Tempie miała twarz zupełnie bladą, świeżo upudrowaną, rude włosy w rozkręconych lokach. Oczy jej, wielkie źrenice, zatrzymały się na nich trzech przez jedną pustą chwilę. A potem czczym gestem uniosła rękę, czy to do nich, czy nie, nikt nie mógłby powiedzieć. Nie zareagowali nawet błyskiem swoich zimnych oczu. Patrzyli na Gowana ujmującego ją pod ramię, na przelotne objawienie się jej boku i uda przy wsiadaniu do jego samochodu. Był to długi, niski samochód turystyczny z dodatkowym reflektorem.

- Co to za typ, ten skurwysyn? – zapytał jeden z nich.
- Mój ojciec jest sędzią – pisnął drugi gorzko, przeciągłym falsetem.
- Niech to szlag. Chodźmy do miasta.

Poszli. Raz wrzasnęli na jakiś samochód, ale się nie zatrzymał. Na wiadukcie kolejowym przystanęli i wypili resztę whisky z butelki. Ten, który pił ostatni, chciał cisnąć butelkę za poręcz. Drugi chwycił go za łokieć.

- Daj mi – powiedział.

Stukł butelkę ostrożnie i rozrzucił kawałki szkła w poprzek jezdni. Tamci patrzyli na niego.

– Nie dla ciebie tańce uniwersyteckie – powiedział pierwszy. – Ty biedny bękarcie.

– Mój ojciec jest sędzią – pisnął drugi, sztorcem stawiając na jezdni ostrą stłuczkę.

– Jedzie samochód – powiedział trzeci. Samochód miał trzy reflektory. Oparli się o poręcz, ukośnie nasunęli kapelusze na oczy, żeby nie raził ich blask, i patrzyli, jak Tempie przejeżdża z Gowaniem. Głowa Tempie była nisko i blisko. Samochód jechał wolno.

- Biedny bękarcie – powtórzył pierwszy.

– Ja biedny? – zapytał drugi. Wyciągnął coś z kieszeni i machnął tym w powietrzu, przeciągając po twarzach kolegów przezroczystą, lekko pachnącą perfumami pajęczyną. – Ja?

- No, a kto?

- Doc ściągnął te figi w Memphis – powiedział trzeci – z jakiejś cholernej kurwy.
- Łżesz, bękarcie – uciął Doc.

Patrzyli na wachlarz blasku, na coraz mniejsze rubinowe tylne światelko samochodu, który podjeżdżał już do "Kojca". Światła zgasły. Po chwili trzasnęły drzwiczki. Światła się zapaliły; samochód ruszył. Wracął. Stali rzędem oparci o poręcz, w kapeluszach ukośnie nasuniętych na oczy, żeby nie raził ich blask. Potłuczone szkło błyskało tu i ówdzie iskierkami. Samochód podjechał i zatrzymał się przy nich.

- Panowie do miasta? – zapytał Gowan otwierając drzwiczki.

Stali oparci o poręcz. Nie zaraz ten pierwszy odburknął:

- Bardzo pan uprzejmy.

Wsiedli. Dwaj zajęli miejsca z tyłu, pierwszy usiadł przy Gowanie.

- Wal pan tędy – ostrzegł. – Tam ktoś rozbił butelkę.

- Dziękuję – powiedział Gowan. Samochód ruszył.

– Jedziecie jutro do Starkville na mecz, panowie? Ci na tylnym siedzeniu nie odpowiedzieli nic.

- Bo ja wiem – odpowiedział pierwszy. – Chyba nie.

– Jestem nietutejszy – powiedział Gowan. – Zabrakło mi dziś w nocy whisky, a już za kilka godzin mam randkę. Czy przypadkiem nie wiecie, panowie, gdzie mógłbym dostać butelkę?

– Jest piekielnie późno – zauważył pierwszy. Odwrócił się do tamtych. – Nie znasz kogoś, Doc, kto by sprzedał o tej porze?

- Lukę mógłby – powiedział trzeci.

- Gdzie on mieszka? – zapytał Gowan.

- Niech pan jedzie – powiedział pierwszy. – Pokażę panu.

Śmignęli przez plac i wyjechali jakieś pół mili za miasteczko.

- To szosa do Taylor, prawda? – zapytał Gowan.

- Tak – odpowiedział pierwszy.

– Muszę tam jechać wczesnym rankiem – powiedział Gowan. – Wyprzedzić pociąg specjalny. Więc mówicie, panowie, że nie jedziecie na ten mecz?

- Chyba nie – odrzekł pierwszy. – Tutaj niech pan zatrzyma.

Ukazało się strome zbocze z grzebieniem dębowego młodniaka.

- Niech pan tutaj zaczeka – powiedział pierwszy. I pogramolił się na zbocze.

Gowan zgasił światła.

- Czy ten Lukę ma dobrą whisky? – zapytał.
- Zupełnie dobrą. Nie gorszą niż inni – powiedział trzeci.
- Komu się nie podoba, nie musi jej pić – mruknął Doc.

Gowan odwrócił się łagodnie, ociężale i spojrzał na niego.

- Taka sama dobra jak to, co pan pił dziś w nocy – powiedział trzeci.
- Tego też nie musiało się pić – mruknął Doc.

– Tu jakoś nie umięją tak dobrze robić whisky jak tam, gdzie ja byłem na uczelni – powiedział Gowan.

- Skąd pan jest? – zapytał trzeci.

– Z Virgin... och, z Jefferson. Studiowałem w Virginii. Tarn to dopiero uczą pić tego.

Ci dwaj nic na to nie powiedzieli. Wrócił pierwszy, poprzedzony lekkim obsuwaniem się ziemi ze zbocza. Przyniósł gąsior. Gowan podniósł gąsior na tle nieba. Szkło lśniło blado i niewinnie. Odkorkował.

- Pijcie, panowie – powiedział.

Ten pierwszy wziął gąsior z jego rąk, łyknął, po czym odwrócił się do siedzących z tyłu.

- Pijcie.

Trzeci łyknął, ale Doc odmówił. Teraz Gowan wypił.

- Dobry Boże! – jęknął. – Jak wy to możecie pić, ludzie?
- Samogon w Virginii nie dla nas – powiedział Doc.

Gowan odwrócił się na siedzeniu i spojrzał.

- Zamknij japę, Doc – powiedział trzeci. – Niech pan nie zwraca na niego uwagi.

Przez całą noc brzuch go bolał.

- Skurwysyn – mruknął Doc.
- Czy to pod moim adresem? – zapytał Gowan.
- Ale skąd – łagodził trzeci. – Doc jest w dechę. No, Doc, napij się.
- Pal to diabli – powiedział Doc. – Dawaj. Wrócili do miasta.
- Barak będzie otwarty – powiedział pierwszy. – Przy składach kolejowych.

Była to ciastkarnia-bar śniadaniowy. Zastali tam tylko człowieka w zaszarganym fartuchu. Poszli w głąb, do alkowy, w której stał stół i cztery krzesła. Człowiek w fartuchu

przyniósł cztery butelki coca-coli i szklanki.

– Można prosić, szefie, o trochę cukru, wodę i cytrynę? – zapytał Gowan. Człowiek w fartuchu przyniósł cukier, wodę i cytrynę.

Ci trzej patrzyli, jak Gowan doprawia whisky.

– Tak mnie nauczono – powiedział. Patrzyli, jak on pije. – Za słaba dla mnie – stwierdził i dolał do szklanki whisky z gąsiora. Wypił.

– Ale pan ciągnie – zauważył trzeci.

– Mam dobrą szkołę. – Wysoko w ścianie było okno. Niebo za oknem szarzało, nabierało świeżości. – Jeszcze jedna kolejka, panowie. – Znow nappełnił swoją szklankę. Ci trzej naleli sobie z umiarem. – Tam w budzie uważają, że lepiej pić od razu do dna niż po trochu – powiedział.

Patrzyli, jak on wychyla tę szklankę. I zobaczyli kropelki potu nagle rozbłysły przy jego nozdrzach.

– Już ma dość – powiedział Doc.

– Kto panu powiedział? – Tym razem Gowan nalał whisky do szklanki na wysokość cala. – Gdybyśmy tylko mieli przyzwoitą wodę. W moich stronach znam niejakiego Goodwina, który robi...

– To się nazywa picie w tamtej szkole? – powiedział Doc.

. Gowan spojrzał na niego.

– Tak pan myśli? Patrz pan.

Zaczął dolewać. Patrzyli, jak whisky w szklance się podnosi.

– Uważaj, chłopie – powiedział trzeci.

Gowan nappełnił szklankę po sam brzeg, podniósł ją i miarowymi łykami wychylił do dna. Jeszcze pamiętał o tym, żeby ostrożnie postawić szklankę na stole, a potem nagle znalazł się gdzieś w chłodnej, szarej świeżości pod gołym niebem, widział lokomotywę sapiącą przed ciemnym szeregiem wagonów na bocznicy i usiłował komuś powiedzieć, że umie pić po dżentelmeńsku. Usiłował jeszcze powiedzieć to w jakimś ciasnym, mrocznym pomieszczeniu, gdzie pa/chniało amoniakiem i kreozotem – wymiotując do muszli usiłował też powiedzieć, że musi być w Taylor o pół do siódmej, bo o pół do siódmej ma tamtędy przejeżdżać pociąg specjalny. Torsje przeszły; poczuł się ogromnie znużony, słaby i zapragnął się położyć, ale wysiłkiem woli przewyciężył to pragnienie i w

blasku zapalki oparł się o ścianę, powoli ześrodkował

wzrok na imieniu i nazwisku, które były tam wypisane ołówkiem. Przymknął jedno oko i oparty o ścianę, chwiejny, zaśliniony, odczytał je. Potem kiwając głową spojrzął na tych trzech.

– Znam... znam tę dziewczynę... dobra jest... dobry kumpel... mam z nią randkę, jedziemy do Stark... Starkville. Bez przyzwoitki, rozumiecie?

I belkocząc, opierając się tam i śliniąc usnął.

Natychmiast zaczął wyrywać się ze snu. Zdawało mu się, że to jest od razu, a przecież nieustannie uprzytomniał sobie, że czas mija i że właśnie dlatego on musi się obudzić; bo jeżeli się nie obudzi, będzie żałował. Przez długą chwilę był świadom, że ma oczy otwarte, i czekał, żeby powróciła im zdolność widzenia. Ale potem, gdy widział znowu, nie zaraz pojął, że już nie śpi.

Leżał nieruchomo. Zdawało mu się, że samym zwalczeniem snu osiągnął cel, dla którego się obudził. Leżał niewygodnie skurczony pod jakimś niskim pułapem i patrzył na fasadę nieznanego budynku, na pędzące ponad nim małe obłoki zaróżowione słońcem – zmysły nie reagowały. Aż raptem mięśnie brzucha dopełniły wymiotów, przerwanych przedtem utratą świadomości, i chciał wstać, i rozciągnął się na podłodze samochodu uderzając głową o drzwiczki. To uderzenie go otrzeźwiło; otworzył drzwiczki, wypadł połową ciała na ziemię, ale dźwignął się, wysiadł i kulawo, biegiem ruszył w kierunku stacji. Upadł. Na czworakach rozejrzał się z niedowierzaniem i rozpaczą po pustej bocznicy i podniósł wzrok w górę na słoneczne niebo. Wstał i pobiegł dalej, potargany, w brudnym smokingu, w koszuli rozchełstanej przy szyi.

“Zemdlałem – myślał z czymś w rodzaju wściekłości. – Zemdlałem. ZEMDLAŁEM.”

Na pustym peronie nie było nikogo oprócz Murzyna z miotłą.

– Jak Bo'ako'am, ci biali! – powiedział Murzyn.

– Pociąg – wysapał Gowan – ten specjalny. Ten na tym torze.

– Odje'ał. Będzie już pięć minut.

Zastygły w geście zamiatania Murzyn patrzył znad miotły, jak Gowan odwraca się, biegnie z powrotem i nieomal koziółkując wskakuje do samochodu.

Na podłodze w samochodzie leżał gąsior. Gowan odsunął go kopnięciem i zapuścił silnik. Wiedział, że musi coś zjeść, na to jednak nie miał czasu. Spojrzął na

gąsior. Poczł mrowienie we wnętrzościach, ale podniósł gąsior i na siłę, ile tylko zdołał, wypił; przełknął, po czym wcisnął do ust papierosa, żeby powstrzymać wymioty. Prawie od razu zrobiło mu się lepiej.

Przejechał przez plac z szybkością czterdziestu mil na godzinę. Było piętnaście po szóstej. Wyjechał na szosę do Taylor i dodał gazu. Nie zwalniając, znów napił się z gąsiora. Gdy dojeżdżał do Taylor, lokomotywa powoli wyciągała pociąg ze stacji. Przepisnął samochód pomiędzy dwoma wozami i dopędził ostatni wagon. Drzwi wagonu się otworzyły; Tempie wyskoczyła z nich i przebiegła jeszcze parę kroków przy pociągu, z którego wychylał się groźący jej pięścią konduktor.

Gowan wysiadł z samochodu. Odwróciła się i szybko ruszyła do niego. Dochodząc przystanąła w półkroku, zanim podeszła z oczami wlepionymi w jego pomiętą twarz i rozczochrane włosy, w jego sponiewierany kołnierzyk i koszulę.

– Jesteś pijany – powiedziała. – Ty świnió. Ty , Wstrętna świnió.

– Miałem szalową noc. Co ty wiesz o tym.

Popatrzyła wokoło, na brudnożółty budynek stacyjny, na przyglądających się jej, powoli żujących gumę mężczyzn w kombinezonach, na tor i na pociąg coraz mniejszy w dali, z czterema kłębami pary, które rozwiały się niemal zupełnie, gdy doleciał gwizd lokomotywy.

– Ty wstrętna świnió – powtórzyła. – Przecież w tym stanie nie możesz nigdzie jechać. Nawet się nie

przebrałeś. – Przy samochodzie zatrzymała się znów. – Co tam masz ze sobą?

– To moja manierka – odpowiedział Gowan. – Wsiadaj.

Patrzyła na niego; usta miała zuchwale szkarłatne, oczy czujne i zimne pod kapeluszem bez ronda, rude włosy w rozsypanych lokach. Potem znów obejrzała się i powiodła wzrokiem po stacji nagiej, brzydkiej na tle świeżego poranka. Wskoczyła do samochodu, podkuliła nogi.

– Jedźmy stąd. Zapuścił silnik i zakręcił.

– Najlepiej odwieź mnie z powrotem do Oxford – powiedziała. Obejrzała się na stację. Teraz tam padał cień, cień sunącej wysoko chmury. – Najlepiej odwieź mnie z powrotem – powtórzyła.

O godzinie drugiej po południu, jadąc z dużą szybkością przez rozszemrane

strzelistymi sosnami pustkowie, Gowan zboczył z wyżwirowanej szosy na wąską drogę biegnącą wąwozem wśród cyprysów i figowców. Pod smokingiem miał tanią niebieską koszulę roboczą. Oczy mu nabiegły krwią i podpuchły, szczęki były sine, nie ogolone i Tempie patrząc na niego, sprężając się i przytrzymując, gdy samochód podskakiwał i podrzucał na głęboko wyżłobionych koleinach, myślała: "Ale mu broda rośnie, odkąd wyjechaliśmy z Dumfries. To był olejek do włosów... to, co on pił. Kupił w Dumfries olejek do włosów i wyżłopał."

Gowan poczuł na sobie jej wzrok.

– No, nie złość się. To nie potrwa nawet minuty, podjadę tylko do Goodwina i kupię butelkę. To nie potrwa nawet dziesięciu minut. Powiedziałem, że cię zawiozę do Starkville prędzej niż pociąg, i zawiozę. Nie wierzysz mi?

Milczała myśląc o przystrojonym flagami pociągu, już dawno stojącym w Starkville; o barwnych trybunach; o orkiestrze i połyskliwej paszczy puzona; o zielonym rombie nacętkowanym zawodnikami, którzy tam teraz skaczą, przysiadają, wydają krótkie, urywane okrzyki jak ptactwo błotne spłoszone przez aligatora, niepewne, z której strony coś zagraża, i nieruchomieją, czają się, dodają sobie nawzajem bodźca właśnie takimi krótkimi okrzykami, bez sensu wojowniczo, żałośnie, bezradnie.

– Już ty nie udawaj niewiniątka, bo mnie nie nabierzesz. Nie myśl, że na darmo spędziłem tę noc z twoimi fryzjerczykami. Nie myśl, że tylko z dobroci serca poilem ich moją wodą. Niezłe z ciebie ziółko! Wydaje ci się, że możesz przez cały okrągły tydzień podbawiać się z byle gogusiowatym frajerem, który ma forda, a mnie oszukiwać w sobotę, co? Nie myśl, że nie widziałem twojego imienia i nazwiska czarno na białym na tej ścianie w ustępie. Nie wierzysz mi?

Milczała, usiłując utrzymać równowagę, gdy rozpedzony samochód kołysał się od zbocza do zbocza wąwozu. A on wciąż patrzył na nią zamiast zająć się kierownicą.

– Na Boga, chcę widzieć kobietę, która potrafi... Droga opadła, piaszczysta pod łukowatym zielonym

sklepieniem, i biegła jak tunel przez gąszcza trzciny i głógów. Samochód z boku na bok kołysał się na rozmiękłych koleinach.

W poprzek drogi leżało zwalone drzewo. Tempie zobaczyła je, ale tylko sprężyła się na nowo. Drzewo to wydało się jej logicznym katastrofalnym uwieńczeniem szeregu okoliczności, w które została wciągnięta. Sztywno i spokojnie siedziała i patrzyła, jak

Gowan, na pozór widząc drogę, jedzie z szybkością dwudziestu mil na godzinę prosto przed siebie. Samochód walnął w drzewo i odskoczył, jeszcze raz walnął i przewrócił się.

Poczuła, że wylatuje w powietrze, unosząc drętwiejący ból w ramieniu i obraz dwóch mężczyzn, wychylonych zza frędzli przydrożnych trzcin. Gramoląc się z upadku odwróciła głowę i znów ich zobaczyła - wychodzili na drogę: jeden, w obcisłym czarnym ubraniu, w słomkowym kapeluszu, palił papierosa, drugi, brodaty, z gołą głową, w kombinezonie i z dubeltówką, rozdziawiał usta, głupkowato zdziwiony. Jeszcze w rozdygotanym ruchu nogi ugięły się pod nią i upadła plackiem na twarz, chociaż wszystko w niej biegło.

Natychmiast zakreśliła się i usiadła z ustami otwartymi do jęknięcia, które zdusił zdławiony oddech. Człowiek w kombinezonie wciąż jeszcze patrzył na nią z naiwnym zdziwieniem, rozdziawiając usta okolone krótką, miękką brodą. Tamten drugi pochylał się nad przewróconym samochodem, przy czym obcisła marynarka marszczyła mu się na łopatkach. Po chwili silnik samochodu ucichł i tylko sterczące w górze przednie koło z rozpędu jeszcze się kręciło – leniwie, coraz wolniej.

V

Człowiek w kombinezonie był ponadto bosy. Szedł przed Tempie i Gowanem wymachując dubeltówką, najwyraźniej bez wysiłku przebierając płaskimi stopami po piasku, w który Tempie przy każdym kroku zapadała się prawie do kostek. Od czasu do czasu oglądał się na nich przez ramię, na zakrwawioną twarz Gowana i jego sponiewierane ubranie, na Tempie brnącą z trudem, chwiejną w czółenkach na wysokich obcasach.

– Niesporo iść, co? – zapytał. – Jak ona ściągnie te trzewiki z wysokimi obcasami, będzie jej lepiej.

– Lepiej? – zapytała Tempie.

Zatrzymała się i stojąc najpierw na jednej, potem na drugiej nodze, przytrzymując się Gowana, zdjęła czółenka. Bosy patrzył na nią, patrzył na czółenka.

– Niech mnie diabli, jak wepchnę choćby dwa palce w coś takiego – powiedział. – Mogę zobaczyć?

Podąła mu jedno. Obrócił je wolno w dłoni.

– Niech mnie pokręci – powiedział. Znów spojrział na nią bladym, pustym wzrokiem. Włosy miał nie ostrzyżone, konopiaste, spłowiałe nad czołem, ciemniejące w niechlujnych kędziarach koło uszu i szyi. – Jaka ona wyrosnięta – zauważył. – Na tych swoich chudych nogach. Ile ona waży?

Tempie wyciągnęła rękę. Zwrócił jej pantofel powoli, patrząc na nią, na jej brzuch i biodra.

– Nic on do tej pory nie zmachał, co?

– Prędzej – powiedział Go wan – chodźmy już. Musimy dostać jakiś samochód i dojechać do Jefferson przed nocą.

Gdy piasek się skończył, Tempie usiadła i włożyła pantofle. Spostrzegła, że bosy patrzy na jej podniesione udo, szybko obciągnęła na sobie sukienkę i zerwała się.

– No – powiedziała – niech pan idzie. Nie zna pan drogi?

Zobaczyli dom ponad gajem cedrowym, za którym, widoczny przez szczeliny między czarnymi drzewami, pysznił się sad jabłoni w popołudniowym słońcu. Dom stał

na zapuszczonym trawniku, wśród odłogów i wałących się zabudowań gospodarskich. Ale nigdzie nie było śladów pługa, łopaty, czy grabi; nigdzie, jak okiem sięgnąć, nie było uprawnego pola – w posepnym gaju rozszemranym smutnymi poszeptami lek-f Mego wiatru tylko nędzna, pociemniała od deszczów ruina. Tempie zatrzymała się.

– Nie chcę tam iść. Niech pan sam pójdzie i poprosi o samochód – poleciała bosemu. – My zaczekamy tutaj.

– On mówił, żeby wszyscy szli do domu – powiedział bosy.

– Kto mówił? – zapytała Tempie. – Czy temu czarnemu się zdaje, że może mi rozkazywać?

– Ach, chodź – powiedział Gowan. – Zobaczymy się z Goodwinem i dostaniemy samochód. Robi się późno. Pani Goodwin jest w domu, prawda?

– A jakże – przytaknęła bosy.

– Chodź – powiedział Gowan.

Podeszli do domu. Bosy wszedł na ganek i postawił dubeltówkę tuż za drzwiami.

– Gdzieś tutaj ona jest – powiedział. Znów spojrzął na Tempie. – Nie ma co pana żona grymasić --zwrócił się do Gowana. – Lee was odstawi do miasta.

Tempie spojrzała na niego. Patrzyli na siebie przez chwilę czujnie jak dwoje dzieci albo jak dwa psv.

– Jak się pan nazywa?

– Tummy się nazywam – powiedział. – Nie ma co grymasić.

Otwarta sień prowadziła przez dom na tyły. Tempie weszła.

– Dokąd idziesz? – zapytał Gowan. – Nie możesz poczekać tu?

Nie odpowiedziała; szła sienią w głąb domu. Jeszcze słyszała za sobą głos Gowana i głos bosego. Przed nią, prostokątem blasku ujętego framugą drzwi, jaśniał tylny ganek. Dalej widziała zbocza porośnięte zielskiem i wielką szopę o zapadniętym dachu, w niezmaconym spokoju słonecznego pustkowia. Na prawo od drzwi wysuwał się narożnik jakiegoś budynku czy też skrzydła tego domu. Ale wszędzie było cicho; głosy dolatywały tylko od frontu.

Szła powoli. I nagle zatrzymała się. Na świetlistą podłogę ganku w prostokącie drzwi padał cień męskiej głowy, więc na pół odwróciła się, gotowa do ucieczki. Ale cień był bez kapelusza. Więc z półobrotu ruszyła znów przed siebie, podeszła na palcach i wyjrzała zza drzwi. W blasku słońca siedział na wyplatanej krześle tyłem do niej jakiś

człowiek z łysym ciemieniem w wianku białych włosów, z rękami skrzyżowanymi na główce sękatego kija. Wysunęła się na tylny ganek.

– Dzień dobry – powiedziała.

Stary nie drgnął nawet. Wysunęła się jeszcze dalej i szybko zerknęła przez ramię. Kącikiem oka dostrzegła chyba nitkę dymu snującą się od drzwi za rogiem tego ganku w kształcie litery L, ale dymek

zaraz zniknął. Naprzeciwko drzwi wisiały na przeciągniętym pomiędzy dwoma słupami sznurze trzy kwadratowe kawałki płótna, wilgotne, sflaczałe, jakby dopiero co uprane, i wyblakła halka z różowego jedwabiu. Halka była tak sprana, że zdobiące ją koronki wyglądały jak nie obrębione strzępy. W jednym miejscu była starannie załatana jaśniejszym perkalem. Tempie znów spojrzała na starego.

Najpierw myślała, że on ma oczy zamknięte, a potem, że on w ogóle nie ma oczu, bo zamiast gałek ocznych między jego powiekami tkwiły dwie kulki – brudnożółte kulki, może z gliny.

– Gowan – szepnęła i nagle zaszlochała: – Gowan!

Z głową odwróconą rzuciła się do ucieczki i wtedy zza tych drzwi, w których dojrzała przedtem ów niewyraźny dymek, zabrzmiał głos:

– On nie słyszy. O co pani chodzi?

Zawróciła w biegu, nie odrywając wzroku od starca, zeskoczyła z ganku i wylądowała na czworakach wśród popiołu, puszek od konserw i zbieleńskich kości, skąd zobaczyła, że zza węgła domu patrzy na nią Wytrzeszcz z rękami w kieszeniach, z papierosem w ustach sterczącym ukośnie, ze smuzką dymu snującą mu się po twarzy. Więc nie przestając uciekać wgramoliła się z powrotem na ganek i jednym susem wpadła do kuchni, gdzie siedziała przy stole i spokojnie paliła papierosa jakaś kobieta, z oczami utkwionymi w drzwi.

VI

Wytrzeszcz okrążył dom i wyszedł przed frontowy ganek. Gowan, przechylony nad poręczą ganku, ostrożnie obmacywał swój zakrwawiony nos. Bosy człowiek siedział na piętach pod ścianą.

– Rany boskie! – powiedział Wytrzeszcz. – Nie możesz go zabrać za dom i wymyć? Chcesz, żeby ślaniał się tutaj przez cały dzień jak jakiś cholerny nie dorżnięty wieprz.

Ciskając papierosa w zielsko usiadł na najwyższym schodku i platynowym scyzorykiem uwieszonym na końcu dewizki zaczął zeskrobywać błoto z butów.

Bosy wstał.

– Pan wyraził się... – zaczął Gowan.

– Psst! – syknął bosy. Zmarszczył brwi, mrugał do Gowana, głową wskazywał plecy Wytrzeszcza.

– A potem wracaj tam na drogą – powiedział Wytrzeszcz. – Słyszysz?

– Myślałem, że pan tam chce stróżować – powiedział bosy.

– Nie myśl – Wytrzeszcz oskrobywał mankiety spodni. – Przez czterdzieści lat obywałeś się bez myślenia. Rób, co mówią.

Dochodząc z Gowanem do tylnego ganku, bosy powiedział:

– On ani rusz nie może ścierpieć, żeby ktoś... Niezwyczajny z niego facet, no nie? Niech mnie gęś kopnie, jak on nie jest jak raz do cyrku. Ani rusz nie może ścierpieć, żeby ktoś tu pił poza jednym Lee. Sam nie pije i mnie da ledwie odrobinę łyknąć, i niech mnie gaś kopnie, jak nie wygląda na takiego, co go zaraz drygawki chycą.

– On mówił, że pan ma czterdzieści lat – powiedział Gowan.

– Tyle to nie – bąknął bosy.

– A ile? Trzydzieści?

– Ja tam nie wiem. Ale nie tyle, co on mówił. W słońcu na krześle siedział starzec.

– To tylko tata – powiedział bosy.

Lazurowy cień cedrów zagarnął już nogi starego. Sięgał prawie do jego kolan. Starcza ręka wyciągnęła się i zanurzyła w ten cień, nieporadnie macając przy kolanach, po czym, ocieniona po przegub, znieruchomiała. Starzec wstał, chwycił za oparcie krzesła

i ze stukaniem kija, z szuraniem ruszył prosto na nich tak gwałtownie, że musieli przed nim uskoczyć. Wyciągnął krzesło w pełny słoneczny blask i usiadł znowu

z twarzą wzniesioną ku słońcu, z rękami skrzyżowanymi na główce kija.

– To tata – wyjaśnił bosy. – I ślepy, i głuchy. Niech mnie gęś kopnie, jakbym się nie wściekał, gdyby na mnie takie skaranie popadło, co to ani poznać, ani uważać, co się je.

Na belce umocowanej pomiędzy dwoma słupami stało cynkowane wiadro, blaszana miednica i wyszczerbione naczynie, w którym był kawałek żółtego mydła.

– Do diabła z wodą – powiedział Gowan. – Jak z tą wodą?

– Mnie się widzi, że pan już wypił za dużo. Niech mnie gęś kopnie, jak pan sam nie wykierował samochodu prosto na to drzewo.

– No, mów pan. Nie ma gdzieś schowanej?

– Trochę to by i było w stajni. Tylko niech on nas nie słyszy, bo jak się połapie, to weźmie i wyleje. A jakże.

Wrócił do drzwi i zajrzał w głąb sieni. Potem zeszli z ganku i przez dawny warzywnik zarośnięty cedrami i dębowym młodniakiem doszli do stajni. Dwa razy bosy obejrzał się na dom. Za drugim razem powiedział:

– Pana żona coś tam chce. Tempie stała w drzwiach kuchni.

– Gowan! – wołała.

– Niech pan do niej kiwnie czy co – powiedział bosy. – Bo jak będzie tak krzyczała, to on nas usłyszy.

Gowan pomachał ręką. Weszli do stajni. Przy wejściu stała byle jak sklecona drabina.

– Lepiej niech pan zaczeka, ja wprzód wleżę – powiedział bosy. – Ona dosyć zgniła. Dwu chłopa

lchyba nie utrzyma.

– Więc nie możecie jej naprawić? Nie używacie jej codziennie?

– Nie rozlatała się jak do tej pory.

Po drabinie, on pierwszy, Gowan za nim weszli na stryszek, w mrok prążkowany żółto tam, gdzie przez nieszczelne ściany i dach przenikały poziome promienie słońca.

– Pan idzie za mną – powiedział bosy. – Bo jak pan stąpnie na jakąś luźną deskę,

to rymnie pan na dół, ani się pan obejrzy.

Lawirując doszedł do kąta i ze sterty gnijącego siana wygrzebał kamionkowy gąsior.

– Tylko w tym jednym schowaniu on nie szuka – powiedział. – Boi się o te swoje ręce, takie panięskie.

Wypili.

– Ja to już i dawniej tu pana widziałem – powiedział bosy. – Tylko że nie pamiętam, jak się pan nazywa.

– Stevens. Od trzech lat kupuję whisky u Goodwina. Kiedy on wróci? Musimy jechać do miasteczka.

– Zaraz będzie. Dawniej także pana widziałem. A cztery dni temu to był u nas inny z Jefferson. Też nie spamiętam, jak się nazywa. On to dopiero miał gadanie. Gadał i gadał, jak się rozeźlił i rzucił żonę. Niech pan gołnie jeszcze. – Bosy nagle zamilkł i przykucnął powoli, z gąsiorem w podniesionej ręce, z głową przechyloną, nasłuchując.

Po chwili z dołu znów doleciał głos:

– Ty, Jack!

Bosy spojrzał na Gowana. Usta rozdziawił z głupkowatą uciechą. Miał tylko resztki zębów, wyszczerbione i szerniałe, w miękkiej, brunatnej gęstwinie brody.

– Ty, Jack, tam na górze! – powiedział głos.

– Słyszysz pan jego? – szepnął bosy aż dygocząc z uciechy. – On na mnie woła Jack. A mnie przecież Tummy.

– Złaż – doleciał głos. – Wiem, że tam jesteście.

– Nie ma co, lepiej zleźć – powiedział Tommy. – Bo jak nic strzeli przez podłogę.

– Do diabła! – zdenerwował się Gowan. – Dlaczego pan mu... Już – zawołał – już schodzimy!

Na dole w drzwiach stał Wytrzeszcz, z palcami wskazującymi obu rąk zatkniętymi za kamizelkę. Słońce już zaszło. Gdy wychodzili ze stajni, zobaczyli Tempie schodzącą z kuchennego ganku. Przystanęła patrząc na nich, po czym ruszyła w dół po zboczu wzgórza. Zaczęła biec.

– Czy ja ci nie kazałem iść tam na drogę? – zapytał Wytrzeszcz.

– Tylko na minutę tu wleźliśmy jeden z drugim – powiedział Tommy.

– Kazałem ci tam iść czy nie?

– A jakże – powiedział Tommy. – Kazał pan.

Wytrzeszcz odwrócił się bez jednego bodaj spojrzenia na Gowana. Tommy poszedł za nim. Plecy wciąż jeszcze mu dygotały z potajemnej uciechy.

Tempie spotkała Wytrzeszcza, gdy był w połowie drogi do domu. Nie przestała biec, a przecież wydawało się, że przystanęła. Roztrzepotany na niej płaszcz jeszcze jej nie dogonił, ale przez uchwytną chwilę patrzyła wprost w oczy Wytrzeszcza, błyskając zębami w sztucznym, kokieteryjnym grymasie. Przeszedł i nawet na sekundę nie ustało miarowe kołysanie się jego wąskich pleców, pretensjonalne i aroganckie. Tempie biegła dalej. Minęła Tommy'ego i chwyciła za ramię Gowana.

– Gowan, ja się boję. Ona powiedziała, że lepiej, żeby mnie tutaj... Ty znowu piłeś; nawet nie zmyłeś tej krwi... Ona mówi, że lepiej, żebyśmy stąd odjechali...

Oczy miała zupełnie czarne, twarz małą i bladą w zapadającym zmierzchu. Spojrzała w stronę domu; Wytrzeszcz już zniknął za węglem.

– Ona musi chodzić po wodę kawał drogi do źródła; ona... oni mają fantastycznego małego dzidziusia w skrzynce za piecem. Gowan, ona naprawdę powiedziała, że lepiej, żeby mnie tutaj nie było, kiedy się ściemni. Więc żeby jego poprosić. On ma samochód. Powiedziała, że on chyba nie...

– Kogo poprosić? – zapytał Gowan.

Tommy odwrócił się i spojrzał na nich. I znów szedł dalej przed siebie.

– Tego czarnego. Powiedziała, że on chyba nie zechce, ale że mógłby. Chodź.

Podeszli pod dom. Ścieżka nie opodal domu prowadziła wzdłuż bocznej ściany przed frontowy ganek. Pomiedzy domem i tą ścieżką stał wśród wysokich chwastów samochód. Tempie, kładąc rękę na drzwiczkach samochodu, znów zatrzymała się przed Gowanem.

– Nie zabierze mu to wiele czasu w tym wozie, wiem, bo jeden chłopiec u nas ma taki. Wyciąga osiemdziesiąt mil. Musiałby tylko podrzucić nas do pierwszego lepszego miasteczka, bo ona pytała, czy jesteśmy małżeństwem, i musiałam jej powiedzieć, że jesteśmy. Tylko do pociągu. Może nawet gdzieś bliżej niż w Jefferson jest jakaś stacja – szeptała wpatrzona w niego i głaskała krawędź tych drzwiczek.

– O – powiedział Gowan. – Ja mam go poprosić! I co jeszcze? Masz kompletnego bzika. Myślisz, że ten małpison nas odwiezie? Zresztą wolę tu siedzieć przez cały

tydzień niż jechać z nim dokądkolwiek.

- Ona tak powiedziała. Powiedziała, że lepiej, żeby mnie tutaj nie było.
 - Głupia jesteś jak but. Chodź.
 - Więc nie poprosisz? Nie zrobisz tego?
 - Nie. Poczekaj, aż przyjdzie Lee, przecież ci mówię. Lee postara się o samochód.
- Poszli dalej ścieżką. Wytrzeszcz, oparty o słup frontowego ganku, palił papierosa.

Tempie wbiegła na połamane schodki.

- Niech pan powie. Nie chce pan – zapytała – odwieźć nas do miasta?

Z papierosem w ustach, osłaniając obiema dłońmi płomyk zapalki, odwrócił głowę. Usta Tempie zastygły w unizienie przymilnym grymasie. Pochylił papierosa do płomyka.

- Nie – odpowiedział.

– Och – powiedziała. – Niech pan będzie dobrym kumplem. Tym packardem to panu wcale nie zabierze czasu. Więc jak? Zapłacimy panu.

Wytrzeszcz zaciągnął się. Cisnął zapalkę w chwasty i cichym, zimnym głosem rzekł:

- Ty, Jack, powiedz no tej swojej kurwie, żeby się ode mnie odwaliła.

Gowan zadreptał niezdarnie jak ciężki, łagodny koń, nagle spięty ostrogą.

- Słuchaj pan... – zaczął.

Wytrzeszcz wypuścił dym dwiema wylatującymi z nozdrzy w dół cienkimi smużkami.

– To mi się nie podoba – ciągnął Gowan. – Czy pan wie, z kim pan mówi? – Dalej dreptał w miejscu niezdarnie, jak gdyby nie mógł ani przestać, ani ruszyć z miejsca. – To mi się nie podoba.

Wytrzeszcz odwrócił głowę i spojrzał na Gowana. Potem spuścił wzrok, a Tempie nagle zadrwiła:

– W jaką to rzekę wpadł pan w tym ubraniu, że takie na panu oblepione? Na noc musi pan je chyba

zeskrobywać z siebie żyletką.

Gowan położył jej rękę na krzyżu i, popychana przez niego, ruszyła ku drzwiom, z głową odrzuconą do tyłu, postukując obcasami. Wytrzeszcz, odwrócony profilem, stał nieruchomo oparty o słup.

- Chcesz, żeby?... – syknął Gowan.
- Ty podlecu! – krzyknęła. – Ty podlecu! Gowan wepchnął ją do sieni.
- Chcesz, żeby ci roztrzaskał tę twoją cholerną makówkę? – zapytał.
- Ty się go boisz – stwierdziła. – Boisz się!
- Stul pysk!

Zaczął nią potrząsać. Stopy jej zaszurały po podłodze, jak w nieporadnym jakimś tańcu. Zwarli się ze sobą i potoczyli na ścianę.

- Widzisz – powiedział – przez ciebie znów mi to świństwo idzie do głowy.

Wyrwała mu się i uciekła. Oparty o ścianę patrzył na jej sylwetkę na tle tylnych drzwi, dopóki w nich nie znikła.

Wbiegła do kuchni. Było tam ciemno, tyle że jaśniał krechą blask ognia w szparze nad drzwiczkami pieca. Zakręciła się, wybiegła i zobaczyła, że Gowan już schodzi ze zbocza w stronę stajni.

“Jeszcze więcej wypije – pomyślała. – Znowu pijany. To trzeci raz dzisiaj.” Mrok w sieni narastał. Stała na palcach, nasłuchując, myśląc: “Jestem głodna, nic nie jadłam przez cały dzień” – i myśląc o uczelni, o oświetlonych oknach, o chłopcach i dziewczętach parami, opieszale idących ku dźwiękom dzwonka na kolację, a potem o domu, o ojcu, który siedzi teraz na ganku, nogi opiera o poręcz i patrzy, jak Murzyn kosi trawnik.

Przesunęła się cicho na palcach. W kącie przy drzwiach zobaczyła dubeltówkę. Wcisnęła się w ten kąt i rozplakała. Ale natychmiast przestała płakać, wstrzymała oddech. Coś szło za ścianą, przy której stała. Coś człapało, nierównymi krótkimi krokami, poprzedzanymi suchym stukaniem. Aż wyszło tak do sieni i wtedy wrzasnęła czując, jak jej płuca opróżniają się jeszcze długo po wychnięciu całego powietrza, jak przepona pracuje jeszcze długo po opróżnieniu się klatki piersiowej, i patrzyła na starca, który na rozsuniętych nogach, z kijem w jednej ręce, z łokciem drugiej sterczącym od pasa pod kątem ostrym, człapał przez sień już truchtem. Przebiegła obok niego – mglistej, rozkraczonej postaci na krawędzi ganku – wpadła do kuchni i rzuciła się w kąt za piecem. Przykucnęła, wyciągnęła skrzynkę i postawiła ją przed sobą. Dłonią dotknęła twarzyczki dziecka, a potem kurczowo obejmując skrzynkę, wpatrzona w blado majaczące drzwi, spróbowała się modlić. Ale nie przyszło jej na myśl ani jedno miano, jakim mogłaby się odwołać do ojca niebieskiego, więc zaczęła tylko powtarzać:

- Mój ojciec jest sędzią, mój ojciec jest sędzią.

I powtarzała to raz po raz, gdy nagle do kuchni wszedł szybkim, lekkim krokiem Goodwin. Zapalił zapalkę i w tym światełku patrzył na dziewczynę przy skrzynce, dopóki płomyk nie dosięgnął jego palców.

– Ha! – powiedział.

Usłyszała dwa szybkie, lekkie stąpnięcia, poczuła muśnięcie jego ręki na policzku i podniósł ją znad skrzynki za kark jak kociaka.

– Co robisz w moim domu? – zapytał.

VII

Gdzieś spoza oświetlonej lampą sieni słyszała głosy: jakieś słowo, od czasu do czasu śmiech – chrypliwy, szyderczy śmiech mężczyzny skorego do wesołości, bo jeszcze bardzo młodego albo już w bardzo podeszłym wieku – przecinający skwierczenie mięsa w rynce na kuchennym piecu, przy którym stała kobieta. Potem usłyszała, jak dwaj z nich w ciężkich butach przechodzą przez sień, i czerpak szczęknął o cynkowane wiadro i ów ktoś, kto śmiał się przedtem, zaklął. Przytrzymując na sobie płaszcz, ostrożnie, z wielką i nieśmiałą ciekawością dziecka wyjrzała w półmrok za drzwiami i zobaczyła Gowana z jakimś mężczyzną w bryczesach khaki. "Znowu pije – pomyślała. – Po raz czwarty, odkąd wyjechaliśmy z Taylor."

– Czy to pani brat? – zapytała.

– Kto? – zapytała kobieta. – Mój co? Odwróciła mięso w syczącej rynce.

– Myślałam, że to może pani młodszy brat.

– Boże! – powiedziała kobieta. Odwróciła mięso drucianym widelcem. – Mam nadzieję, że nie – powiedziała.

– A gdzie jest pani brat? – zapytała Tempie wyglądając w półmrok za drzwiami. – Ja mam czterech braci. Dwaj są adwokatami, jeden dziennikarzem.

A czwarty jeszcze studiuje. W Yale. Mój ojciec jest sędzią. Sędzia Drake w Jackson.

Pomyślała o ojcu, który w płóciennym ubraniu i z wachlarzem z palmowego liścia w ręce siedzi teraz na werandzie i patrzy, jak Murzyn kosi trawnik.

Kobieta otworzyła drzwiczki i zajrzała do pieca.

– Nikt tu pani nie zapraszał. I ja pani nie zatrzymywałam. Radziłam zabrać się stąd jeszcze za dnia.

– W jaki sposób? Prosiłam go. Gowan nie chciał, więc sama musiałam go prosić.

Kobieta zamknęła drzwiczki pieca, odwróciła się i stojąc tyłem do światła spojrziała na Tempie.

– W jaki sposób? A czy pani wie, skąd ja mam wodę? Chodzę po nią. Milę. Sześć razy dziennie. Niech pani to razem doda. I chodzę nie dlatego, żebym była gdzieś, gdzie się boję zostać.

Podeszła do stołu, wzięła paczkę papierosów i wytrząsnęła jednego.

– Mogę prosić o papierosa? – zapytała Tempie. Kobieta smyrnęła jej paczkę po stole. Zdjęła

szkiełko z lampy i zapaliła papierosa od knota. Tempie pochwyciła paczkę, a potem stała i słuchała, jak Gowan i ten drugi wracają do domu.

– Tyłu ich jest – powiedziała żałośnie patrząc na papierosa i powoli ugniatając go w palcach. – Ale może... skoro jest ich tyłu...

Kobieta już odeszła z powrotem do pieca. Odwróciła mięso w rynce.

– Gowan znowu pije. Upił się dzisiaj trzy razy. Był pijany, kiedy wysiadłam z pociągu w Taylor, a ja już jestem zawieszona w czynnościach i powiedziałam mu, co się stanie, i robiłam, co mogłam, żeby wyrzucił ten gąsior, ale kiedy zatrzymaliśmy się w takim małym wiejskim sklepiku, żeby kupić koszulę, znowu się upił. Więc nic nie jedliśmy i zatrzymaliśmy się w Dumfries, a on wszedł do restauracji, ale ja byłam zanadto zdenerwowana, żeby jeść, i nie mogłam go znaleźć, a on tymczasem poszedł na inną ulicę i kiedy wrócił, namacałam w jego kieszeni butelkę, zanim mnie trzepnął po ręce. I wciąż mówił, że mam jego zapalniczkę, a wtedy, kiedy ją zgubił i ja mu powiedziałam, że ją zgubił, zaklął się, że w ogóle nie miał żadnej zapalniczki nigdy w swoim życiu. Mięso w rynce syczało i skwierczało.

– Upił się trzy razy pod rząd – ciągnęła Tempie. – Trzy razy pod rząd w ciągu jednego dnia.

Buddy, to znaczy Hubert, mój najmłodszy brat, powiedział, że spierze mnie na kwaśne jabłko, jeżeli kiedykolwiek przyłapie mnie z kimś pijanym. A teraz właśnie jestem z takim, co się upija trzy razy w ciągu jednego dnia.

Opierając się biodrem o stół, ugniatając w dłoni papierosa parsknęła śmiechem.

– Nie uważa pani, że to komiczne? – zapytała. . _

I wstrzymała oddech, wstrzymała ten swój śmiech i znów słyszała słabe pykanie lampy, skwierczenie mięsa w rynce i syk wody w czajniku na kuchennym piecu, i głosy z głębi domu, szorstkie, urywane, czcze męskie hałasy.

– I pani tak co wieczór musi gotować dla nich wszystkich. Oni wszyscy tu jedzą i tak co wieczór pełno ich tu wszędzie w tych ciemnościach...

Upuściła pokruszonego papierosa.

– Czy mogę potrzymać dzidziusia? Ja umiem; będę go dobrze trzymała.

Podbiegła do skrzynki, pochyliła się i podniosła śpiące dziecko. Ale ono otworzyło oczy i zakwiliło.

– No, no. Już Tempie cię trzyma.

Pokołysała dziecko unosząc je wysoko i niezdarnie w szczupłych ramionach i spojrzała na plecy kobiety.

– Proszę pani – zapytała – poprosi go pani? To znaczy męża. Przecież mąż pani może wziąć jakiś samochód i gdzieś mnie odwieźć. Dobrze?

Dziecko przestało kwilić. Gałki oczne jak kreski widać mu było spod ołowianych powiek.

– Nie boję się – powiedziała Tempie. – Takie rzeczy się nie zdarzają. No nie? Oni są zupełnie tacy sami jak inni ludzie. I pani jest zupełnie taka sama

jak inni ludzie. Z małym dzidziusiem. A poza tym mój ojciec jest są... sędzią. Gu... gubernator przychodzi do nas na ko... kolację. Taki fajny malusieńki dzi... dzidziuuuuś – zaszlochała podnosząc dziecko na wysokość twarzy. – Jeżeli ktoś zły skrzywdzi Tempie, my o tym powiemy żołnierzom gubernatora, powiemy, prawda?

– Jak jacy ludzie? – zapytała kobieta, zajęta odwracaniem mięsa w rynce. – Czy pani się zdaje, że Lee nie ma nic lepszego do roboty niż uganiać się za każdą z was, byle jakich, małych...

Otworzyła drzwiczki pieca, wrzuciła papierosa w ogień i zatrzasnęła drzwiczki. Spojrzała na Tempie, której kapelusz zsunął się na tył głowy, gdy przytuliła twarz do dziecka, i sterczał teraz niepewnie, jakoś hulaszczco przekrzywiony nad jej poplątanymi lokami.

– Właściwie dlaczego przyjechaliście tutaj?

– To Gowan. Błagałam go. Już i tak ten mecz nam przepadł, ale błagałam go, żeby tylko podrzucił mnie do Starkville, zanim pociąg specjalny wyruszy z powrotem, i wtedy nawet by nie wiedzieli, że mnie tam nie było, bo te, które widziały, jak wysiadałam, pary by nie puściły z ust. Ale on nie chciał. Powiedział, że wpadniemy tutaj tylko na minutę po jeszcze trochę whisky, a przecież był już pijany. A przedtem też pił na umór, odkąd wyjechaliśmy z Taylor, a ja jestem zawieszona w czynnościach szkolnych i tatuś to by chyba skonał. Ale on nie chciał mnie posłuchać. Znowu się upił, kiedy go błagałam, żeby mnie podrzucił do pierwszego lepszego miasteczka i pozwolił mi wysiąść.

– Zawieszona w czynnościach szkolnych? – zapytała kobieta.

– Za to wymykanie się wieczorem. Bo tylko chłopcy z miasta mogą mieć samochody i jeżeli w piątek czy w sobotę, czy w niedzielę ma się randkę z jakimś chłopcem z miasta, to chłopcy z uczelni się obrażają i już w ogóle nie chcą się umawiać, bo im nie wolno

mieć samochodów. Więc musiałam się wymykać w tygodniu. I jedna dziewczyna, która mnie nie lubi, doniosła dziekanowi, bo miałam właśnie randkę z chłopcem, który jej się podobał, ale ona mu nie i już się z nią nigdy nie umówił. Więc musiałam.

– Gdyby się pani nie wymykała, toby pani nie mogła puszczać się... samochodem – powiedziała kobieta. – A teraz, kiedy wymknęła się pani o ten jeden raz za dużo, podnosi pani lament.

– Gowan nie jest chłopcem z miasta. On jest z Jefferson. Kształcił się w Virginii. Ciągłe mówił, jak go tam uczyli pić po dżentelmeńsku, a ja go błagałam, żeby mi pozwolił wysiąść gdzie bądź i żeby mi pożyczył pieniędzy na bilet, bo nam dali tylko po dwa dolary, ale on...

– Och, ja was znam – powiedziała kobieta. – Uczciwe dziewczyny. Kręcące nosem na zwyczajnych ludzi. Będziecie się wymykać wieczorem ze smarkaczami, ale niech tylko przejdzie obok prawdziwy

mężczyzna... – odwróciła mięso w rynce. – Bierzecie wszystko, co możecie wziąć, i w zamian nie dajecie nic. “Jestem przyzwoitą dziewczyną. Co pan sobie myśli?” Będzie się pani wymykać ze smarkaczami i wypalać ich benzynę, i jeść za ich pieniądze, ale niech tylko spojrzy na panią mężczyzna, niech tylko spojrzy, nic więcej, już pani mdleje, bo pani ojciec jest sędzią i czterem pani braciom mogłoby się to nie podobać. Ale kiedy się pani pakuje w kłopoty, do kogo pani leci z płaczem? Do nas, właśnie do tych niegodnych zawiązać sznurowadła u butów pana sędziego wszechmogącego.

Tempie, z twarzą jak mała blada maska pod przekrzywionym kapeluszem, zapatrzyła się, ponad dzieckiem, w plecy kobiety.

– Mój brat powiedział, że zabije Franka. Nie powiedział, że mi złośliwość, jeżeli mnie z nim przyłapie. Powiedział, że zabije tego cholernego skurwysyna w jego żółtym powoziku, a ojciec zwymyślał brata i powiedział, że jeszcze przez jakiś czas sam potrafi

być głową rodziny, i zapędził mnie do domu i zamknął na klucz, i poszedł na most czekać na Franka. Ale ja nie stchórzyłam. Zeszłam po rynnie, zabiegłam Frankowi drogę i powiedziałam mu. Błagałam, żeby wyjechał, ale on powiedział, że wyjedziemy oboje.

Kiedy wsiedliśmy do powoziku, wiedziałam, że to już ostatni raz. Wiedziałam i błagałam go znowu, żeby wyjechał, ale on powiedział, że mnie zawiezie do domu po walizkę i że powiemy ojcu. Też nie był tchórzem. Ojciec siedział na ganku. Powiedział: "Wysiadaj mi zaraz", więc wysiadłam i błagałam Franka, żeby pojechał, ale on wysiadł także i podeszliśmy aleją do domu, i wtedy ojciec sięgnął za drzwi i wyciągnął dubeltówkę. Stałam przed Frankiem, a ojciec zapytał: "Ty także chcesz?" Staralam się dalej stać przed Frankiem, ale Frank odepchnął mnie i stanął przede mną, i wtedy ojciec go zastrzelił, i powiedział: "Precz do swojego pokoju, a na kolację zjedz swoje plugastwo, ty kurwo!" Tak mnie nazwał – szepnęła Tempie nad śpiącym dzieckiem, które trzymała wysoko w szczupłych ramionach, zapatrzona w plecy kobiety.

– Ale jesteście cnotliwe. Tanio się bawicie. Nic nie dajecie, a potem, kiedy was przyłapią... Czy pani wie, w co się pani teraz wpakowała? – Z widelcem w ręku kobieta obejrzała się na Tempie. – Myśli pani, że tutaj to są smarkacze? Smarkacze, którzy dużo sobie będą robili z tego, co się pani podoba, a co nie? To ja już powiem, do czyjego domu pani weszła nieproszona i niepotrzebna; po kim się pani spodziewa, że ciśnie wszystko i odwiezie panią z powrotem tam, skąd w ogóle nie trzeba było się ruszać. On, kiedy służył w wojsku na Filipinach, zabił żołnierza o jedną z tych murzyńskich dziwek i wsadzili go do Leavenworth. A potem wybuchła wojna, więc go wypuścili, żeby poszedł się bić. Zdobył dwa medale, ale kiedy wojna się skończyła, wsadzili go do Leavenworth z powrotem i siedział tam, dopóki pewien adwokat nie załatwił

z pewnym posłem na Kongres jego zwolnienia. Wtedy mogłam znów przestać się kurwić...

– Kurwić? – szepnęła Tempie nad dzieckiem, sama, w swojej kusej sukience i kapeluszu na czubku głowy, wyglądając jak wyrosnięte, długonogie dziecko.

– Tak, aniołeczku! – powiedziała kobieta. – niby czym miałam zapłacić temu adwokatowi?

taki to jest ten człowiek, którego w pani pojęciu będzie obchodziło bodaj tyle... – podeszła z widelcem w dłoni i miękko, złośliwie przytknęła palcami przed twarzą Tempie – ...co się z panią stanie. A pani, lala malowana, przecież sobie wyobraża, że nie może wejść do pokoju, gdzie jest mężczyzna, bez tego, żeby |on...

Piersi jej pod wypłowiałą suknią zafalowały głębokim, pełnym oddechem. Wzięła się pod boki i utkwiała w Tempie zimne, jaśniejsze oczy.

– Mężczyzna? Nigdy pani nie widziała prawdziwego mężczyzny! Nie wie pani, jak to jest, kiedy prawdziwy mężczyzna pożąda. I niech pani dziękuje swoim gwiazdom za to, że pani nie wie i w życiu swoim się nie dowie, bo wtedy by pani zrozumiała, co jest warta ta pani buziuchna i ta cała pani reszta, której tak zazdrośnie pani strzeże tylko dlatego, że się pani boi. I jeżeli to będzie na tyle mężczyzna, że panią nazwie kurwą, powie mu pani wtedy: "Tak, tak, tak", i nago się poczołga do niego po błocie i gnoju, żeby panią tak nazwał... Niech mi pani da to dziecko.

Ale Tempie z dzieckiem w objęciach, zapatrzona w kobietę, tylko poruszała bezdźwięcznie ustami, jak gdyby mówiła: "Tak, tak, tak." Kobieta rzuciła widelec na stół.

– Niech go pani puści – powiedziała biorąc od niej dziecko.

Dziecko otworzyło oczy i zaczęło płakać. Kobieta wysunęła krzesło, usiadła i położyła sobie dziecko na kolanach.

– Może mi pani poda jedną z tych pieluch, tam ze sznura – powiedziała.

Tempie stała jak wrośnięta w podłogę, wciąż jeszcze poruszając ustami.

– Boi się pani wyjść tam? – zapytała kobieta. Podniosła się.

– Nie – powiedziała Tempie. – Przyniosę...

– Już ja przyniosę.

Nie zasznurowane buciory pokłapały przez kuchnię. Kobieta wróciła i przysunęła do pieca drugie krzesło, na którym rozłożyła dwa pozostałe kawałki płótna i halkę, po czym znów usiadła kładąc sobie dziecko na kolanach. Dziecko kwiliło.

– Cicho – powiedziała. – No, już cicho.

Twarz jej w świetle lampy przybrała pogodny, zadumany wyraz.

Przewinęła dziecko i położyła je w skrzynce. Potem z kredensu zasłoniętego rozprutym workiem wyjęła półmiski, ze stołu wzięła widelec i podeszła do Tempie, znów spojrzała jej w oczy.

– Niech pani posłucha – powiedziała. – Jeżeli załatwię dla pani samochód, czy pani stąd odjedzie?

Zapatrzona w nią Tempie poruszała ustami, jak gdyby przeprowadzała ze słowami doświadczenia, próbowała, jaki smak mają słowa.

– Wyjdzie pani od tyłu i wsiądzie pani, i odjedzie, i już nigdy tu pani nie wróci?

– Odjadę – szepnęła Tempie. – Wszystko jedno dokąd. Wszystko jedno jak.

Kobieta zmierzyła Tempie od stóp do głowy spojrzeniem zimnym i na pozór nieruchomym. Tempie czuła przy tym, jak wszystkie mięśnie jej się kurczą niczym odcięte pędy winorośli w słońcu południa.

– Ty biedna, głupia lalo malowana – powiedziała kobieta cichym, zimnym głosem. – Dla ciebie to zabawa.

– Nie. Nie.

– Będzie co opowiadać po powrocie, prawda? Kiedy tak stały twarzą w twarz, głosy ich były jak

cienie padające na dwie przeciwległe sobie ślepe ściany.

– Dla ciebie to zabawa.

– Wszystko jedno jak. Żeby tylko się stąd wydostać. Wszystko jedno dokąd.

– To nie o niego się boję. Pani sobie wyobraża, że : Lee jest jak pies, który biega za każdą ciekającą się

suczka, spotkaną na drodze. Boję się o panią.

– Tak. Odjadę wszystko jedno dokąd.

– Ja was znam. Widziałam takie. Wiecznie uciekacie, ale nie za prędko. Nie aż tak prędko, żebyście nie zdążyły poznać się na prawdziwym mężczyźnie, kiedy przypadkiem na niego traficie. Pani chyba sobie nie wyobraża, że ten, którego pani ma, to prawdziwy mężczyzna?

– Gowan? – szepnęła Tempie. – Gowan?

– Harowałam dla Lee jak niewolnica – prawie nie poruszając wargami szeptała kobieta spokojnie i beznamiętnie, jak gdyby odmawiała codzienny pacierz. – Byłam kelnerką i pracowałam rano i nocnej zmianie tylko po to, żeby móc w niedzielę odwiedzać go w więzieniu. Przez dwa lata mieszkałam w sublokatorskim pokoju i gotowałam na palniku gazowym, ?bo mu obiecałam. Kłamałam mu i zdobywałam pieniądze, żeby go wydostać, a kiedy mu powiedziałam, w jaki sposób je zdobyłam, zbił mnie. A teraz coś musiało tu przynieść panią. Po co? Nikt tu pani nie potrzebuje, nikt tu pani nie prosił. I nikogo nie obchodzi, czy się pani boi, czy nie. Boi się pani? Przecież taka lala malowana nie umie nawet bać się naprawdę, nie tylko kochać.

– Zapłacę pani – szepnęła Tempie. – Ile tylko l pani zażąda. Ojciec da mi pieniądze. – Kobieta z twarzą tak nieruchomą i sztywną jak przed chwilą, |gdy mówiła, patrzyła na nią. – Przyślę pani ubranie, Mam nowe futro. Nosilaam je tylko od Bożego

Narodzenia. Jest jak nowe.

Kobieta roześmiała się. Bezdźwięcznie, samymi ustami, wciąż z twarzą nieruchomą.

– Ubranie? Miałam kiedyś trzy futra. Jedno oddałam jakiejś kobiecie w zaułku przy knajpie. Ubranie? Boże! – Odwróciła się nagle. – Postaram się o samochód. Odjedzie pani i już nigdy tu pani nie wróci. Słyszysz pani?

– Tak – szepnęła Tempie.

Bez ruchu, blada, patrzyła lunatycznie, jak kobieta wykłada mięso na półmisek i polewa je sosem. A potem, jak wyjmując z piekarnika patelnię z grzankami i jak wrzuca grzanki na talerz.

– Czy mogę pani pomóc? – zapytała.

Kobieta nie odpowiedziała. Zabrała ze stołu półmisek i talerz i wyszła. Tempie podeszła do stołu, wyjęła z paczki papierosa i stała, tępo wpatrując się w lampę. Szkiełko lampy było z jednej strony zakopcone. Cienką srebrną krzywizną znaczyło je w poprzek pęknięcie. Lampa była blaszana, pokryta przy szyjce warstwą brudnego tłuszczu.

“Ona przecież zapaliła papierosa od tej lampy” – pomyślała Tempie, z papierosem w ręce zapatrzona w nierówny płomień. Kobieta wróciła i zdjęła z płyty osmolony kociołek z kawą, ujmując go przez spódnicę, żeby się nie poparzyć.

– Mogę to wziąć? – zapytała Tempie.

– Nie. Niech pani idzie na kolację – powiedziała kobieta i wyszła z kuchni.

Tempie stała przy stole z papierosem w ręce. Cień pieca padał na skrzynkę, w której leżało dziecko. Wśród wypukłości poduszki zaznaczało się ono niewyraźnie tylko szeregiem załamujących się miękko, bledszych cieni, więc żeby je zobaczyć, podeszła do skrzynki. Spojrzała w dół na twarzyczkę o barwie kitu i niebieskawe powieki. Mglisty szept cienia ogarniał główkę dziecka, jego wilgotne czołko; jedną chudą rączkę z zaciśniętą piąstką trzymało przy policzku. Tempie pochyliła się nad skrzynką.

– On umrze – szepnęła.

Wysoko na ścianie majaczył jej pochylony cień w bezkształtnym płaszczu, w kapeluszu potwornie sterczącym nad potwornym popłochem jej włosów.

– Biedny dzidziuś – szepnęła – biedny malutki dzidziuś.

Głosy mężczyzn zabrzmiały bliżej. Usłyszała ciężkie kroki w sieni, szuranie i

znowu ten śmiech, donośniejszy niż głosy. Odwróciła się i znów znieruchomiła, wpatrzona w drzwi. Weszła kobieta.

– Niech pani idzie na kolację – powiedziała.

– Samochód – powiedziała Tempie. – Mogłabym pojechać teraz, kiedy oni jedzą.

– Jaki samochód? – zapytała kobieta. – Niech pani idzie jeść. Nikt pani nie zrobi krzywdy.

– Nie jestem głodna. Nic dzisiaj nie jadłam. Wcale nie jestem głodna.

– Niech pani idzie na kolację – powiedziała kobieta.

– Poczekam i zjem z panią.

– Niech pani idzie na kolację. Muszę wreszcie skończyć dziś tę robotę.

VIII

Tempie przeszła z kuchni do jadalni. Z zastygłym sztucznym, przymilnym uśmiechem, w kapeluszu zsuniętym na tył głowy i przekrzywionym wkroczyła, przytrzymując płaszcz na sobie, nie widząc zupełnie nic. Dopiero po chwili zobaczyła Tommy'ego. Poszła prosto ku niemu tak, jakby przez cały ten czas jego właśnie szukała. Coś zagrodziło jej drogę: czyjeś twarde przedramię; spróbowała je wyminąć, przy czym wzroku nie odrywała od Tommy'ego.

– Chodź. – Gowan po drugiej stronie stołu z szuraniem odsunął krzesło. – Przejdź naokoło.

– Odwal się, bracie – powiedział ten, który ją za- trzymał, i wtedy poznała, że to on śmiał się przedtem

tak często. – Jesteś pijany. Tu chodź, mała.

Twardą ręką objął ją w pól. Szarpnęła się, ze sztywnym uśmiechem nadal zwrócona do Tommy'ego.

– Zrób miejsce, Tommy – powiedział ten człowiek. – Manier nie masz czy jak, ty dupo wołowa? Tommy parsknął śmiechem, wlokąc swoje krzesło po podłodze, a on chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Naprzeciwko Gowan oparł się o stół i stanął. Zaczęła się szamotać, odrywać od swojej ręki palce napastnika, wciąż zwrócona z uśmiechem do Tommy'ego.

– Zostaw ją, Van – powiedział Goodwin.

– Tu do mnie, na kolana – powiedział Van.

– Puść ją – powiedział Goodwin.

– Kto mnie zmusi? – zapytał Van. – Kto jest taki mocny?

– Puść ją – powtórzył Goodwin.

I już była wolna. Zaczęła powoli cofać się. Za jej plecami kobieta, która właśnie weszła z półmiskiem, odstepiła na bok. Wciąż tak samo boleśnie, sztucznie uśmiechnięta Tempie wycofała się z pokoju. W sieni zakręciła się i zaczęła biec. Zbiegła z ganku prosto w zielsko i popędziła dalej. Dotarła do drogi i przebiegła jakieś pięćdziesiąt jardów wśród mroków, po czym w biegu zakręciła się i zawróciła do domu, wskoczyła na ganek i

przykucnęła pod drzwiami akurat w chwili, gdy nadszedł ktoś z głębi sieni. To był Tommy.

– Aha, tutaj ona – powiedział. Trącił ją czymś niezdarnie.

– Niech sobie weźmie – powiedział.

– Co to jest? – zapytała szeptem.

– Żdziebko na ząb. Głowę dam, że nie jadła od rana.

– Nie jadłam. Nawet rano nie jadłam – szepnęła.

– Niech przetrąci choć tyle, a od razu będzie jej lepiej – powiedział szturchając ją talerzem. – Niech siądzie i zje ździebko. Nikt tutaj nie przeszkodzi. Cholera ich!

Tempie wychyliła się zza drzwi obok niewyraźnej postaci Tommy'ego i popatrzyła w głąb sieni; jej blada twarz w odblasku światła z jadalni wyglądała jak mały upiórek.

– Pani... Pani... – szepnęła.

– W kuchni jest. Odprowadzić do kuchni?

W jadalni szurnęło krzesło. I natychmiast Tommy zobaczył Tempie na ścieżce, wysmukłą, przez moment nieruchomą, czekającą jakby na którąś opieszalą kończynę, jeszcze pozostającą w tyle. Potem zniknęła mu jak cień za węglem domu. Stał w drzwiach z talerzem w ręce. Gdy po chwili odwrócił głowę i spojrział w głąb sieni na tylne drzwi, mignęła w nich biegnąc w mroku do kuchni.

– Cholera ich! – powiedział, Stał tam, a oni już wracali z jadalni na ganek.

– Ma talerz żarcia – powiedział Van. – Kręci się, żeby mu dała za talerz szynki.

– Dała? – zapytał Tommy. – Co dała?

– Słuchaj pan... – zaczął Gowan.

Van wytrącił Tommy'emu talerz z ręki. Odwrócił się do Gowana.

– Nie podoba się? – zapytał.

– Właśnie – powiedział Gowan. – Nie podoba.

– I co z tego? – zapytał Van.

– Van – odezwał się Goodwin.

– Takiś, bracie, mocny, że może ci się to nie podobać? – zapytał Van.

– Ale ja jestem mocny – powiedział Goodwin. Gdy Van ruszył do kuchni, Tommy poszedł za nim.

Stanął przy drzwiach i usłyszał z kuchni głos Vana.

– Chodź na spacer, na trochę.

– Wynoś się stąd, Van – powiedziała kobieta.

– Chodź na spacer – powiedział Van. – Ze mnie porządny gość. Ruby świadkiem.

– Wynoś się stąd! – powtórzyła kobieta. – Chcesz, żebym zawołała Lee?

Van stał na tle światła, wysoki, w koszuli i bryczesach khaki, z papierosem zatkniętym za ucho przy gładkiej fali blond włosów. Za nim i za krzesłem, na którym siedziała przy stole kobieta, stała Tempie – usta miała rozchylone, oczy zupełnie czarne.

Tommy wracając z gąsiorkiem na ganek powiedział do Goodwina:

– Muszą te facety tak się czepiać tej dziewczuszki?

– Kto jej się czepia?

– Van się czepia. Ona się boi. Nie mogą jej zostawić?

– Nie twój interes. Nie wtrącaj się. Słyszysz?

– Powinni przestać – powiedział Tommy. Przysiadł pod ścianą. Pili podając sobie gąsior z

rąk do rąk, rozmawiając. Z wytężoną uwagą przysłuchiwał się ich rozmowie, głupim, ordynarnym opowiadaniom Vana o życiu w mieście i parskał od czasu do czasu śmiechem i popijał, gdy przychodziła na niego kolej. Rozmawiali tylko Van i Gowan, więc przysłuchiwał się im.

– W mig się pobiją – szepnął do Goodwina, siedzącego na krześle przy nim. – Słyszysz?

Rozmowa była dosyć głośna; Goodwin z lekkim głuchym tupnięciem lekko i szybko wstał; Tommy zobaczył, że Van już stoi i że Gowan stoi wyprostowany, trzymając się oparcia krzesła.

– Wcale nie chciałem powiedzieć, że... – zaczął Van.

– Więc nie mów – powiedział Goodwin. I Gowan coś zabełkotał.

“To cholera – pomyślał Tommy. – Już nawet gadać nie może.”

– Zamknij się, ty! – rzucił Goodwin.

– Mmmmyślisz, że mmmmożesz mmmmówić o mmmojej... – wybełkotał Gowan. Zrobił krok i zatoczył się na krzesło. Krzesło upadło, a on wpadł na ścianę.

– Jak Boga mego, będę... – mamrotał Van.

– Dżentelmmm... z ...ginii; pluje na... – bełkotał Gowan.

Uderzeniem na odlew Goodwin odrzucił Gowana w bok i chwycił Vana. Gowan

klapnął pod ścianą.

– Kiedy mówię: siadać, to siadać – powiedział Goodwin.

Potem przez chwilę było cicho. Goodwin znów usiadł na krześle. I znów zaczęli rozmawiać podając sobie gąsior z rąk do rąk, a Tommy im się przysłuchiwał. Ale wkrótce zaczął myśleć o Tempie. Przebierał nogami po podłodze, skręcał się cały w jakimś dotkliwym niepokoju.

– Powinni dać tej dziewczynie spokój – szepnął do Goodwina. – Powinni przestać dokuczać jej.

– Nie twój interes – powiedział Goodwin. – Niech sobie, psiakrew, jeden z drugim...

– Powinni przestać.

W drzwiach stanął Wytrzeszcz. Zapalił papierosa. Tommy patrzył, jak twarz Wytrzeszcza rozbłyskuje pomiędzy jego dłońmi, jak policzki mu się zapadają przy zapalaniu papierosa; i odprowadził wzrokiem małą kometę ciśniętej w chwasty zapalki.

– On także – powiedział. – Obaj oni. – Skręcał się cały. – Biedna dziewczuszka. Niech mnie gęś kopnie, jak nie pójde do stajni tam siedzieć. Niech mnie gęś kopnie, jak nie pójde tam.

Podniósł się i bezszelestnie przeszedł przez ganek. Zszedł ze schodków na ścieżkę i ruszył za dom. Tam w oknie było światło.

– To jest niczyj pokój – powiedział zatrzymując się. A potem dokończył: – Więc na pewno ona tu nocuje.

I podszedł, i zajrzał w to zamknięte okno. Jedną brakującą szybę zastępowała stoczona rdzą blacha.

Tempie, w kapeluszu zsuniętym na tył głowy, siedziała na łóżku wyprostowana, z nogami podkulonymi, z rękami na kolanach. W tej pozie, raczej urągającej postawie panny z górą siedemnastoletniej, wyglądała na małą, ośmio- czy dziesięcioletnią dziewczynkę, gdy tak przyciskała łokcie do boków i patrzyła na drzwi zastawione krzesłem. Całe umeblowanie pokoju stanowiło tylko to łóżko z wyblakłą, i pozeszywaną z lat kołdrą i to jedno krzesło. Ściany były kiedyś otynkowane, ale tynk popękał i miejscami odpadł, odsłaniając oszalowanie i spleśniałe kawałki płótna. Na ścianie przy łóżku wisiał impregnowany płaszcz i obok płaszcz wisiała wojskowa manierka obszyta sukmem khaki.

Tempie zaczęła odwracać głowę. Powoli, jak gdyby patrzyła na kogoś, kto przechodzi pod ścianą. Wykręciła szyję prawie męczeńsko, chociaż siedziała poza tym zupełnie nieruchomo, aż zdawałoby się, że ma na szyi nie głowę, tylko zabawkę wielkanocną z papier mache napełnioną cukierkami. Po chwili zaczęła odwracać głowę z powrotem w stronę krzesła pod drzwiami, powoli, znowu tak jakby śledziła czyjeś niewidzialne kroki za ścianą, i znowu zastygła bez ruchu, z szyją wykręconą. Potem spojrzała prosto przed siebie i Tommy zobaczył, jak ona z pończochy na udzie wyciąga małe zegareczki i patrzy, która godzina. Znad zegarka w ręku podniosła głowę i popatrzyła na Tommy'ego oczami spokojnymi i pustymi jak dwie dziury. Po chwili jeszcze raz spojrzała na zegarek i wetknęła go z powrotem za pończochę.

Zeszła z łóżka, zdjęła płaszcz i stanęła – nieruchoma, strzelista w kusej, wąskiej sukience, z głową pochyloną, ze splecionymi rękami. Usiadła na łóżku. Usiadła zsuwając nogi, głowę miała nadal pochyloną. Nagle podniosła głowę i rozejrzała się po pokoju. Tommy słyszał głosy dolatujące z ciemnego ganku. Znowu zabrzmiały donośniej, ale zaraz przycichły i już były tylko miarowym szmerem.

Tempie zerwała się z łóżka. Rozpięła sukienkę, wyciągając łukowato w górę szczupłe ręce na tle cienia, który przedrzeźniał jej ruchy. Szybkim ruchem, w lekkim przysiadzie zaczęła sukienkę zdejmować, cienka w skąpej białej bieliźnie jak zapalka. Wysunęła z sukienki głowę, zwrócona w stronę krzesła pod drzwiami. Rzuciła sukienkę na podłogę i sięgnęła po płaszcz. Namacała go i narzuciła na siebie, wbiła ręce w rękawy. Potem już w płaszczu, przytrzymując poły na piersiach, zakręciła się i spojrzała prosto w oczy Tommy'ego, i znowu się zakręciła, i podbiegła do drzwi, i gwałtownie usiadła na krześle.

– Cholera ich! – szepnął Tommy. – Cholera ich! – Słyszał te głosy dolatujące z frontowego ganku i znowu się skręcał, znowu mu było jakoś boleśnie i nieswojo. – Cholera ich!

Gdy znowu zajrzał przez okno, Tempie, przytrzymując na sobie poły płaszcza, szła ku niemu. Zdjęła z gwoźdźca płaszcz nieprzemakalny, włożyła na swój płaszcz i zapięła. Wzięła manierkę i wróciła do łóżka. Położyła manierkę na łóżku, podniosła z podłogi sukienkę, otrzepała, złożyła starannie i też położyła na łóżku. Odchyliła koldrę, pod którą ukazał się niczym nie osłonięty siennik. Nie było prześcieradła, nie było poduszki; dotknęła siennika i słabo, cicho zachrząściły w nim rozkruszone kaczany kukurydzy, którymi był wypchany.

Zdjęła pantofle, postawiła je na łóżku i wsunęła się pod kołdrę. Tommy słyszał, jak siennik skrzypi. Nie położyła się od razu. Siedziała wyprostowana, nieruchoma, w tym przekrzywionym kapeluszu zawadiacko zsuniętym na tył głowy. Po chwili przeniosła manierkę, sukienkę i pantofle na wezglowie łóżka, obciągnęła płaszcz nieprzemakalny na nogach i położyła się podciągając kołdrę, ale znów usiadła, zdjęła kapelusz, potrząsnęła włosami i umieściła kapelusz przy tamtych rzeczach, gotowa położyć się z powrotem. Ale jeszcze się nie położyła. Rozpięła płaszcz nieprzemakalny, wyciągnęła skądś puderniczkę i przeglądając się w maleńkim lusterku przyczesła palcami i napuszyła włosy, upudrowała twarz. Schowała puderniczkę, znów sprawdziła na maleńkim zegarku, która jest godzina, po czym zapięła płaszcz nieprzemakalny. Wsunęła swoje rzeczy jedną po drugiej pod kołdrę i położyła się okrywając kołdrą po sam podbródek. Głosy ucichły na chwilę i Tommy słyszał tylko słaby, miarowy chrzest siennika, na którym ona leżała z rękami skrzyżowanymi na piersiach, z nogami wyprostowanymi, zwartymi przyzwoicie, jak rzeźba na starożytnym grobowcu.

Głosy ucichły; zupełnie o nich zapomniał, dopóki

nie usłyszał, jak Goodwin mówi: "Dość tego! Dość!" Trzasnęło krzesło; usłyszał lekkie, dudniące kroki Goodwina; krzesło przełoskotało po ganku, jakby kopnięte na bok, i skulony już w przysiadzie, z łokciami trochę wysuniętymi, czujny jak niedźwiedź, usłyszał suche, ciche odgłosy podobne do stukania kul bilardowych.

– Tommy! – zawołał Goodwin.

Gdy było trzeba, Tommy poruszał się z ową błyskawiczną, chociaż niezdarną chyżością borsuków czy szopów. Przybiegł zza domu na frontowy ganek w samą porę, żeby zobaczyć, jak Gowan uderza o ścianę, osuwa się i niczym kłoda spada z ganku między zielsko i jak Wytrzeszcz w drzwiach patrzy wyciągając szyję.

– Chwyć go tam! – polecił Goodwin.

Susem w bok Tommy doskoczył do Wytrzeszcza.

– Ale dostałem... ha! – powiedział, gdy Wytrzeszcz zaciekle walnął go po twarzy. – Bo jak się odmachnę?! Stać, no!

Wytrzeszcz opuścił rękę.

– Rany boskie! Pozwalasz im tu siedzieć przez cały wieczór i żłopać to cholerne świństwo. Przecież ci mówiłem. Rany boskie!

Goodwin i Van tworzyli jeden cień, spoisty, przyćmiony i rozszalały.

– Puść! – wrzeszczał Van. – Zabiję...

Tommy doskoczył do nich. Z Goodwinem przycisnął Vana do ściany i unieruchomił.

– Trzymasz? – zapytał Goodwin.

– Aha! Trzymam. Stój no, ty! Dałeś mu w kość.

– Jak Boga mego, za...

– No, no... na co chcesz go zabić? Przecież nie na żarcie dla siebie, bo jak? Chcesz, żeby pan Wytrzeszcz zaczął nas wszystkich siekać tym swoim autemutycznym?

Po czym to się skończyło, przeszło jak rozszalała czarna trąba powietrzna i została spokojna pustka, w której poruszali się cicho, podnosząc Gowana z zielska, przyjaźnie, zniżonymi głosami udzielając sobie wskazówek. Przenieśli go do sieni, gdzie stała kobieta, i przez sień do drzwi pokoju, w którym była Tempie.

– Zamknęła się na klucz – powiedział Van. Uderzył w drzwi, wysoko.

– Otwórz drzwi! – krzyknął. – Przynosimy ci klienta.

– Nie wrzeszcz – powiedział Goodwin. – Nie ma zamka. Pchnij tylko.

– Dobra – powiedział Van. – Pchnę.

Kopnął drzwi. Krzesło wspięło się i wyleciało na środek pokoju. Z trzaskiem otworzył i wszedł pierwszy, wnosząc Gowana za nogi. Kopniakiem odrzucił krzesło tak, że przeleciało przez pokój. I wtedy zobaczył Tempie stojącą w kącie za łóżkiem. Włosy opadały mu na twarz, długie jak u dziewczyny. Potrząsnął głową, żeby mu nie zasłaniały oczu. Podbródek miał zakrwawiony i z rozmysłem splunął krwią na podłogę.

– Dalej! – powiedział Goodwin niosąc Gowana za ramiona. – Kładź go na łóżko.

Zahuścili Gowanem i rzucili go na łóżko. Jego zakrwawiona głowa zwisała poza krawędź. Van szarpnął i gruchnął nim o siennik. Go wan jęknął, wyciągnął rękę. Van uderzył go po twarzy na odlew.

– Leż spokojnie, ty...

– Zostaw – powiedział Goodwin. Chwycił Vana za rękę. Przez chwilę patrzyli na siebie wrogo. – Zostaw, mówię – powtórzył. – Jazda stąd!

– Mmmmuszę brommić... – zamamrotał Go-wan – dziewczyny. Dzentelmmmm z Vi... nii... dzen-telmmmm mmmusi brommić...

– Jazda stąd, już! – powiedział Goodwin. Kobieta stała w drzwiach przy Tommym, oparta

plecami o framugę. Pod tanim płaszczem koszula nocna sięgała jej do stóp.

Van wziął z łóżka sukienkę Tempie.

– Van – powtórzył Goodwin. – Jazda stąd, mówię!

– Słyszałem – powiedział Van.

Rozłożył sukienkę w powietrzu. Potem spojrzał na Tempie w kącie, stojącą z rękami skrzyżowanymi, z dłońmi zaciśniętymi na ramionach. Goodwin ruszył do niego. Ale on upuścił sukienkę i przeszedł na drugą stronę łóżka. Z papierosem ukazał się w drzwiach Wytrzeszcz. Obok kobiety Tommy wstrzymał oddech, syknął przez wyszczerbione zęby.

Zobaczył, jak Van chwytą za płaszcz nieprzemakalny na piersiach Tempie i rozrywa go jednym szarpnięciem. A potem, jak wskakuje między nich Goodwin; zobaczył, jak Van się uchyla i błyskawicznie odwraca, i jak Tempie zbiera na sobie rozdarty płaszcz. Gdy Van i Goodwin już na środku pokoju brali się za bary, patrzył, jak do Tempie wolno idzie Wytrzeszcz. Kącikiem oka zobaczył, że Van leży na podłodze, a Goodwin stoi nad nim lekko pochylony i patrzy na plecy Wytrzeszcza.

– Wytrzeszcz – powiedział Goodwin. Wytrzeszcz szedł dalej, z papierosem snującym smuzkę dymu za jego ramieniem, z głową na pół odwróconą, jak gdyby nie patrzył tam, dokąd szedł, przy czym wydawało się, że ten papieros wyrasta mu ukośnie z boku szczęki.

– Nie rusz jej – powiedział Goodwin. Wytrzeszcz stanął przed Tempie, nadal trochę

odwracając głowę. Prawą rękę trzymał w kieszeni marynarki. Lewą Tommy nieomal zobaczył sięgającą pod płaszcz nieprzemakalny na piersiach Tempie, bo tkanina marynarki przekazała cię tego ruchu.

– Zabierz rękę – powiedział Goodwin. – Ale już!

Wytrzeszcz usłuchał. Odwrócił się z obiema rękami w kieszeniach i spojrzał na Goodwina. Przeszedł przez pokój patrząc na Goodwina. Odwrócił się od niego i wyszedł.

– Weź, Tommy – rzekł Goodwin spokojnie. – Podnieś to.

Dźwignęli Vana i wynieśli. Kobieta zeszła im z drogi. Oparła się o ścianę, otulając szczelniej płaszczem. Naprzeciwko niej, wciśnięta w kąt Tempie

zbierała na sobie rozdarty płaszcz nieprzemakalny. Gowan zaczął chrapać. Wrócił Goodwin.

– Idź ty lepiej do łóżka – powiedział. Kobieta nie poruszyła się. Położył jej rękę na ramieniu. – Ruby!

– A ty przez ten czas będziesz kończył te umizgi, których nie dałeś dokończyć Vanowi? Ty biedny idioto! Biedny idioto!

– No, chodź – powiedział trzymając rękę na jej ramieniu. – Wracaj do łóżka.

– Ale ty nie wracaj. W ogóle możesz już nie wrócić. Mnie nie będzie. Nic mi nie zawdzięczasz. Nic.

Niech ci się nie zdaje.

Goodwin chwycił ją za przeguby rąk i rozdzielił je bez pośpiechu. Powoli, bez pośpiechu założył jej ręce na plecy i przytrzymał. Drugą ręką rozwarł jej płaszcz. Koszula nocna była wyblakła, z różowej krepy, obszyta koronką i, jak tamta halka na sznurze, prana i prana od tak dawna, że koronka zupełnie się wystrzępiła.

– No – powiedział. – Wystrojona!

– A czyja to wina, że mam tylko tę koszulę? Czyja to wina? Przecież nie moja. Kiedyś oddawałam koszule po jednej nocy czarnuchom, które u mnie służyły. Ale czy myślisz, że którakolwiek czarnucha wzięłaby teraz tę koszulę i nie parsknęła mi śmiechem prosto w nos?

Puścił płaszcz. Puścił jej ręce, a ona zacisnęła płaszcz na sobie. Z ręką na jej ramieniu pchnął ją ku drzwiom.

– Idź – powiedział.

Ramię jej uległo. Ale tylko ramię. Wykręcona od pasa w stronę drzwi stała jak wryta oglądając się na niego.

– Idź – powtórzył.

Ale poruszył się tylko jej tors; biodra i głowa w dalszym ciągu dotykały ściany.

Odwrócił się, szybko przeszedł przez pokój i za łóżko i jedną ręką pochwycił poły nieprzemakalnego płaszcza na Temple. Zaczął Temple potrząsać. Trzymając w garści kłęb ściągniętych fałd płaszcza, tak nią potrząsał, że drobne jej ciało obijało się cicho w tym luźnym okryciu, ramiona i uda uderzały o ścianę.

– Ty durna mała! – powiedział. – Ty durna mała!

Oczy miała szeroko otwarte, prawie czarne i w świetle padającym na nią dwa maleńkie odbicia jego twarzy w jej źrenicach wyglądały jak dwa ziarenka grochu w dwóch kałamarnicach. Puścił ją. Z szelestem nieprzemakalnego płaszcza osunęła się i omal nie

upadła. Podtrzymał ją i zaczął znów nią potrząsać, przez ramię spoglądając na kobietę.

– Weź lampę – powiedział.

Kobieta stała nieruchomo. Głowę lekko przechylała; zdawała się dumać nad nimi. Goodwin ujął Tempie pod kolana. Podniósł ją i zaraz już leżała na wznak przy Gowanie na łóżku, trzęsąc się jeszcze, słysząc coraz cichszy chrzęst łusek kukurydzy w sienniku. Patrzyła, jak Goodwin przechodzi przez pokój i bierze, lampę z kominka. Kobieta wyprostowała głowę i odwrócona do łóżka profilem, coraz ostrzejszym w miarę zbliżania się światła, patrzyła na Good-wina także.

– Idź – powiedział.

Odwróciła się i twarz jej była teraz w cieniu. Lampa oświetlała jej plecy i jego dłoń leżącą na jej ramieniu. Jego cień zupełnie zamroczył pokój; wyciągnięta w tył ręka cienia sięgała do drzwi. Gowan chrapał, przy każdym oddechu dławiąc się powietrzem, jak gdyby nigdy nie miał odetchnąć ponownie.

Tommy stał za drzwiami, w sieni.

– Poszli już do ciężarówki? – zapytał Goodwin.

– Jeszcze nie – odpowiedział Tommy.

– Idź i zobacz, co z nimi – polecił Goodwin.

Szli oboje dalej. Tommy patrzył, jak wchodzi w swoje drzwi. Potem ruszył do kuchni bosy i cichy, wykręcając trochę szyję, nasłuchując. W kuchni siedział okrakiem na krześle Wytrzeszcz i palił papierosa. Van przy stole czesał się kieszonkowym grzebykiem przed kawałkiem stłuczonego lustra. Na stole obok mokrej pieluszki z plamami krwi leżał zapalony papieros. Tommy nie wszedł do kuchni, przykucnął nie opodal drzwi w ciemnościach.

Był tam jeszcze, gdy przez ganek przeszedł do kuchni Goodwin, z płaszczem nieprzemakalnym na ręku. Nie zobaczył go.

– Gdzie Tommy? – zapytał.

Wytrzeszcz coś odpowiedział i Tommy patrzył, jak Goodwin wychodzi z kuchni z Vanem i tym razem Van niesie płaszcz nieprzemakalny, zarzucony na ramię.

– Prędej – powiedział Goodwin. – Wynieśmy już wreszcie ten towar.

Siwe oczy Tommy'ego zaczęły słabo się jarzyć jak oczy kota. Kobieta widziała je w ciemnościach, gdy Tommy wsunął się do pokoju za Wytrzeszczeni i gdy Wytrzeszcz stanął nad łóżkiem, na którym leżała Tempie. Nagle rozbłyły skierowane po ciemku

wprost na nią, a potem nie było ich widać i słyszała tylko tuż przy sobie oddech Tommy'ego, dopóki znów się nie rozjarzyły, jak gdyby wściekłe i pytające, i smutne, a potem znów nie było ich widać i Tommy wysunął się za Wytrzeszczeni z pokoju.

Tommy zobaczył, że Wytrzeszcz wraca do kuchni, ale nie poszedł za nim od razu. Zatrzymał się przy drzwiach i przysiadł tam. Pełen zgrozy i niezdecydowania znów skręcał się cały i kołysał z boku na bok, z cichym szuraniem bosych stóp, i łokcie powoli wyginał przy biodrach.

– I Lee także – powiedział. – I Lee także. Cholera ich. Cholera ich!

Dwukrotnie wysuwał się na ganek, żeby sprawdzić, czy na podłogę w kuchni pada cień kapelusza Wytrzeszcza, po czym wracał do sieni, gdzie były te drzwi, za którymi leżała Tempie i chrapał Gowan.

Trzecim razem nawet poczuł zapach papierosa Wytrzeszcza.

– Jeżeli on będzie dalej tak... – powiedział. – I Lee także – powiedział kołysząc się z boku na bok w katuszach tępej udręki. – I Lee także.

Gdy Goodwin doszedł zboczem do tylnego ganku, Tommy znów tam siedział w kucki tuż przed drzwiami.

– Co, do diabła? – zapytał Goodwin. – Dlaczegoś nie poszedł z nami? Szukam cię od dziesięciu minut.

Popatrzył na Tommy'ego niechętnie i zairzał do kuchni.

– Gotów? – zapytał.

Wytrzeszcz podszedł do drzwi. Goodwin znów spojrzał na Tommy'ego.

– Coś ty tu robił?

I Wytrzeszcz spojrzał na Tommy'ego. Tommy stał teraz pocierając jedną stopę o drugą, patrząc na Wytrzeszcza. “ – Coś ty tu robił? – zapytał Wytrzeszcz.

– A nic – odpowiedział Tommy.

– Łazisz za mną?

– Ja tam nikogo nie pilnuję – burknął Tommy posepnie.

– No to nie pilnuj – powiedział Wytrzeszcz.

– Prędeż – powiedział Goodwin. – Van czeka. Poszli. Tommy szedł za nimi. Obejrzał się raz na dom i dalej człapał za nimi. Od czasu do czasu, jak gdyby krew jego stawała się nagle zbyt gorąca, czuł ogarniającą go falę udręki, a potem zanikanie jej w owej ciepłej żalości, jaką zawsze budziły w nim dźwięki skrzypiec.

– Cholera ich! – szeptał. – Cholera ich!

IX

W pokoju było ciemno. Kobieta oparta o ścianę stała tuż przy drzwiach – w tanim płaszczu, w nocnej krepowej koszuli obszytej koronką stała przy

tych drzwiach bez zamka. Słyszała, jak Gowan na łóżku chrapie i jak tamci chodzą po ganku i w sieni, i w kuchni, i rozmawiają głosami niemożliwymi do rozróżnienia zza tych zamkniętych drzwi. Po pewnym czasie ucichli. I słyszała już tylko Gowana, który chrapał i dławił się, i jęczał przez rozbite wargi i nos.

Nagle drzwi się otworzyły. Wcale nie usiłując iść cicho, do pokoju wszedł mężczyzna. Minął ją w odległości jednej stopy. Wiedziała, że to Goodwin, zanim się odezwał. Podszedł do łóżka.

– Płaszcz jest potrzebny – powiedział. – Proszę usiąść i zdjąć go.

Usłyszała chrzęst siennika i wiedziała, że Tempie siada i że Goodwin bierze płaszcz. Po chwili on wrócił do drzwi i wyszedł.

Stała tam w pokoju tuż przy drzwiach. Każdego z nich potrafiła już poznać po samym oddechu. Goodwin wyszedł, a ona nawet nie słysząc, nie' wiedząc wcale, że drzwi się znów otworzyły, poczuła zapach – brylantyny, której Wytrzeszcz używał do włosów. Nie widziała Wytrzeszcza, gdy wchodził i mijał ją, nie zorientowała się, kiedy wszedł; jeszcze czekała na niego, gdy w ślad za nim już wszedł Tommy. Tommy wśliznął się do pokoju też bezszelestnie; tak samo by sobie nie uświadomiła jego wejścia jak wejścia Wytrzeszcza, gdyby nie te oczy. Jarzyły się nisko – chyba wszedł zgarbiony – jakimś przejmującym pytaniem, a potem zniknęły i wyczuła, że Tommy przykucnął u jej boku; wiedziała, że on też patrzy w stronę łóżka, tam gdzie w ciemnościach stoi Wytrzeszcz i gdzie z Gowanem, chrapiącym i dławiącym się, i znów chrapiącym, leży Tempie. Stała tuż przy drzwiach.

Nie słyszała chrzęstu siennika, więc dalej stała nie ruchomo obok Tommy'ego, który siedział w kucki, też zwrócony twarzą w stronę niewidzialnego łóżka.

A potem znów poczuła zapach brylantyny. A raczej wyczuła bezszelestne odejście Tommy'ego, jak gdyby z jego miejsca, ledwie je ukradkiem opuścił, wionęło na nią w czarnej ciszy jakieś miękkie zimno; nie widząc go ani nie słysząc, wiedziała, że znów

wysunął się z pokoju w ślad za Wytrzeszczeni. Słyszała ich kroki coraz dalsze, aż w domu wszystko ucichło.

Podeszła do łóżka. Tempie poruszyła się dopiero pod jej dotknięciem. Zaczęła się szamotać. Po omacku trafiając ręką na usta Tempie kobieta zatkała je, chociaż Tempie nie próbowała krzyżeć. Obracała się na sienniku i miotała, kręciła głową, zaciskała poły płaszcza na piersiach, ale nie wydała z siebie głosu.

– Ty głupia – powiedziała kobieta cienkim, ostrym szeptem. – To ja. To przecież ja.

Tempie przestała kręcić głową, nie przestała jednak miotać się pod ręką kobiety.

– Powiem ojcu – zagroziła. – Powiem ojcu! Kobieta nie puszczała jej.

– Wstawaj – rzekła.

Tempie przestała się miotać. Leżała teraz nieruchoma, sztywna. Kobieta słyszała jej nierówny oddech.

– Czy możesz cicho wstać i wyjść?

– Tak – odpowiedziała Tempie. – Wydostanie mnie pani stąd? Wydostanie mnie pani? Wydostanie mnie pani?

– Tak – odpowiedziała kobieta. – Wstawaj. Zaszleściły łuski kukurydzy w sienniku, Tempie

wstała. Obok w ciemnościach nieprzytomnie, głęboko chrapał Gowan. Zrazu Tempie chwiała się. Kobieta musiała ją podtrzymać.

– Przestań – powiedziała kobieta. – Weź się w garść. I cicho.

– Moje rzeczy – szepnęła Tempie. – Mam na sobie tylko...

– Chcesz mieć swoje rzeczy? – zapytała kobieta. – Czy chcesz się stąd wydostać?

– Tak – powiedziała Tempie. – Oddam wszystko. Byleby mnie pani stąd zabrała.

Obie bosy sunęły jak duchy. Z domu przez kuchenny ganek poszły w kierunku stajni. Gdy oddaliły się od domu o jakieś pięćdziesiąt jardów, kobieta nagle

stała, odwróciła się do Tempie i chwytając ją za ramiona przyciągnęła do siebie; z twarzą przy jej twarzy zaczęła szeptem pełnym wściekłości, nie głośniejszym niż westchnienie, wymyślać jej. Potem odepchnęła ją od siebie i szły dalej. Wkroczyły do stajni. Było tam smolście czarno. Tempie usłyszała, jak kobieta maca ręką po ścianie. Skrzypnęły otwierane drzwi; kobieta wzięła Tempie pod ramię i wprowadziła ją na schodek, po którym weszły do jakiejś izby, gdzie wyczuwało się ściany i unosił się słaby

pylisty zapach ziarna, po czym zamknęła za nimi drzwi. W chwili gdy je zamykała, coś niewidocznie przemknęło w pobliżu drobniutkim, pospiesznym dreptaniem, jak gdyby to elf przebiegł i zniknął. Tempie zakręciła się, nadepnęła na coś, co przetoczyło się pod jej stopą, i przyskoczyła do kobiety.

– To tylko szczur – powiedziała kobieta.

Ale Tempie zarzuciła jej ręce na szyję i uczipiona spróbowała oderwać obie stopy od podłogi.

– Szczur? – zaszlochała. – Szczur? Otworzyć drzwi! Prędko!

– Przestań! Przestań! – syknęła kobieta.

Trzymała Tempie, dopóki jej nie uspokoiła. Uklękły przy sobie, opierając się o ścianę. Po chwili kobieta szepnęła:

– Tam leży trochę łupin bawełny. Można się na nich położyć.

Tempie nie odpowiedziała. Wstrząsana powolnym dreszczem kuliła się przy kobiecie i tak siedziały, przykucnięte pod ścianą w czarnej ciemności.

X

Gotując śniadanie przy dziecku jeszcze – czy też już – śpiącym w skrzynce za piecem, kobieta usłyszała, jak ktoś niepewnie idzie przez ganek i zatrzymuje się w drzwiach kuchni. Obejrzała się i zobaczyła dziką, poturbowaną, zakrwawioną zjawę, w której

poznała Gowana. Twarz jego pod dwudniowym zarostem była posiniaczona, warga rozcięta. Jedno oko miał zamknięte, z przodu koszulę i marynarkę do pasa zaplamione krwią. Usiłował coś powiedzieć opuchłymi, zeszywniałymi ustami. W pierwszej chwili kobieta nie mogła zrozumieć ani słowa.

– Niech pan pójdzie obmyć twarz – powiedziała. – Albo zaraz. Niech pan poczeka. Niech pan tu wejdzie i usiądzie. Przyniosę miednicę.

Patrzył na nią, usiłując coś powiedzieć.

– Aha – zrozumiała nagle. – Jej się nic nie stało. Jest w komórcie w stajni. Śpi.

Musiała cierpliwie powtórzyć to parę razy.

– W komórcie w stajni. Śpi. Byłam z nią do świtu. No, niech pan obmyje twarz.

Gowan uspokoił się trochę. Zaczął mówić o wynajęciu samochodu.

– Najbliższy jest u Tulla, dwie mile stąd – powiedziała kobieta. – Niech pan obmyje twarz i zje śniadanie.

Gowan wszedł do kuchni, mówiąc o wynajęciu samochodu.

– Wynajmę go i odwozę Tempie na uczelnię. Któraś z koleżanek pomoże jej się wśliznąć. Wtedy wszystko będzie w porządku. Nie uważa pani, że wtedy wszystko będzie w porządku?

Podszedł do stołu, wziął z paczki papierosa i spróbował zapalić rozdygotanymi rękami. Miał trudności z włożeniem papierosa do ust i nie mógł sobie dać rady z zapalką, aż kobieta podeszła i podała mu ogień. Zaciągnął się jednak tylko raz i z papierosem w ręce patrzył przez chwilę na nią w osłupieniu tym nie podbitym okiem. Rzucił papierosa i zataczając się, ale usiłując iść prosto, ruszył ku drzwiom.

– Idę po samochód – powiedział.

– Przedtem niech pan coś zje – doradziła kobieta. – Mofże kubek kawy dobrze by

panu zrobił.

– Idę po samochód – powiedział Gowan.

Na ganku zatrzymał się dostatecznie długo, żeby chlusnąć sobie trochę wody na twarz, co zresztą niewiele poprawiło jego wygląd.

Gdy wyszedł z domu, był jeszcze chwiejny i zdawało mu się, że jeszcze jest pijany. Prawie nie pamiętał, co się stało. Poplątał Vana z katastrofą i nie wiedział, że został dwa razy powalony. Pamiętał tylko, że stracił przytomność w jakiejś chwili wczesnym wieczorem, i zdawało mu się, że jeszcze jest pijany. Ale gdy doszedł do rozbitego samochodu i zobaczył ścieżkę prowadzącą do źródła, i gdy napił się zimnej źródlanej wody, stwierdził, że nie wody łaknie jego organizm, lecz alkoholu; klęczał, to zanurzając twarz w zimnej wodzie, to próbując przejrzeć się w porozbijanej powierzchni źródła, i szeptał do siebie nieledwie z rozpaczą: "Cholera jasna!" Pomyślał o powrocie do tego domu, żeby napić się whisky, a potem pomyślał, że musiałby tam stanąć oko w oko z Tempie, z tymi mężczyznami; pomyślał o Tempie wśród tych mężczyzn.

Gdy dochodził do szosy, słońce było już dosyć wysoko, robiło się ciepło.

– Odświeżę się jakoś – powiedział – i wrócę tam samochodem. Zastanowię się, co jej powiedzieć, kiedy będziemy jechać do miasta.

I pomyślał o Tempie wracającej między ludzi, którzy go znają, którzy mogą go poznać.

– Dwa razy straciłem przytomność – powiedział. – DWA RAZY STRACIŁEM PRZYTOMNOŚĆ. Cholera jasna! Cholera jasna! – szeptał, wprost wijąc się w swym splugawionym, zakrwawionym ubraniu, wprost konając z wściekłości i wstydu.

Ruch i powietrze działały orzeźwiająco, ale im lepiej czuł się fizycznie, tym czarniej widział przyszłość. Zaczęło mu się wydawać, że miasto, świat to czarny zaułek bez wyjścia, że po tym zaułku będzie musiał chodzić już zawsze tak, jak idzie teraz, i wić się, wzdrygać przed szeptem patrzących na niego oczu, aż w końcu, gdy przed południem dotarł tam, dokąd szedł, do domu owego farmera Tulla, perspektywa spotkania z Tempie stała się nie do zniesienia. Więc wynajął samochód, wydał kierowcy dyspozycje, zapłacił mu, a sam poszedł dalej. Trochę później wsiadł do jakiegoś przygodnego samochodu, jadącego w przeciwnym kierunku.

XI

Wąskie, ukośne smugi słońca jak zęby złotego widelca leżały na twarzy Tempie, gdy obudziła się zwinięta w kłębek i czując mrowienie stężalej krwi w skurczonych mięśniach leżała cicho i patrzyła w pułap. Pułap, tak jak ściany, był z nie heblowanych desek, skleconych niedbale, oddzielonych jedna od drugiej cienkimi liniami czerni; przez kwadratowy otwór nad stojącą w kącie drabiną widziała mrok poddasza również porysowany cienkimi ołówkami słońca. Z gwoździ na ścianach zwisały szczątki zeschniętej uprzęży. Leżąc tak zaczęła skubać na chybił trafił to, na czym leżała. Zebrała tego pełną garść i podniosła głowę; w rozchyleniu płaszcza zobaczyła swoją nagość pomiędzy stanikiem a majtkami i dalej pomiędzy majtkami a pończochami. Potem przypomniała sobie szczura, wygramoliła się, skoczyła do drzwi i zaczęła w nie drapać, wciąż jeszcze z łupinami bawełny w garści, z twarzą nabrzmiałą od mocnego snu siedemnastolatki.

Myślała, że drzwi są zamknięte na jakiś skobel, więc nie próbując otworzyć ich pchnięciem, tylko drapała zdrętwiałymi rękami nie heblowane deski, dopóki nie usłyszała nagle zgrzytu, z jakim osunęły jej się z desek paznokcie. Drzwi zachwiały się i ustąpiły. Wybiegła z komórki. Ale natychmiast wskoczyła z powrotem i zatrzasnęła drzwi. Po zboczu wzgórza schodził powłóczystym truchtem niewidomy, w jednej ręce ściskając kij, którym postukiwał przed sobą, drugą przytrzymując w pasie opadające spodnie. Szelki dyndały mu koło bioder, tenisówki szurały po suchych plewach, gdy mijał komórkę, zanim zniknął w stajni i tylko słyhać było, jak jego kij lekko gruchocze wzdłuż szeregu pustych przegród.

Tempie, skulona przy drzwiach, otuliła się szczelniej płaszczem. Usłyszała niewidomego w jednym z boksów w głębi stajni. Otworzyła drzwi i popatrzyła na dom w jasnym blasku majowego słońca, w niedzielnym spokoju, i pomyślała o dziewczętach i chłopcach, którzy w nowych, wiosennych ubraniach wychodzą teraz z domów studenckich, idą cienistymi ulicami w stronę chłodno, niespiesznie bijących dzwonów. Podniosła nogę, obejrzała zabrudzoną na stopie pończochę i wyczyściła dłońmi najpierw jedną pończochę, potem drugą.

Znów zastukał kij niewidomego. Cofnęła głowę, przymknęła drzwi i przez szparę patrzyła na niego, gdy przechodził już wolniej, naciągając szelki na ramiona. Zboczem doszedł pod górą do domu. Wtedy otworzyła drzwi i ostrożnie wyszła ze stajni.

Wpatrzona w dom szła szybko, chociaż jej stopy w samych pończochach wzdrygały się i kurczyły przy każdym zetknięciu z wyboistą ziemią. Wbiegła po schodkach na ganek i z ganku do kuchni i stanęła nasłuchując w ciszy. Piec był zimny; na płycie stał osmolony kociołek z kawą i brudna rynka; na stole piętrzyły się byle jak postawione, nie umyte talerze.

“Nie jadłam od... od... Wczoraj przez cały dzień – pomyślała – ale nie jadłam już przedtem. Nie jadłam od... Przedwczoraj na te tańce poszłam bez kolacji. Nie jadłam od obiadu w piątek – pomyślała. – A dziś jest niedziela.”

I przypomniały jej się znów dzwony bijące w chłodnych dzwonicach na tle błękitu i gołębie nad tymi dzwonicami, gruchające jak echa organowego basu. Wróciła do drzwi i wyjrzała. Zaciskając na sobie poły płaszcza wyszła na ganek.

Przez sień pobiegła na drugą stronę domu. Frontowy ganek zalewało teraz słońce i biegnąc z głową wysuniętą patrzyła na obramowany drzwiami prostokąt

tego słonecznego blasku. W sieni było pusto. Dobiegła do drzwi na prawo od wejścia, wskoczyła do pokoju, zamknęła drzwi za sobą i oparła się o nie plecami. Na łóżku nie leżał nikt. W poprzek łóżka kłębiła się wypłowiała, popeszywana z lat kołdra. Przy kołdrze leżała manierka obciągnięta sukнем khaki i jeden pantofel. Sukienka i kapelusz wały się na podłodze.

Podniosła sukienkę i kapelusz i spróbowała oczyścić je dłonią i rogiem płaszcza; potem zabrała się do szukania drugiego pantofla, odsuwając kołdrę, pochylając się, żeby zajrzeć pod łóżko. Znalazła go wreszcie w kominku, wśród rozsypanego spopielalego drewna, pomiędzy podstawką do różna i rozrzuconymi cegłami. Pantofel, jak gdyby ciśnięty tam czy kopnięty, leżał bokiem, prawie pełny popiołu. Wytrząsnęła popiół, wytarła pantofel o płaszc i położyła na łóżku, po czym wzięła z łóżka manierkę i powiesiła ją na gwoździu na ścianie. Na manierce były litery US i jakiś zamazany, odbity matrycą numer. Zdjęła z siebie płaszc i zaczęła się ubierać.

Wąska w ramionach, długonoga, z małymi pośladkami wysoko osadzonymi – mała dziecinna figurka, już niezupełnie dziecko, a jeszcze niezupełnie kobieta – poruszała się prędko, wygładzając na nogach pończochy i wciskając się w obcisłą, kusą

sukienkę.

“Teraz mogę znieść wszystko – pomyślała spokojnie, z jakimś tępym, znużonym zdziwieniem. – Mogę znieść po prostu wszystko.”

Z pończochy na udzie wyciągnęła zegarek na zerwanej czarnej wstążeczce. Godzina dziewiąta. Palcami uczesała zwichrzone loki, wyplątując z nich parę łusek bawełny. Wzięła płaszcz i kapelusz i znów zaczęła nasłuchiwać pod drzwiami.

Wróciła na tylny ganek. W miednicy była resztką brudnej wody. Wypłukała miednicę, napełniła ją świeżą wodą i umyła twarz. Na gwoździu wisiał brudny ręcznik. Wytarła się nim ostrożnie, po czym z kieszeni płaszcza wyjęła puderniczkę i właśnie się pudrowała, gdy poczuła na sobie wzrok kobiety w drzwiach kuchni.

– Dzień dobry – powiedziała.

Zobaczyła na ręku kobiety dziecko. Dziecko spało.

– Serwus, dzidziusiu mały. – Pochyliła się ku niemu. – Cały dzień będziesz lulał? Popatrz na Temple.

Weszła do kuchni. Kobieta napełniła kubek kawą.

– Jest pewnie zimna – powiedziała. – Chyba że pani chce sama rozpalić ogień...

Wyjęła z piekarnika patelnię z chlebem.

– Nie – powiedziała Temple, małymi łykami popijając letnią kawę i czując, jak przez przewód pokarmowy przelatują jej niczym luźny śrut małe, łaskoczące skrzepy. – Nie jestem głodna. Nie jadłam przez

dwa dni i nie jestem głodna. Czy to nie dziwne? Nie jadłam przez... – spojrzała na plecy kobiety z przymilnym, zastygłym grymasem uśmiechu. – Państwo nie mają łazienki, prawda?

– Czego? – zapytała kobieta. Spojrzała na Temple, na ten jej grymas unizonej, przymilnej czelności. Wzięła z półki jakiś katalog reklamowy, wydarła parę kartek i podała jej. – Będzie pani musiała iść do stajni, tak jak my chodzimy.

– Będę musiała? – zapytała Temple biorąc papier. – Do stajni?

– Ich wszystkich nie ma – powiedziała kobieta. – Dziś przed południem nie wróca.

– Tak – powiedziała Temple. – Do stajni.

– Tak, do stajni – powiedziała kobieta. – O ile nie jest pani na to zbyt niepokalana.

– Tak -. powiedziała Tempie.

Wyjrzała z drzwi na polanę zduszoną zielskiem. Poprzez mrok cedrów jaśniał słonecznie sad. Włożyła płaszcz i kapelusz i biorąc te wydarte kartki, zadrukowane kuponami na szpilki krawieckie i wyzmaczki, i proszek do prania, poszła do stajni. W stajni zatrzymała się, zwijając kartki i zwijając, i dopiero po

długiej chwili ruszyła między puste boksy, w które zerkąła bojaźliwie. Przeszła tak przez całą stajnię. Tyły otwierały się na ogromne kępy bielunia z obfitością białego i niebieskiego kwiecica. Wyszła znów w blask słońca, w chwasty. Stopami prawie nie dotykając ziemi zaczęła biec poprzez te chwasty, siekące ją ogromnymi wilgotnymi kwiatami o nieprzyjemnej woni. Pochyliła się i prześliznęła pod ogrodzeniem z obwisłych zardzewiałych drutów i zbiegła z boczem wśród drzew.

U stóp wzgórza szeregiem świetlistych plam w miejscach, gdzie padało słońce, wiła się jak gdyby przez środek małego wąwozu wąska bruzda piasku. Tempie stanęła na piasku i słuchając ćwierkania ptaków w zieleni liści prześwietlonych słońcem rozejrzała się wokoło. Potem poszła za występ zbocza tym suchym strumykiem, w zakątek osłonięty płataniną głógów. Pośród świeżej zieleni zwieszały się z gałęzi w górze suche, zeszłoroczne liście, które jeszcze nie opadły na ziemię. Przez chwilę stała tam, nieledwie z rozpaczą zwijając i zwijając w palcach kartki katalogu. Gdy się podniosła, zobaczyła nad masą rozmigotanych liści przy krawędzi rowu zarysy skulonego mężczyzny.

Przez ułamek sekundy stała i patrzyła na samą siebie wybiegającą z ciała, z jednego pantofla. Patrzyła na swoje nogi, które przebiegając kilkanaście jardów po piasku błyskały w cętkach słońca. Raptownie zakręciła i pobiegła z powrotem, porwała pantofel, zakręciła się i popędziła znowu.

Mignął jej dom od strony frontowego ganku. Siedział tam na krześle niewidomy, z twarzą wystawioną w słoneczny blask. Zatrzymała się na skraju lasu i włożyła pantofel. Przebiegła przez zarośnięty chwastami trawnik, wskoczyła na ganek i do sieni. Dobiegając przez sień do kuchennego ganku zobaczyła, że w drzwiach stajni stoi jakiś mężczyzna i patrzy chyba na dom. Dwoma wielkimi krokami przeszła zdyszana przez ganek i zastała w kuchni kobietę,

z papierosem w ręce, z dzieckiem na kolanach siedzącą przy stole.

– On mnie podglądał! – powiedziała. – Podglądał mnie przez cały czas!

Oparła się o ścianę przy drzwiach i wyjrzała z kuchni, po czym podeszła do

kobiety, blada i mizerna, z oczami jak dwie dziury wypalone cygarem, i położyła rękę na zimnej kuchennej płycie.

– Kto podglądał? – zapytała kobieta.

– Podglądał – odpowiedziała Tempie. – Był tam w krzakach i podglądał mnie przez cały czas.

Spojrzała w stronę drzwi, a potem znów na kobietę, i nagle zobaczyła swoją rękę na kuchennej płycie. Wrzasnęła przeciągle, poderwała tę rękę, przycisnęła do ust i odwróciła się, pobiegła ku drzwiom. Kobieta, przytrzymując dziecko jedną ręką, chwyciła ją drugą za ramię, ale ona już sama wskoczyła z powrotem do kuchni. Do domu zbliżał się Goodwin. W przejściu obrzucił je obie przelotnym spojrzeniem i wszedł z ganku do sieni.

Tempie zaczęła się szamotać.

– Puszczaj! – szeptała. – Puszczaj! Puszczaj! Miotła się to w górę, to w dół, tarła ręką kobiety o framugę drzwi, dopóki się nie uwolniła. Wskoczyła w zielsko i popędziła do stajni, przebiegła pomiędzy boksami, weszła po drabinie, przegramoliła się przez otwór w pułapie na poddasze, wstała i rzuciła się w stronę gnijącego siana.

Ni stąd, ni zowąd biegła do góry nogami: widziała swoje nogi wciąż jeszcze biegnące w powietrzu i już zaraz upadła na wznak, lekko, ale na całą długość, po czym przez chwilę leżała spokojnie, wpatrzona w podłużną wyrwę w pułapie zamykającą się nad nią z trzaskiem i potężnym drganiem tych pękniętych desek. W smugach słońca opadał nikły kurz.

Poruszyła ręką w czymś, na czym leżała, i po raz drugi przypomniała sobie szczura. Wzdrygnęła się, pełna obrzydzenia, i samo to bezwiedne wzdrygnięcie poderwało ją na nogi wśród rozsypanych łusek bawełny, tak że mogła rozciągnąć ręce i stanąć w kącie prosto, przytrzymując się obu ścian, gdy na poprzecznej belce w odległości niespełna dwunastu cali od jej twarzy przysiadł szczur. Oko w oko przez chwilę wpatrywali się w siebie i nagle te małe ślepia zapaliły się jak dwie maleńkie żaróweczki i szczur skoczył jej na głowę, a ona dała susa w tył i znów nadepnęła na coś, co przewinęło się pod jej stopą.

Upadła w stronę przeciwległego kąta, twarzą w łuski bawełny i kilka rozrzuconych między nimi, dokładnie ogryzionych kaczanów kukurydzy. Coś z głuchym łoskotem odbiło się o ścianę i z odbicia uderzyło ją w rękę. Ten szczur był teraz w kącie przed nią,

na podłodze. Znów spojrzeli na siebie z odległości niespełna dwunastu cali. Oczy szczura zapalały się i przygasały, jak gdyby ich światełka zasilano powietrze z płuc. Aż nagle szczur stanął w kącie na dwóch tylnych łapkach, przednie przycisnął do piersi i zaczął cichutko, żałośnie, urywanie popiskiwać do niej. Nie spuszczać z niego wzroku wycofała się tyłem na czworakach. Potem wstała i doskoczyła do drzwi, oparła się o nie i wygięta, żeby obserwować szczura przez ramię, waliła, drapała w deski, aż nieomal ścierała sobie skórę z rąk.

XII

Kobieta z dzieckiem na ręku stała w drzwiach kuchni, dopóki Goodwin nie wyszedł z sieni na ganek. Ogorzały, miał teraz skrzydełka nosa zupełnie białe, więc powiedziała:

– Boże, ty też jesteś pijany. Przeszedł przez ganek.

– Jej tu nie ma – powiedziała. – Nie znajdziesz

jej-

Prawie potracił ją przechodząc i poczuła odór whisky. Wszedł do kuchni. Odwróciła się za nim. Popatrzył szybko wokoło, a potem spojrzął na nią, stojącą w drzwiach, zastawiającą mu wyjście.

– Nie znajdziesz jej – powtórzyła. – Jej tu nie ma.

Podszedł do niej podnosząc rękę.

– Nie dotykaj mnie – powiedziała.

Chwycił ją za ramię, powoli. Oczy miał trochę przekrwione. Nozdrza jak wosk.

– Precz z tą ręką – powiedziała. – Precz. Powoli odciągnął ją od drzwi. Zaczęła mu wymyślać.

– Zdaje ci się, że możesz? Zdaje ci się, że ja na to pozwolę? Z tą czy z jakąkolwiek inną kurewką?

Jak gdyby ustawili się do jakiegoś tańca, nieruchomo stali naprzeciw siebie we wzrastającym straszliwym napięciu mięśni.

Prawie się nie poruszył, a odepchnął ją w pełnym obrocie z taką siłą, że upadła na stół sięgając ręką do tyłu, żeby się podeprzeć, macając dłonią wśród brudnych naczyń, ale nie odrywając od niego oczu ponad bezwładnym dzieckiem. Szedł ku niej.

– Nie podchodź – powiedziała i lekko uniosła rękę, w której trzymała teraz rzeźnicki nóż. – Nie podchodź.

Ale on podszedł, więc rzuciła się na niego z nożem. Chwycił ją za przegub tej ręki. Zaczęła się szarpać. Wyrwał jej dziecko i położył na stole i w chwili, gdy trzepnęła go po twarzy, chwycił ją za drugą rękę, po czym przytrzymując oba jej przeguby jedną dłonią, drugą uderzył ją na odlew; rozległo się suche plaśnięcie, a raczej dwa plaśnięcia, bo

uderzył ją i w dru- gi policzek, aż głowa jej się zakołysała z boku na bok.

– Tak właśnie ja robię z nimi – powiedział. – Rozumiesz?

Puścił ją. Zatoczyła się tyłem na stół, chwyciła dziecko i skulona pomiędzy stołem a ścianą patrzyła, jak on się odwraca i wychodzi z kuchni.

Kłęcząca w kącie trzymając dziecko. Przez cały czas dziecko leżało bezwładnie. Przyłożyła dłoń do maleńkich policzków. Podniosła się, położyła dziecko w skrzynce, zdjęła z gwoźdźnia staromodny czepek ogrodowy i włożyła na głowę. Z drugiego gwoźdźnia wzięła płaszcz bramowany czymś, co kiedyś musiało być białym futerkiem, i z dzieckiem na ręku wyszła z kuchni.

W stajni przy drzwiach komórki stał Tommy patrząc w kierunku domu. Na frontowym ganku w słońcu siedział starzec. Zeszła ze schodków, dotarła ścieżką do drogi i szła dalej nie oglądając się za siebie. Przy zwałonym drzewie i rozbitym samochodzie skręciła z drogi na ścieżkę prowadzącą do źródła. Przy źródle usiadła z uśpionym dzieckiem na kolanach i osłoniła mu twarzyczkę rąbkiem spódnicy.

W pewnej chwili z krzaków, ostrożnie stąpając w zabłoconych butach, wyszedł Wytrzeszcz i na jej widok przystanął po drugiej stronie źródła. Szybkim ruchem sięgnął do marynarki, wyjął papierosa, ugniół i skręcił, wsadził do ust i przytknął o kciuk zapalną.

– Rany boskie! – powiedział. – A ja mu mówiłem, co będzie, jak się im pozwoli tak siedzieć całą noc i żłopać to cholerne świństwo. Powinna być jakaś ustawa.

Spojrzał w dal, tam gdzie stał dom. Po czym znów spojrzał na nią, na czubek jej staromodnego czepka.

– Dom wariatów – powiedział. – Właśnie wariatów. Nie ma jeszcze czterech dni, jak przychodzę tutaj i znajduję jakiegoś przykucniętego bękarta, a on się pyta, czy ja czytam książki. Tak jakby chciał mnie zagiąć jaką książką czy co. Przepytać z książki telefonicznej.

Znów spojrzał w stronę domu, wyciągnął szyję, jak gdyby go uwierał kołnierzyk. Spojrzał na kobietę, na czubek jej staroświeckiego czepka.

– Jadę do miasta, rozumiesz? – powiedział. – W ogóle się stąd wynoszę. Rzygać mi się już chce od tego.

Nie podniosła na niego oczu. Poprawiła rąbek

spódnicy nad twarzyczką dziecka. Wytrzeszcz odszedł lekko, pretensjonalnie

stąpając po podszyciu lasu. A potem jego kroki ucichły. Gdzieś w mokradle zaśpiewał ptak.

Jeszcze dosyć daleko od domu Wytrzeszcz skręcił z drogi i ruszył pod górę zalesionym zboczem. Gdy wyszedł z lasu, zobaczył Goodwina stojącego za drzewem w sadzie i patrzącego na stajnię. Zatrzymał się na skraju lasu i patrzył na plecy Goodwina. Włożył do ust nowego papierosa, zatknął palce za kamizelkę. Ostrożnie stąpając przeszedł przez sad. Goodwin usłyszał jego kroki i obejrzał się. Wytrzeszcz wyciągnął z kieszeni kamizelki zapalniczkę i zapalił papierosa. Goodwin znów spojrzał na stajnię, więc Wytrzeszcz, podchodząc do niego, spojrzał na stajnię także.

– Kto tam jest? – zapytał.

Goodwin nie odpowiedział. Wytrzeszcz wypuścił dym nosem.

– Urywam się stąd – powiedział. Goodwin milczał patrząc na szopę. – W ogóle się stąd urywam, mówię – powiedział Wytrzeszcz.

Goodwin skłął go, ale nie odwrócił głowy. Wytrzeszcz spokojnie palił papierosa, przesłaniającego jego nieruchome, miękkie, czarne spojrzenie girlandą dymu. Wreszcie odwrócił się i poszedł w stronę domu. Na ganku w słońcu siedział starzec. Wytrzeszcz nie wszedł do domu. Zboczył przez trawnik między cedry idąc, dopóki nie był pewny, że z domu go nie widać. Wtedy zawrócił, przeszedł przez ogród i przez zarosła zielskami polanę i wszedł od tyłu do stajni.

Przy drzwiach komórki, zapatrzony w dom, siedział w kucki Tommy. Paląc papierosa Wytrzeszcz patrzył na niego przez chwilę, po czym cisnął papierosa i cicho wszedł do jednego z boksów. Nad żłobem, bezpośrednio pod dziurą w pułapie, wisiały drewniane drabki. Wytrzeszcz wspiął się na drabki i cicho dźwignął się po nich przez dziurę na poddasze, przy czym

jego obcisła marynarka na wąskich ramionach i łopatkach ściągnęła się w cienkie poprzeczne bruzdy.

XIII

Gdy Tempie wreszcie otworzyła drzwi komórki, Tommy stał w stajni między boksami. Już w półobrocie, gotowa do skoku w tył, poznała, że to on, zakręciła się, podbiegła do niego i chwyciła go za ramię. Ale zaraz zobaczyła Goodwina stojącego w tylnych drzwiach domu, więc znów się zakręciła i wskoczyła z powrotem do komórki, wysuwając zza drzwi głowę, wciągając powietrze z ciekawym dźwiękiem "iiiiiii", podobnym do musowania wody sodowej w butelce. Wychylona tak i jednocześnie wczepiona w drzwi rękami, żeby je domknąć, usłyszała głos Tommy'ego.

– ... Lee mówi, że jej nie będzie bolało. Że ona ma się tylko położyć...

Były to dla niej jakieś puste dźwięki, wcale nie dochodzące do jej świadomości, tak samo jak spojrzenie jego bladych oczu pod strzechą kudłów. Opierała się o drzwi skomląc, usiłując je zamknąć. I nagle poczuła na udzie jego niezdarną rękę.

– On mówi, że jej nie będzie bolało, że ona ma się tylko...

Patrzyła na niego, na tę jego rękę twardą i nieśmiałą.

– Tak – powiedziała – dobrze. Niech pan go tutaj nie wpuszcza.

– Ona chce, żebym tu nikogo z nich nie wpuszczał?

– Dobrze. Nie boję się szczurów. Niech pan tam stoi i go nie wpuszcza.

– Dobrze. Już ja tak zrobię, że nikt tu nie wlezie.

– Dobrze. Niech pan zamknie te drzwi. Niech pan go tu nie wpuszcza.

– Dobrze.

Zamknął drzwi. Ale znów się wychyliła, patrzyła na dom. Popchnął ją do tyłu, żeby zamknąć drzwi.

– Lee mówi, że jej nie będzie bolało. Że ona ma się tylko położyć.

– Dobrze. Niech pan go tutaj nie wpuszcza. Drzwi się zamknęły. Usłyszała, jak Tommy zasuw

skobel. A potem, jak potrząsa drzwiami.

– Zamknięte – powiedział. – Nikt z nich nie wlezie. I ja będę tutaj.

Przysiadł na piętach w plewach i patrzył na dom. Skulony, z kolanami zaciśniętymi, zobaczył po chwili, jak Goodwin podchodzi do drzwi kuchennego ganku i

spogląda w jego stronę, i oczy znów mu się rozjarzyły, blade tęczęwki wyglądały przez chwilę jak małe koncentryczne kółeczka wirujące wokół źrenic. Siedząc na piętach, trochę szczerząc zęby siedział . tam i patrzył na Goodwina, dopóki Goodwin nie wszedł z powrotem do domu. Wtedy odetchnął głęboko i spojrział na drzwi komórki, zupełnie takie same jak zawsze, i znów oczy mu się rozjarzyły jakimś głodnym, niepewnym, błędnym ogniem i zaczął pocierać rękami łydki, powoli, lekko kołysząc się z boku na bok. Potem przestał się kołysać, zeszywniał i patrzył, jak Goodwin szybkim krokiem wychodzi z zą węgła domu i znika w cedrach. Siedział na piętach sztywno, trochę szczerzył spróchniałe zęby.

Wśród łusek bawełny i porozrzucanych ogryzionych r kaczanów kukurydzy Tempie podniosła nagle głowę i spojrzała na otwór u szczytu drabiny. Usłyszała kroki na poddaszu, a potem zobaczyła nogę Wytrzeszcza ostrożnie, po omacku natrafiającą na szczebel. Zszedł po drabinie patrząc na Tempie przez ramię.

Siedziała zupełnie nieruchomo, z ustami rozchylo-nymi. Stał i patrzył na nią. Wysunął podbródek sto-pniowo, szarpliwie, tak jakby go uwierał kołnierzyk. Uniósł łokcie, dłonią i połą marynarki oczyścił je z kurzu, po czym z ręką w kieszeni marynarki, bezszelestnie przeszedł przez jej pole widzenia. Sprawdził, czy drzwi są zamknięte. Potrzęsnał nimi.

– Otwórz – powiedział.

Przez chwilę panowała cisza. A potem Tommy zapytał szeptem:

– Kto to?

– Otwórz – powiedział Wytrzeszcz,

Drzwi się otworzyły. Tommy spojrział na Wytrzeszcza. Zamrugał.

– Nie wiedziałem, że pan Wytrzeszcz tu jest – powiedział.

Sponad ramienia Wytrzeszcza chciał zajrzeć do komórki. Ale Wytrzeszcz położył mu rękę na twarzy, odepchnął go i wychylił się zą niego, żeby zobaczyć dom; po czym spojrział mu w oczy.

– Nie mówiłem ci, żebyś nie łąził za mną?

– Nie łąziłem – powiedział Tommy. – Przed nim pilnowałem – i kiwnął głową w stronę domu.

– To pilnuj przed nim – powiedział Wytrzeszcz. Więc Tommy patrzył na dom, a Wytrzeszcz wyciągnął rękę z kieszeni marynarki.

Dla Tempie, siedzącej wśród łupin bawełny i porozrzucanych kaczanów kukurydzy, ten odgłos nie był głośniejszy od trzasku zapalki – krótki huczek, który z jakąś nieprzeniknioną ostatecznością zamknął się nad tym wszystkim, nad tą chwilą, odciął zupełnie to wszystko, tę chwilę od życia; siedziała tam z nogami wyciągniętymi, z rękami obwisłymi, dłońmi rozwartymi na kolanach, i widziała obciążone marynarką plecy Wytrzeszcza, fałdy tworzące się na jego ramionach, gdy tak stał wychylony z drzwi, trzymając za sobą w opuszczonej ręce pistolet, cienki wisior przy nodze.

Odwrócił się i spojrzał na nią. Machnął lekko pistoletem i włożył go z powrotem do kieszeni, i nagle już szedł. Kroków jego nie było słyhać wcale; nie zamknięte, ziejące drzwi obijały się o futrynę, ale też nie było ich słyhać; jak gdyby każdy odgłos nagle stał się ciszą, a cisza stała się odgłosem. Tempie słyszała ciszę w gęstym szeleście, gdy Wytrzeszcz szedł ku niej poprzez ten szelest, rozgarniał ten szelest, na boki, i zaczęła mówić:

– Coś mi się stanie! – Mówiła to do starego człowieka z żółtymi skrzepami zamiast oczu. – Coś mi się dzieje! – wrzeszczała do niego, siedzącego na krześle w słońcu, z rękami skrzyżowanymi na główce kija. – Mówiłam, że tak będzie! – wrzeszczała wyrzucając z siebie te słowa jak gorące, ciche bańki powietrza w słoneczną ciszę wokoło, dopóki nie odwrócił ponad nią głowy z dwoma skrzepami flegmy skierowany-mi tam, gdzie leżała rzucając się, miotając na szorstkich, zalanych blaskiem słońca deskach. – Mówiłam! Przez cały czas mówiłam!

XIV

Nad źródłem kobieta, z uśpionym dzieckiem na ko-lanach, stwierdziła, że zapomniała zabrać z domu jego butelkę. Po odejściu Wytrzeszcza siedziała tam prawie godzinę. Ostatecznie wstała i ruszyła do domu. Z dzieckiem na rękę była mniej więcej połowie drogi, gdy minął ją samochód Wytrzeszcza. Usłyszała warkot, więc zeszła na bok, stanęła i patrzyła, jak samochód zjeżdża ze wzgórza. Obok Wytrzeszcza w samochodzie siedziała Tempie. Wytrzeszcz nawet nie uiniósł ręki, chociaż Tempie patrzyła prosto na kobietę. Spod swego małego kapelusza Tempie patrzyła prosto na kobietę, jak gdyby nie wiedziała, kogo widzi. Twarz jej nie drgnęła, oczy nie oprzytomniały; kobiecie stojącej przy drodze ta twarz wydała się mała trupio bladą maską, która przesuwa się na sznurku i znika. Samochód przejechał, kołysząc się i podskakując w koleinach. Kobieta poszła do domu.

Na frontowym ganku w słońcu siedział starzec. W Sieni przyspieszyła kroku. Nie czuła nawet, że niesie dziecko. Goodwina zastała w sypialni; właśnie wkładał wystrzępiony krawat. Spojrzała na niego i zobaczyła, że jest świeżo ogolony.

- Tak – powiedziała. – Co to znaczy? Co to znaczy?
- Muszę iść do Tulla, żeby zatelefonował po szeryfa – powiedział.
- Po szeryfa – powiedziała. – Tak. Dobrze. – Podeszła do łóżka i ułożyła dziecko pieczołowicie. – Do Tulla – powiedziała. – Tak. On ma telefon.
- Ty przecież musisz gotować – powiedział Goodwin. – Jest tata.
- Możesz mu dać zimne grzanki. Jemu wszystko jedno. Zostało trochę w piecu. Jemu wszystko jedno.
- Ja pójdę – powiedział Goodwin. – Ty zostań tutaj.
- Do Tulla – powiedziała. – Dobrze.

Tuli to był ten farmer, który wynajął samochód Gowanowi. Mieszkał w odległości dwóch mil. Gdy tam przyszła, Tullowie jedli obiad. Prosił ją, żeby zjadła z nimi.

- Ja tylko do telefonu – powiedziała.

Telefon był w jadalni, gdzie jedli. Zatelefonowała przy nich, siedzących tam przy stole. Nie знаła numeru.

– Szeryf – powtarzała cierpliwie w mikrofon słuchawki.

Wreszcie połączono ją z szeryfem, w obecności całej rodziny Tulla siedzącej przy niedzielnym obiedzie.

– Człowiek nie żyje. Szosą to może jeszcze mila od domu pana Tulla i trzeba skręcić w prawo... Tak. Dom Starego Francuza. Tak. Mówi Goodwinowa... Goodwinowa. Tak.

XV

Benbow doszedł do domu siostry około godziny piątej po południu. Dom stał w odległości czterech mil od miasteczka, od Jefferson. Benbow i jego siostra, młodsza od niego o lat siedem, urodzili się w Jefferson w innym starym domu będącym nadal ich własnością, jakkolwiek siostra, odkąd Benbow ożenił się z rozwiedzioną żoną niejakiego Mitchella i wyjechał

do Kinston, chciała ten dom sprzedać. Benbow nie zgadzał się na to, chociaż pieniądze na wybudowanie sobie nowej willi w Kinston musiał pożyczyć i wciąż jeszcze płacił od nich procenty.

Gdy przybył, na dole nie zastał nikogo. Wszedł do domu i usiadł w przyciemnionym zasuniętymi roletami salonie; po pewnym czasie usłyszał kroki siostry, która schodziła ze schodów, nic jeszcze nie wiedząc o jego przybyciu. Siedział cicho. Już miała minąć drzwi salonu i zniknąć mu z oczu, ale zatrzymała się nagle, na pozór wcale nie zdumiona, obojętna pogodnie i głupio jak pomnik bohaterstwa, i spojrzała prosto na niego; była w bieli.

– Aha... Horace – powiedziała.

Nie podniósł się. Siedział z miną smarkacza mającego nieczyste sumienie.

– Skąd tyś?... – zapytał. – Czy Belle?...

– Oczywiście. Depeszowała do mnie w sobotę. Że ją rzuciłeś i jeżeli tu przyjedziesz, mam ci powiedzieć, że ona pojechała z powrotem do domu do Kentucky i że wezwała tam Małą Belle.

– Niech to diabli – powiedział Benbow.

– Dlaczego? – zapytała siostra. – Tobie wolno tak odjechać, a jej nie wolno?

Spędził u siostry dwa dni. Narcissa, wegetująca pogodnie jak dojrzała przez cały rok okrągły kukurydza czy owies nie na polu, tylko w osłoniętym ogrodzie, nigdy nie lubiła dużo mówić, a już teraz przez te dwa dni wręcz niemo obnosiła po domu swoją spokojną, trochę tragikomiczną dezaprobatę.

Siedzieli po kolacji w pokoju Panny Jenny, gdzie Narcissa zwykle o tej porze czytała gazetę z Memphis przed położeniem syna do łóżka. Gdy wyszła z chłopcem z

pokoju, Panna Jenny spojrzała na Benbowa.

– Wracaj do domu, Horace – powiedziała.

– Wróć, ale nie do Kinston – powiedział Benbow. – W żadnym razie nie zamierzałem pozostać tutaj. To nie do Narcissy tak się spieszyłem. Nie po to skończyłem z jedną kobietą, żeby się uwiesić spódnicy drugiej.

– Jeżeli tak wciąż w kółko będziesz to sobie mówił, może w to uwierzysz kiedyś – powiedziała Panna Jenny. – I co wtedy zrobisz?

– Ma pani rację – przyznał Benbow. – więc powinienem być zostać w domu.

Wróciła jego siostra. Weszła do pokoju, wyraźnie na coś zdecydowana.

– Teraz się zacznij – powiedział Benbow. Od rana nie zwróciła się do niego bezpośrednio.

– Co ty zamyślasz, Horace? – padło pytanie. – Masz chyba w Kinston jakieś sprawy, które należałoby załatwić.

– Nawet Horace chyba ma jakieś sprawy – powiedziała Panna Jenny. – Chciałabym tylko wiedzieć, dlaczego on odszedł. Może znalazłeś mężczyznę pod łóżkiem, przyznaj się, Horace!

– Tak szczęśliwie się nie złożyło – powiedział Benbow. – To był piątek i ni stąd ni zowąd pojąłem, że nie mogę iść na stację po tę skrzynkę krewetek i...

– Przez dziesięć lat przecież chodziłeś – powiedziała siostra.

– Wiem. I stąd właśnie wiem, że nigdy nie polubię zapachu krewetek.

– I dlatego rzuciłeś Belle? – zapytała Panna Jenny. Spojrzała na niego. – Dużo czasu potrzebowałeś na to, żeby się dowiedzieć, że kobieta, która nie była dobrą żoną dla jednego mężczyzny, prawdopodobnie nie będzie dobra i dla drugiego.

– Ale żeby tak odejść jak byle jaki czarnuch – powiedziała Narcissa. – I zadawać się z bimbrarza-mi i ulicznymi.

– No, on odszedł i od tej ulicznicy także – zauważyła Panna Jenny. – Chyba, Horace, że będziesz z przyborami do manicure w kieszeni chodził po ulicach i czekał, dopóki ona tu nie przyjedzie.

– Tak – powiedział Benbow.

I znów zaczął im opowiadać, jak we trzech: on,

Goodwin i Tommy siedzieli na ganku i popijali z gąsiora, i rozmawiali, i jak Wytrzeszcz, przyczajony w domu, od czasu do czasu wychodził na ganek i chciał, żeby

Tommy zapalił latarnię i poszedł z nim do stajni, a Tommy nie chciał, więc Wytrzeszcz kłął, a Tommy w kucki na podłodze ganku tylko szurał cicho bosymi stopami i chichotał, i mówił: "No, czy nie cyrk z niego!"

– To, że on ma przy sobie pistolet, było tak pewne jak to, że ma pępek – opowiadał Benbow. – Nie chciał pić, mówił, że mdli go potem jak psa, ani nie chciał siedzieć z nami i rozmawiać, w ogóle nic; tylko palił papierosy i krył się jak nadąsane chore dziecko.

Rozmawiałem z Goodwinem. On był wachmistrzem na Filipinach i na Pograniczu, a potem służył w pułku piechoty we Francji; nie powiedział mi, dlaczego przeniósł się do piechoty i stracił stopień wojskowy. Może zabił kogoś, może zdezerterował. Mówił o Marni i o Meksykankach, a ten półgłówek chichotał i z gulgotaniem popijał z gąsiora, i wpychał mi gąsior do ręki: "Niech pan jeszcze golnie." I nagle wiedziałem, że ta kobieta stoi za drzwiami i przysłuchuje się naszej rozmowie. Oni nie są małżeństwem, to dla mnie pewne tak samo, jak wiem, że ten mały facet na czarno miał płaski pistolet w kieszeni. Ale ona mieszka tam i haruje, jakby była czarnuchą służącą, chociaż w swoim czasie miała brylanty i samochody, a kupowała je za cięższą walutę niż gotówka. A ten niewidomy, ten starzec, siedział tam przy kolacji i czekał, żeby go ktoś nakarmił... czekał w tym bezruchu ślepców jak gdyby wsłuchanych w jakąś muzykę, której człowiek nie słyszy, i tylko patrzy na te ich oczy jak gdyby zwrócone do wewnątrz. Goodwin wyprowadził go z pokoju, a zarazem z powierzchni ziemi, tak mi się przynajmniej wydaje, bo już go potem nie widziałem. Nie dowiedziałem się, kim jest, czyj to krewny. Może niczyj. Może ów Stary Francuz, który wybudował tam dom przed stu laty, także nie chciał tego starego, więc po prostu zostawił go umierając czy wyprowadzając się stamtąd.

Nazajutrz Benbow wziął od siostry klucz i pojechał do domu w miasteczku. Dom stał na bocznej ulicy, nie zamieszkały od lat dziesięciu. Benbow otworzył drzwi i powyciągał gwoździe z pozabijanych okien. Umeblowanie wcale się nie zmieniło. W nowym kombinezonie, wyposażony w ścierki i wiadra, zaczął szorować podłogi. W południe wyszedł na miasto, kupił pościel i trochę konserw. Jeszcze pracował o godzinie szóstej, gdy przyjechała tam swoim samochodem siostra.

– Pora do domu, Horace – powiedziała. – Czy nie rozumiesz, że to robota nie dla ciebie?

– Zrozumiałem to od razu, ledwie się do tego zabrałem – odpowiedział Benbow. – A jeszcze dziś rano myślałem, że umyć podłogę może każdy, kto ma jedną rękę i wiadro

wody.

– Horace – powiedziała.

– Jestem starszy od ciebie, pamiętaj – upomniał ją. – Będę tu mieszkał. Jeść mam na czym.

Na kolację Benbow poszedł do restauracji hotelowej. Gdy wrócił, przed domem stał samochód siostry. Szofer Murzyn przywiózł toból z pościelą.

– Od pani Narcissy do spania dla pana – powiedział Murzyn.

Benbow schował ten toból do szafy i położył na łóżku pościel, którą kupił.

Nazajutrz w południe siedząc w kuchni przy zimnym drugim śniadaniu, zobaczył przez okno, jak na ulicy zatrzymuje się jakiś wóz. Z wozu wysiadły trzy kobiety i na krawężniku zaczęły bez żenady dopełniać toalety, wygładzać na sobie spódnice i pończochy, otrzepywać się wzajemnie, rozpakowywać jakieś paczki, nakładać wyjęte z tych paczek błyskotki. Wóz odjechał, kobiety ruszyły za wozem już pieszo i wtedy on sobie uprzytomnił, że jest sobota. Zdjął kombinezon, ubrał się i wyszedł z domu.

Uliczka prowadziła na szerszą ulicę. Idąc tą szerszą w lewo dochodziło się do rynku wylotem pomiędzy dwoma budynkami, który był teraz ciemny od tłumy zdążającego wolno, nieprzerwanie, w dwóch kierunkach jak szeregi mrówek, i nad którym wylaniała się z kępy dębów i akacji w strzępiastym śniegu kwiecia kopuła sądu. Benbow poszedł w stronę rynku. Wciąż mijały go puste wozy, a on mijał coraz więcej kobiet idących pieszo, czarnych i białych, kobiet, których wiejskość poznawał na pierwszy rzut oka, bo tak wyraźnie nieswojo czuły się wystrojone i szły tak uroczyście, ufne, że mieszczenie będą je uważać za mieszcanki, a przecież niezdolne zmylić nawet siebie nawzajem.

Na uliczkach przy rynku pełno było wozów i uwiązanych z tyłu za wozami wyprężonych koni, sięgających łbami za tylne deski i ryjących wśród kłosów zboża. Wokół rynku w dwóch rzędach stały samochody, gdy ich właściciele i właściciele wozów – mężczyźni w kombinezonach albo w wojskowych mundurach, kobiety w szalach i pod parasolkami z asortymentu towarów przysyłanych pocztą na zamówienie z katalogu – tłoczyli się bez pośpiechu, wchodzili do

sklepów i wychodzili zaśmiecając bruk skórkami owoców i lupinami fistaszków.

Jak owce spokojni i niewzruszeni, szli powoli, wypełniali przejścia, gapili się na nerwowy pośpiech ludzi w miejskich koszulach z kołnierzykami, a cechowała ich owa

niezłębiona łagodność bydła albo bogów działających na zewnątrz czasu, bo przecież czas pozostawili za sobą, tam na tej nie spieszącej się do niczego i od niczego niezależnej ziemi, zielonej od

kukurydzy i bawełny w złote popołudnie.

Horace, przemiatany to tu, to tam ich świadomym swoich celów naporem, chodził wśród nich bez zniecierpliwienia. Niektórych znał dobrze; większość kupców i ludzi wolnych zawodów pamiętała go jeszcze jako chłopca, młodego człowieka, kolegę z ławy adwokackiej – poza pienistą zasłoną gałęzi akacji wi-

dział brudne okna pierwszego piętra, gdzie aplikował najpierw jego ojciec, a potem on sam, widział szyby tych okien, jak dawniej tak i teraz wciąż jeszcze nie skalane wodą i mydłem – więc zatrzymywał się od czasu do czasu, żeby porozmawiać z kimś na uboczu, dokąd żaden pośpiech nie docierał.

W słonecznym powietrzu rozbrzmiewały konkurencyjne dźwięki aparatów radiowych i gramofonów buchające z drzwi drogerii i sklepów muzycznych. Przez cały dzień stały przed tymi drzwiami zasłuchane tłumy. Wzruszała je ballada prosta w melodii i w treści, opiewająca utratę bliskich bądź karę i skrucę, wyśpiewywana głosem bezcielesnym, zależnym od igły gramofonowej czy od zakłóceń atmosferycznych, grzmącym z szafek z imitacji drzewa albo z chropowatych tub gramofonowych ponad urzeczonymi twarzami, ponad sękatymi powolnymi rękami, które długo kształtowała władca ziemia – rękami szorstkimi, ponurymi, smutnymi.

To była sobota w maju: nie czas, żeby odchodzić od ziemi. A przecież już w poniedziałek ci ludzie – większość ich – przyjechali tu znowu, i w swoich mundurach wojskowych i w kombinezonach, i w koszulach bez kołnierzyków włączyli się grupkami przy gmachu sądu i po rynku, kupując czy sprzedając trochę w sklepach, skoro już tu byli. Przez cały dzień stali gromadnie przed drzwiami zakładu pogrzebowego. Mali chłopcy i więksi, z teczkami szkolnymi czy bez, rozplaszczali nosy na szybie drzwi, a śmielsi z nich i młodzi z miasta wchodzili po dwóch, po trzech do zakładu, żeby popatrzeć na człowieka zwanego Tommy. Ten człowiek leżał tam na drewnianym stole, bosy, w kombinezonie, ze zbielełymi w słońcu kędziorami zsuniętymi na ciemną, zlepionymi zakrzepłą krwią i osmalonymi prochem, a nad nim siedział koro-ner usiłując ustalić jego nazwisko. Ale nikt nie wiedział – ani ci, którzy go na wsi znali od piętnastu lat w tych okolicach, ani sklepikarze, którzy w nie-

częste soboty widywali go w mieście bosego i z gołą głową, z oczami urzeczonymi i pustymi z policzkiem dziecinnie rozdętym miętową gumą do żucia. O ile było wiadomo, on nazwiska nie miał.

XVI

Tego dnia, gdy szeryf przywiózł Goodwina, w więzieniu siedział Murzyn, który zamordował swoją żonę; podciął jej gardło brzytwą, a ona, z głową odrywającą się w drgawkach od rozpienionej krwawymi wymiotami szyi, jeszcze wybiegła kilka kroków za próg chaty na spokojną uliczkę w księżycowej poświacie. Wieczorem Murzyn opierał się o kraty w oknie i śpiewał.' Zawsze po kolacji zbierała się tam

pod ogrodzeniem na dole gromadka Murzynów, ramię przy ramieniu, w schludnych tandetnych ubraniach bądź w przepoconych kombinezonach, i wszyscy chórem razem z mordercą śpiewali spirituals, a biali wte– dy zwalniali kroku i zatrzymywali się w liściastych, prawie letnich już ciemnościach, żeby posłuchać tych, którzy na pewno mieli umrzeć, i tego, który już umarł, jak śpiewają o swoim zmęczeniu i o niebiosach; czy też może, żeby posłuchać, jak w przerwach między pieśniami głęboki, z powietrza płynący głos, wysoko w mrokach, gdzie postrzępiony cień drzewa azjatyckiego okapturzał latarnię na rogu ulicy, lamien-tuje strapiony:

– Jeszcze cztery dni! I powieszą najlepszego bary-tona w północnym Missisipi!

Czasami i w świetle dziennym Murzyn wychylał się z okna; śpiewał wówczas sam, chociaż mogło się zdarzyć, że już po chwili stawało przy ogrodzeniu paru obdartych chłopaków czy Murzynów z koszykami pełnymi zakupów albo bez koszyków, i wtedy biali, którzy miarowo żując siedzieli na odchyłonych do tyłu krzesłach pod zapryskaną smarami ścianą warsztatu samochodowego, słyszeli:

– Jeszcze jeden dzień! I już mnie ni ma, biednego

skurwysyna. Powiedzcie, ni ma miejsca dla ciebie w niebiesiach! Powiedzcie, ni ma miejsca dla ciebie w piekle! Powiedzcie, ni ma miejsca dla ciebie we więzieniu!

– Cholera niech go weźmie – powiedział Goodwin podnosząc swoją ciemną głowę, mizerną, ogorzałą, trochę już steraną twarz. – Nie jestem w takim położeniu, żeby móc komukolwiek tak życzyć, ale niech mnie cholera... – Nie chciało mu się mówić. – Ja tego nie zrobiłem. Pan sam o tym wie. Pan wie, że ja bym tego nie zrobił. Nie będę mówił, co myślę. Ja tego nie zrobiłem. Oni muszą przypisać to najpierw mnie. Niech sobie. Ja się wypłaczę. Ale jeżeli zacznę mówić, jeżeli powiem, co

myślę czy przypuszczam, to już nie wypłacę się z całą pewnością.

Siedział na pryczy w swojej celi. Spojrzał w górę na okna: dwa otwory w murze niewiele szersze od cięcia szabli.

– Czy on aż tak dobrze strzela? – zapytał Ben-bow. – Mógłby trafić człowieka przez któreś z tych okien?

Goodwin spojrzał na niego.

– Kto?

– Wytrzeszcz – powiedział Benbow.

– Wytrzeszcz to zrobił? – zapytał Goodwin.

– A nie on? – zapytał Benbow.

– Powiedziałem już wszystko, co miałem zamiar powiedzieć. Ja nie muszę się tłumaczyć. To ich sprawa, że przypisują to mnie.

– Więc na co panu potrzebny adwokat? – zapytał Benbow. – Co mam dla pana zrobić?

Goodwin nie patrzył na niego.

– Gdyby mi pan tylko przyrzekł, że dzieciak dostanie plik gazet pod pachę, kiedy dosyć podrośnie, żeby umieć wydawać resztę – powiedział – to Ruby już da sobie jakąś radę. Prawda, staruszek?

Przeciągnął ręką po głowie kobiety, po jej włosach. Siedziała obok niego na pryczy trzymając dziecko na kolanach. Dziecko, jak uśpione narkotykiem owe

i niemowlęta obnoszone przez żebraków po ulicach Pa-I ryża, leżało nieruchomo, z mizerną twarzyczką lekko : połyskującą od wilgoci, z wilgotnym kosmyczkiem włosów na wątlej, poznaczonej żyłami główce, z wąskimi półksiężycami białek widocznymi spod ołowianych powiek.

Kobieta była w sukni z szarej krepy, schludnie wyczyszczonej i umiejętnie wycerowanej ręcznie. Przy każdym szwie biegła równoległa cienka, błyszcząca linia, która dla innych kobiet z odległości nawet stu | jardów na pierwszy rzut oka stanowiłaby łatwy do ' rozpoznania ślad przeróbki. Suknię zdobił przypięty na ramieniu amarantowy klips, z rodzaju tych, jakie za dziesięć centów można kupić w sklepie bądź za zaliczeniem pocztowym; na pryczy leżał szary kapelusz ze schludnie pocerowaną woalką. Benbow nie mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni widział woalki, zanim kobiety przestały je nosić.

Zabrał kobietę do swojego domu. Poszli tam: ona niosąc dziecko, a on butelkę mleka i trochę artykułów spożywczych, konserw. Dziecko wciąż spało.

– Może pani za dużo trzyma je na rękach – powiedział. – A gdybyśmy wzięli do niego niańkę?

Zostawił ją w domu i znów wyszedł na miasto, do telefonu – zatelefonował do siostry, żeby przysłała po niego samochód. Przysłała. Przy kolacji opowiedział siostrze i Pannie Jenny, co się stało.

– Tylko wtrącasz się w nie swoje sprawy – powiedziała siostra z gniewem w głosie i z gniewem na zwykle pogodnej twarzy. – Kiedy zabrałaś innemu człowiekowi żonę i dziecko, uważałam, że to okropność, ale powiedziałam: “Przynajmniej nie będzie miał czoła wrócić tu kiedykolwiek.” I kiedy wyszedłeś z domu po prostu jak pierwszy lepszy czarnuch i rzuciłeś ją, też uważałam, że to okropność, ale za nic bym sobie nie pozwoliła uwierzyć, że ty masz zamiar porzucić ją na dobre. I nawet wtedy, gdy ty absolutnie bez powodu uparłeś się i wyprowadziłeś się stąd, i stworzyłeś dom, i szorowałeś go sam na oczach ca-

łego miasta, żeby tam mieszkać jak jakiś włóczęga zamiast zostać u mnie, chociaż wszyscy by się spodziewali, że będziesz mieszkał tutaj, więc dla wszystkich to jest bardzo dziwne. A teraz rozmyślnie zadajesz się z kobietą, o której sam powiedziałeś, że jest ulicznicą, z kobietą mordercy!

– Nic na to nie poradzę. Ona nie ma nic i nikogo. Chodzi w przerobionej sukni, niemodnej chyba od pięciu lat, i to dziecko tylko na pół żywe, owinięte w kawałek koca sprany już prawie do białości... I nie chce nic od nikogo poza tym, żeby ją zostawić w spokoju, i próbuje coś zrobić ze swojego życia, kiedy wy wszystkie, cieplarniane, cnotliwe kobiety...

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że człowiek, który pędzi alkohol, nie ma pieniędzy, żeby wziąć sobie najlepszego adwokata w kraju? – zapytała Panna Jenny.

– Nie w tym rzecz – powiedział Horace. – On na pewno mógłby mieć lepszego adwokata. Rzecz w tym...

– Horace – powiedziała siostra; patrzyła na niego. – Gdzie jest ta kobieta? – Panna Jenny też na niego patrzyła, wychylona trochę ze swojego fotela na kółkach. – Ulokowałaś tę kobietę w moim domu? – zapytała siostra.

– To jest także i mój dom, kochanie – powiedział.

Nie wiedziała, że on przez dziesięć lat kłamał żonie, nie przyznając się, że nadal jest współwłaścicielem starego domu w Jefferson i że na budowę ozdobionej stiukami willi w Kinston musiał zaciągnąć pożyczkę hipoteczną, od której w tajemnicy przed żoną spłaca procenty, żeby tylko ona nie mogła wynająć tego starego domu obcym.

– Skoro dom stoi pusty i jest to dziecko...

– Dom, w którym moi rodzice i twoi... dom, w którym ja... Nigdy się na to nie zgodzę. Nigdy się na to nie zgodzę!

– Więc na tę jedną noc. Jutro rano przeprowadzę ją do hotelu. Pomyśl o niej, jest sama z tym niemo-

włębem... A gdybyś to była ty z Borym, gdyby to twój mąż został oskarżony o morderstwo i wiedziałabyś, że on nie zamordował...

– Nie chcę myśleć o niej. W ogóle wolałabym nie słyszeć tego wszystkiego. I to mój brat... włączy w takie brudy. Czyż nie widzisz, że zawsze musisz po sobie sprzątać? Nie dlatego, że zostawiasz śmieci; tu chodzi o to, że ty... że... Ale żeby wprowadzić jakąś ulicznicę, morderczynię do domu, w którym ja się urodziłam...

– Bzdurzysz – powiedziała Panna Jenny. – Ale, Horace, czy to przypadkiem nie jest tak zwana przez adwokatów zmowa? Przystępne porozumienie? – Horace spojrzał na Pannę Jenny. – Wydaje mi się, że już miałeś z tymi ludźmi do czynienia trochę więcej, niż powinien mieć adwokat występujący w procesie. Niedawno sam byłeś tam, gdzie to się stało. Ludzie mogliby myśleć, że wiesz o tym więcej, niż mówisz.

– Tak jest, profesorze Blackstone – powiedział Horace. – Zadaję sobie czasem pytanie, dlaczego nie wzbogaciłem się na praktyce sądowniczej. Może jednak się wzbogacę, kiedy będę dostatecznie stary, żeby przejść taką szkołę prawa, jaką pani przeszła.

– Ja na twoim miejscu – powiedziała Panna Jenny – pojechałabym teraz z powrotem do miasta i dziś jeszcze przeniosła ją do hotelu. Nie jest późno.

– I pojechałabym z powrotem do Kinston i nosa bym stamtąd nie wychylała, dopóki ta sprawa się nie skończy – powiedziała Narcissa. – Nie twój świat, ci ludzie. Musisz to robić?

– Nie mogę stać z założonymi rękami i patrzeć, jak niesprawiedliwość...

– Nigdy nie dogonisz niesprawiedliwości, Horace – powiedziała Panna Jenny.

- No to przynajmniej dogonię tę ironię losu.
- Hm – powiedziała Panna Jenny – a wszystko chyba dlatego, że ona jest jedyną kobietą, jaką znasz, która nic nie wie o tych krewetkach.
- W każdym razie – stwierdził Horace – jak zwykle mówię za dużo, więc muszę polegać na twojej dyskre...
- Bzdura – zachnęła się Panna Jenny. – Sądzisz, że Narcissa by chciała zdradzić komukolwiek, że ktoś z jej rodziny mógłby znać ludzi, którzy robią coś tak naturalnego jak to, że śpiąją ze sobą czy rabują, czy kradną?

Narcissa rzeczywiście była taka. W ciągu całych czterech dni drogi z Kinston do Jefferson Benbow liczył na tę jej hermetyczną obojętność. Nie przypuszczał, żeby ona – czy jakakolwiek inna kobieta – potrafiła zbytnio przejmować się mężczyzną, którego ani nie poślubiła, ani nie urodziła, skoro już ma jednego, którego urodziła po to, by o niego dbać i nim się denerwować. Ale liczył na jej szczególną obojętność, ponieważ przez pełnych trzydzieści sześć lat jej życia właściwie nic do niej nie docierało.

Przyjechał do miasta, do domu i w jednym pokoju paliło się światło; poszedł tam po podłogach, które sam wyszorował, zgodnie ze swoim przewidywaniem posługując się szczotką do szorowania nie lepiej, niż posługiwał się młotkiem przed dziesięciu laty, gdy zabijał okna i okiennice – przecież nigdy nie zdołał się nauczyć bodaj prowadzenia samochodu. Ale to było dziesięć lat temu i już nie tym dawnym, zagubionym młotkiem, tylko nowym powybił niezdarne wbite gwoździe, i teraz okna były otwarte nad wyszorowanymi połaciami podłóg, nieruchomymi jak stojące stawy wśród upiornych szuwarów mebli w pokrowcach.

Kobieta jeszcze nie położyła się spać – zupełnie ubrana, zdjęła tylko kapelusz z głowy. Kapelusz leżał na łóżku, gdzie spało dziecko. Leżąc tam przy sobie dziecko i kapelusz nadawały całemu pokojowi cechę jakiejś tymczasowości dobitniej niż prowizoryczne światło i paradoksalność przytulnej pościeli w tym mieszkaniu przesyconym stęchlizną długoletniego zamknięcia. Jak gdyby kobiecość była prądem prze-

biegającym przez drut, na którym wiszą rzędem identyczne żarówki.

- Mam trochę rzeczy w kuchni – powiedziała kobieta. – Zaraz wrócę.

Dziecko leżało na łóżku pod nie osłoniętym światłem i Benbow zastanawiał się, dlaczego kobiety opuszczając dom zdejmują z wszystkich lamp abażury, nawet wtedy gdy

poza tym nie dotykają niczego; patrzył na dziecko, na te nie domknięte sinawe powieki z nikłymi półksiężycami sinawych białek, na ołowiane policzki i wilgotny cień włosów okrywających ciemię, na podniesione, też spocone piąstki – patrzył i myślał: “Dobry Boże! Dobry Boże!”

Przypominał sobie, jak po raz pierwszy zobaczył to dziecko w drewnianej skrzynce za piecem kuchennym w ruinie domu odległej o dwanaście mil od miasteczka; i przypominał sobie czarną obecność Wytrzeszcza, która leżała tam na domu jak cień czegoś nie większego od zapalki, padający potwornie i złowrogo na rzecz skądinąd dobrze znaną i codziennego użytku, dwadzieścia razy od zapalki większą; i myślał o nich obojgu – o sobie i o kobiecie – w blasku popękanej, zakopconej lampy, stojącej wśród czystych, spartańskich naczyń na stole w kuchni, i o Goodwinie, i o Wytrzeszczu gdzieś na zewnątrz w mroku pełnym spokoju żab i owadów, a przecież pełnym też obecności Wytrzeszcza, czarnej, nieokreślenie groźnej. Kobieta wyciągnęła wtedy skrzynkę zza pieca i stała nad nią, z rękami znów ukrytymi w fałdach swego luźnego łacha.

– Muszę go trzymać w tej skrzynce, żeby nie dostały się do niego szczury – wyjaśniła.

– Aha – powiedział on. – Pani ma syna.

A potem pokazała mu ręce, wyciągając je żywiłowo i niepewnie, z zażenowaniem i z dumą, i powiedziała, że mógłby jej przysłać kopytko do paznokci.

Wróciła teraz z czymś opakowanym dyskretnie w gazetę. Wiedział, że to jest świeżo uprana pieluszka, zanim zdążyła powiedzieć:

– Rozpaliłam ogień pod kuchnią. Nadużyłam chyba pana uprzejmości.

– Ależ skąd – powiedział. – To jest tylko kwestia ostrożności prawniczej, pani rozumie – tłumaczył jej. – Lepiej narazić wszystkich na małą chwilową niewygodę niż zaszkodzić naszej sprawie.

Zdawała się nie słuchać. Rozłożyła na łóżku koc i przeniosła dziecko.

– Pani rozumie, jak to jest – powiedział. – Gdyby sędzia zaczął podejrzewać, że ja wiedziałem więcej, niż wynika z tych faktów... to znaczy, musimy starać się, żeby wszyscy uznali, że trzymanie Lee w więzieniu za to zabójstwo jest po prostu...

– Pan mieszka w Jefferson? – zapytała owijając dziecko kocem.

– Nie, w Kinston. Mieszkałem w Kinston... Praktykowałem jednak tutaj.

– Ale ma pan tu rodzinę. Kobiety. Mieszkały w tym domu. – Podniosła

dziecko, podsunęła podbródkiem otulający je koc; po czym spojrzała na niego. – W porządku. Ja wiem, jak to jest. Pan ma dobre serce.

– Niech to diabli! – powiedział. – Czy pani myśli... No, jedziemy do hotelu. Wyśpi się pani porządnie, a ja tam przyjdę jutro z samego rana. Proszę, ja go wezmę.

– Przecież już go trzymam – powiedziała. Spokojnie przez chwilę patrząc na niego chciała

powiedzieć coś jeszcze, ale rozmyśliła się i poszła. Zgasił światło, wyszedł za nią, zamknął drzwi na klucz. Czekwała w samochodzie, wsiadł.

– Do hotelu, Isom – polecił szoferowi. – Nigdy jakoś nie nauczyłem się prowadzić samochodu. Nieraz myślę o tych wielu latach, które zmarnowałem nie ucząc się niczego...

Ulica była wąska, cicha. Teraz wybrukowana, chociaż pamiętał czasy, gdy po deszczu zamieniała się w kanał prawie czarnej substancji, na pół ziemi, na pół wody, i szemrały głośno rynsztoki, po których

on z Narcissą podkasani, z obłoconymi tyłkami brodzili, chlapiąc w pogoni za nieporadnie z kory wystruganą łódką, albo udeptywali i udeptywali błoto, zapamiętali i napięci jak alchemicy. Pamiętał czasy, gdy z obu stron jezdni, nie pokalanej betonem, biegły chodniki z czerwonej cegły, ułożonej bez fantazji, chociaż nierówno, ale z biegiem lat tak skruszałej i tak białej w niedostępnej dla południowego słońca czarną ziemię, że tworzyły kasztanową mozaikę, przypadkowo wspinałą; teraz był już beton, na którym przy podjeździe pozostały jeszcze odciski bosych stóp jego i siostry.

Latarnie uliczne, dosyć dalekie jedna od drugiej, zagęściły się na rogu ulicy pod arkadami stacji benzynowej. Kobieta raptownie pochyliła się do przodu.

– Tu proszę zatrzymać – powiedziała. Isom zahamował.

– Wsiądę tu i dojdę pieszo – powiedziała.

– Wykluczone – powiedział Horace. – Jedź, Isom.

– Nie, zaraz – powiedziała kobieta. – Będziemy mijać ludzi, którzy pana znają. A potem na rynku...

– Nonsens – powiedział Horace. – Jedź, Isom.

– No to niech pan wsiądzie i zaczeka. On może od razu tu wrócić po pana.

– Nie robi mi pani tego – powiedział Horace. – Na Boga... Jedź, Isom!

– Lepiej niech pan wsiądzie – powiedziała. Oparła się o poduszkę

siedzenia, po czym pochyliła się znowu. – Niech pan posłucha. Pan ma dobre serce. Chce pan jak najlepiej, ale...

– Sądzi pani, że za mało we mnie z adwokata. O to chodzi?

– Myślę, że spotkało mnie to, co miało spotkać. Walczyć z tym nie zda się na nic.

– Oczywiście, jeżeli tak to pani odczuwa. Ale wiem, że nie. Bo gdyby tak było, kazałaby pani Isomowi odwieźć się na stację, prawda?

Patrzyła na dziecko, otulając mu kocem twarzyczkę.

– Wyśpi się pani porządnie, a ja przyjadę jutro rano.

Przejeżdżali koło więzienia, kwadratowego budynku ostro pociętego bladymi szparami światła. Tylko środkowe okno z cienką kratą było dość szerokie, żeby można je było nazwać oknem. Tam stał Murzyn morderca; na dole wzdłuż ogrodzenia sterczał rząd głów w kapeluszach i bez kapeluszy nad zgrubiałymi od pracy barkami, i stopione w chórze głosy głębokie, wezbrane smutkiem płynęły w łagodny, bezdenny wieczór, śpiewając o niebiosach i o zmęczeniu.

– No, niech się pani wcale nie martwi. Każdy wie, że Lee tego nie zrobił.

Podjechali pod hotel, gdzie na krzesłach przy krawężniku siedzieli i słuchali śpiewu czarnych akwizytorzy.

– Muszę... – powiedziała kobieta.

Horace wysiadł, przytrzymał dla niej otwarte drzwiczki. Nie poruszyła się.

– Niech pan posłucha, muszę panu powiedzieć...

– Tak. – Wyciągnął rękę. – Wiem. Przyjdę jutro rano.

Pomógł jej wysiąść. Minęli akwizytorów, odwracających się za nimi, patrzących na jej nogi i w hallu hotelowym podeszli do kontuaru. Śpiew przenikał przyćmiony przez mury i światła.

Z dzieckiem na ręku kobieta czekała spokojnie, dopóki Horace nie załatwił formalności.

– Niech pan posłucha – powiedziała. Portier z kluczem podchodził już do schodów. Horace wziął ją za rękę i odwrócił w tamtą stronę. – Muszę panu coś powiedzieć – powtórzyła.

– Jutro rano – rzekł. – Przyjdę wcześniej. – I poprowadził ją do schodów.

Wciąż jeszcze zwlekała patrząc na niego. Wyzwo-liła rękę, odwróciła się i stanęła przed nim.

– Więc dobrze – powiedziała cicho, rzeczowo, z twarzą lekko pochyloną nad dzieckiem. – My nie mamy pieniędzy. Mówię to panu teraz. Za tę ostatnią partię whisky Wytrzeszcz nie...

– Tak, tak – przerwał jej. – Z samego rana. Przyjdę, zanim pani skończy jeść śniadanie. Dobranoc.

Wrócił do samochodu w rozbrzmiewający śpiew.

– Do domu, Isom – powiedział.

Zakręcili i znów przejeżdżali obok więzienia, w którym ten człowiek opierał się o kraty okna ponad głowami sterczącymi wzdłuż ogrodzenia. Na 'okratowa-nej, pociętej szparami światła ścianie trząsał się, tętnił potwornie, chociaż wiatru prawie nie było, rozmazany cień drzewa azjatyckiego; bogaty i smutny ucichł za nimi śpiew. Samochód sunął gładko i szybko, mijając wylot wąskiej uliczki.

– Tutaj – powiedział Horace. – Dokąd ty?... Isom nacisnął hamulec.

– Pani Narcissa kazała przywieźć pana do domu – powiedział.

– Och, naprawdę? – zapytał Horace. – To bardzo uprzejmie z jej strony. Możesz jej powiedzieć, że ja to zmieniłem.

Isom cofnął samochód i skręcił w wąską uliczkę, a potem w aleję wjazdową, tunel nie strzyżonych cedrów, gdzie światła reflektorów wznosiły się i wierciły drogę przed sobą jak w najgłębszej ciemności morza, jak w rozbiegającym się tłumie dziwnych sztywnych postaci, którym nawet światło nie mogło nadać barwy. Samochód zatrzymał się przed drzwiami domu, Horace wysiadł.

– I może byś jej powiedział, Isom, że nie do niej uciekłem. Zapamiętasz to?

XVII

Ostatnie kwiaty w kształcie trąbek spadły już z drzewa azjatyckiego w rogu więziennego dziedzińca.

Leżały gęsto, lepiły się do podeszew, biły w nozdrza słodką, aż za słodką wonią – jakąś słodyczą przesy-tliwą, dogorywającą, a wieczorem poszarpany cień teraz już w pełni rozwiniętych liści tętnił i falował strzępiasto na zakratowanym oknie. To było okno celi ogólnej, o ścianach bielonych wapnem, całych w plamach od brudnych rąk, w deseń z imion, nazwisk i dat, i bluźnierczych bądź sprośnych wierszydeł na-bazgranych ołówkiem, wydrapanych gwoździem czy nożem. Co wieczór opierał się w tym oknie Murzyn morderca, z twarzą poprzekreślaną cieniem krat pośród niespokojnych, rozchylających się coraz to inaczej liści, i śpiewali chórem: on i ci, którzy stali wzdłuż ogrodzenia na dole.

"

Czasami w ciągu dnia też śpiewał, ale sam; i tylko zwalniali kroku przechodnie, słuchali obdarci chłopcy i mężczyźni z warsztatu samochodowego naprzeciwko.

– Jeszcze jeden dzień! Ni ma miejsca dla ciebie w niebiesiech! Ni ma miejsca dla ciebie w piekle! Ni ma miejsca dla ciebie we więzieniu białych! Murzynie, gdzie ty pójdziesz? Gdzie ty pójdziesz, Murzynie?

Co dzień rano Isom przywoził butelkę mleka i Horace dawał to mleko kobiecie w hotelu dla dziecka. W niedzielę po południu pojechał do siostry. Zostawił kobietę w celi Goodwina siedzącą na pryczy, trzymającą dziecko na kolanach. Dziecko, które z powiekami przymkniętymi nad cieniutkimi półksiężycami białek leżało dotychczas bezwładnie i sprawiało wrażenie uspiętego narkotykiem, tego dnia poruszało się od czasu do czasu jak martwa żaba wstrząsana prądem elektrycznym i kwiliło.

Poszedł na górę do pokoju Panny Jenny. Siostra się nie pokazała.

– On odmawia zeznań – powiedział Horace. – Mówi tylko, że będą musieli dowieść, że to on. I że nie mogą zarzucić mu więcej niż jego dziecku. Nawet by nie wziął pod uwagę zwolnienia za kaucją, gdyby mógł je uzyskać. Mówi, że lepiej mu w więzieniu. I chyba ma rację. Jego interes tam i tak już się skończył,

choćby nawet szeryf nie znalazł tych kociołków i nie zniszczył...

– Kociołków?

– Jego alembiku. Kiedy się poddał, szukali długo, dopóki nie znaleźli. Wiedzieli, co on robi, ale czekali z tym, aż mu się noga powinie. I teraz wszyscy na niego skoczyli. Dobrzy klienci, którzy kupowali u niego whisky i kiedy ich częstował, pili za darmo, i może jeszcze próbowali za jego plecami zalecać się do jego żony! Gdyby pani mogła usłyszeć, co gadają teraz na mieście! Dziś rano pastor baptystów obrał go sobie za temat kazania. Nie tylko jako mordercę, ale i cudzołózcę. Kalającego powietrze, to wolnomyślne demokratyczno-protestanckie powietrze hrabstwa Yoknapatawpha. O ile mi wiadomo, mile by widział spalenie Goodwina i jego żony na stosie, co byłoby należytym przykładem dla ich dziecka; a dziecko ma się wychowywać i uczyć angielskiego tylko po to, by pojąć, że zostało spłodzone w grzechu przez dwoje ludzi, którzy słusznie zginęli na stosie "właśnie dlatego, że je spłodzili. Dobry Boże, czy człowiek, cywilizowany człowiek, może poważnie...

– To tylko baptyści – powiedziała Panna Jenny. – Jak z pieniędzmi?

– Miał trochę, niecałe sto sześćdziesiąt dolarów. W puszcze zakopanej w stajni. Pozwolili mu wykopać. "Chyba jej wystarczy na utrzymanie – powiedział – dopóki to się nie skończy. A potem się stąd wyniesiemy. Już od dawna mieliśmy ten zamiar. Gdybym posłuchał jej, już by nas tu nie było. Dobra z ciebie dziewczyna" – powiedział. Ona z dzieckiem siedziała przy nim na pryczy, ujął ją za podbródek i potrząsnął lekko jej głową.

– Dobrze przynajmniej, że wśród przysięgłych nie będzie Narcissy – powiedziała Panna Jenny.

– Tak, ale głupi Goodwin nie pozwoli mi nawet słówkiem napomknąć, że ten zbir był tam kiedykolwiek. Powiedział: "Oni niczego nie mogą mi dowieść. Bywałem już w tarapatach. Każdy, kto mnie choć trochę zna, wie, że ja bym nie skrzywdził półgłówka." Ale to nie dlatego on nie chce, żeby mówić o tym oprychu. I wiedział, że ja wiem, że to nie dlatego, bo wciąż powtarzał, kiedy tak siedział tam w tym swoim kombinezonie i z kapciuchem w zębach i skręcał papierosy: "Po prostu przeczekam tutaj tę burzę. Tu mi lepiej; tak czy owak, na wolności jakoś nie umiem sobie radzić. A jej wystarczy na utrzymanie i może coś z tego jeszcze zostanie dla pana, dopóki panu Więcej nie będziemy mogli zapłacić." Ale ja czytałem w jego myślach. "Nie wiedziałem, że pan jest tchórzem" – spróbowałem mu powiedzieć. A on mi na to: "Niech pan zrobi, jak mówię. Mnie tu

dobrze." Tylko że on... – Horace siedział pochylony, wolno rozcierając ręce. – On nie zdaje sobie sprawy... Niech to diabli, mówcie sobie, co chcecie, ale już w samym patrzeniu na zło, choćby przypadkowym, tkwi jakaś sprzedajność; nie można kupczyć, frymarczyć zgnilizną. Zauważyła pani, jak Narcissa, odkąd tylko usłyszała o tym... jaka jest niespokojna i podejrzliwa. Wydawało mi się, że wróciłem tutaj z wolnej i nie-przymuszonej woli, ale teraz widzę, że... Czyżby ona sobie myślała, że ja tę kobietę sprowadzam do domu na noc, czy coś w tym rodzaju?

– Sama tak myślałam z początku – powiedziała Panna Jenny. – Ale teraz sędzę, że ta kobieta zorientowała się, że ty w każdym razie będziesz z jakichś swoich własnych powodów dokładał większych starań, niż byś to robił nawet za najwyższe honorarium, jakie ktokolwiek mógłby ci zaproponować czy dać.

– Chce pani przez to powiedzieć, że ona specjalnie mówiła mi, że oni nie mają pieniędzy, kiedy...

– A czemu by nie? Czy nie dobrze zajmujesz się tą sprawą bezpłatnie?

Weszła Narcissa.

– Właśnie rozmawialiśmy o morderstwach i przestępstwach – powiedziała Panna Jenny.

– Mam nadzieję, że już te rozmowę skończyliście – wycedziła Narcissa Nie usiadła.

– Narcissa też ma swoje zmartwienia – powiedziała Panna Jenny. – Prawda, Narcisso?

– Co tam znowu? – zapytał Horace. – Chyba nie poznała po oddechu Bory'ego, że pił alkohol?

– Została na lodzie. Adorator ją porzucił.

– Niemądra jest Panna Jenny! – zachnęła się Narcissa.

– Tak, proszę ja łaski pana – ciągnęła Panna Jenny. – Go wan Stevens puścił ją kantem. Nawet nie wrócił z tego balu w Oxford, żeby się z nią pożegnać. Tylko napisał list. – Zaczęła szukać koło siebie w fotelu. – I teraz wzdrygam się przy każdym dzwonku, bo myślę, że to jego matka...

– Panno Jenny – powiedziała Narcissa – ja poproszę o mój list.

– Zaczekaj – powiedziała Panna Jenny. – Jest. No, Horace, co powiesz o takiej listownej delikatnej operacji dokonanej bez znieczulenia na ludzkim sercu? Zaczynam

wierzyć w to wszystko, co słyszę o dzisiejszej młodzieży, która uczy się pewnych rzeczy, żeby wstąpić w związki małżeńskie, kiedy myśmy wstępowali w związki małżeńskie właśnie, żeby się tych rzeczy nauczyć.

Horace wziął z rąk Panny Jenny arkusz papieru.

“Narcisso moja kochana.

Nie podaję miejscowości, z której piszę. Wolałbym również nie podawać daty. Ale gdybym serce miał tak wyprane z uczuć jak ta kartka, list wcale nie byłby konieczny. Nigdy już nie zobaczę Ciebie. Trudno mi pisać, bo przeżyłem coś, o czym nie mogę myśleć spokojnie. W tej ciemnej otchłani widzę tylko jeden jedyny słaby promyk, którym jest świadomość, że swoim, szaleństwem nie zrobiłem krzywdy nikomu poza samym sobą i że o rozmiarach tego szaleństwa

ty nie dowiesz się nigdy. Nie potrzebuję dodawać, że nadzieja, iż nie dowiesz się nigdy, jest jedyną przyczyną, dla której już Ciebie nie zobaczę. Myśl o mnie tak dobrze, jak możesz. Pragnąłbym mieć prawo powiedzieć: Jeżeli dowiesz się o moim szaleństwie, nie miej mi go za złe.

G.”

Horace przeczytał to, tę jedną stronicę. Trzymał ją w obu rękach. Odezwał się nie od razu.

– Dobry Boże – powiedział. – Ktoś pomylił się na parkiecie i wziął go za Missisipijczyka.

– Ja będąc na twoim miejscu chyba bym... – zaczęła Narcissa.

Po chwili zapytała:

– Jak długo jeszcze to się będzie ciągnęło, Horace?

– Nie dłużej, niż trzeba. Jeżeli znasz jakiś sposób, żebyśmy mogli go już jutro wydostać z więzienia...

– Jest tylko jeden sposób – powiedziała. Patrzyła na niego dosyć długo. Potem odwróciła się ku drzwiom. – Dokąd poszedł Bory? Zaraz będzie obiad.

Wyszła z pokoju.

– I ty wiesz, jaki to sposób – powiedziała Panna Jenny – jeżeli nie masz kręgosłupa.

– Będę wiedział, czy mam kręgosłup, czy nie mam, kiedy mi pani powie, jaki jest

inny sposób.

– Wracaj do Belle – powiedziała Panna Jenny. – Wracaj do domu.

Murzyn morderca miał zostać powieszony bez ostentacji w sobotę i pochowany bez obrzędów pogrzebowych. Przez jedną noc mógł przy zakratowanym oknie jeszcze śpiewać i wrzeszczeć w łagodny, gwiazdzisty nocny mrok majowy; już nazajutrz miał stamtąd odejść, pozostawić okno Goodwinowi. Sprawę Goodwina wyznaczono na sesję czerwcową i mowy nie było o zwolnieniu go do tego czasu za kaucją.

Ale Goodwin wciąż się nie zgadzał, żeby Horace ujawnił obecność Wytrzeszcza na miejscu zbrodni.

– Mówię panu, niczego nie mogą mi dowieść – powiedział Goodwin.

– Skąd pan wie, że nie mogą? – zapytał Horace.

– No, cokolwiek im się zdaje, że mają przeciwko anie, w sądzie przecież jest szansa na uniewinnienie. Ale niechby tylko doszło do Memphis, że powiedziałem, że on kręcił się gdzieś w tych okolicach, jaka szansa, według pana, byłaby na to, że po złożeniu zeznań w ogóle wrócę do celi?

– Ma pan za sobą prawo, sprawiedliwość, cywilizację.

– Z pewnością, gdybym już do końca życia nie ruszył się z tego tu kąta. Niech pan zobaczy – poprowadził Horace'a do okna. – Jest pięć okien w tym tam hotelu na wprost tego okna. A ja widziałem, jak on z odległości dwudziestu stóp strzałem z pistoletu zapala zapalniczkę. Nie, do cholery, w dniu złożenia takich zeznań już bym tu nie wrócił z sali sądowej.

– Ale to jest hamowanie biegu sprawiedli...

– Hamowanie, cholera. Niech dowiodą, że ja to zrobiłem. Znaleźli Tommy'ego w stajni, z kulą w tyle głowy. Niech znajdą ten pistolet. Byłem tam, czekałem na nich. Nie próbowałem uciekać. Mogłem uciec, a nie uciekłem. Sami zawiadomiliśmy szeryfa. Pewnie, że fakt, że nie było tam ze mną nikogo oprócz niej i taty, wyglądał niedobrze. Gdyby to miało być kręctwo, czy rozsądek nie mówi panu, że wymyśliłbym coś lepszego?

– Ale nie rozsądek będzie rozpatrywał pana sprawę – powiedział Horace. – Będzie ją rozpatrywała

ława przysięgłych.

– Niech więc sobie przysięgli radzą, jak potrafią lajlepiej. Nic więcej się nie

dowiedzą. Trup w stajni, nie ruszony. Ja i moja żona, i dziecko, i tata w domu;

domu też nic nie ruszone. I sam zawiadomiłem sze-ryfa. Nie, nie, ja wiem, że w ten sposób mam jakąś szansę, ale wystarczy, żebym puścił parę z ust o tym

facecie, i wszelka szansa przypadnie. Wiem, co mnie czeka.

– Ale pan słyszał strzał – powiedział Horace. – Już pan to mówił.

– Nie – powiedział Goodwin. – Nie słyszałem, nic nie słyszałem. Nie wiem, co mówiłem... Czy mógłby pan poczekać minutą na korytarzu, bo chciałbym porozmawiać z Ruby?

Upłynęło pięć minut, zanim kobieta wyszła z celi. Horace powiedział:

– Jest tu coś, czego jeszcze nie wiem, czego mi nie mówiliście, ani pani, ani Lee; on panią teraz ostrzegł, żeby mi pani dalej tego nie mówiła. Prawda?

Szła obok niego z dzieckiem na rękę. Dziecko kwiliło od czasu do czasu i wątlm ciałkiem podrzucały nagle drgawki. Starła się je uspokoić, nucąc, kołyszając je w ramionach.

– Może za dużo go pani nosi – powiedział. – Może, gdyby mogła pani zostawić go w hotelu...

– Myślą, że Lee wie, co robi – oświadczyła.

– Ale adwokat powinien wiedzieć o wszystkim, co zaszło, o wszystkim. To właśnie adwokat decyduje, co mówić, a czego nie mówić. W przeciwnym razie po co mieć adwokata? Zupełnie, jakby się zapłaciło dentyście za wprawienie zębów, a potem nie dało mu się zajrzeć do ust, czy pani tego nie rozumie? Dentysty, lekarza tak by pani nie potraktowała.

Nie odpowiedziała mu, wciąż jeszcze pochylając głowę nad dzieckiem. Dziecko płakało.

– Cicho – szepnęła – no, już cicho.

– A co gorsze, to jest tak zwane w języku prawnym hamowanie biegu sprawiedliwości. Powiedzmy, on przysięga, że tam nikogo innego nie było, powiedzmy, już ma zostać uniewinniony... rzecz zresztą w takim wypadku mało prawdopodobna... i nagle zjawia się ktoś, kto w okolicy miejsca zbrodni widział Wytrzeszcza, czy też widział jego odjeżdżający samochód. Wtedy orzekną: “Jeżeli Lee nie zeznał prawdy w sprawie nieważnej, trudno wierzyć w to, co mówi, kiedy chodzi o jego głowę.”

Doszli do hotelu. Otworzył przed nią drzwi. Nie spojrzała na niego.

– Myślę, że Lee wie najlepiej – powiedziała wchodząc.

Dziecko zanosilo się cienkim, rozpaczliwym skomleniem.

– Cicho – szepnęła. – Ciii...

Isom najpierw pojechał po Narcisse, która była na jakimś przyjęciu; dopiero pod wieczór samochód siostry zatrzymał się na rogu i zabrał Horace'a. Gdzieś już zapalono światła i ludzie po kolacji szli w stronę placu, ale na to, by Murzyn morderca zaczął śpiewać, było jeszcze za wcześnie.

– Powinien jednak się z tym śpiewaniem pośpieszyć – zauważył Horace. – Ma przed sobą tylko dwa dni.

Ale Murzyn jeszcze nie śpiewał w oknie. Fasada więzienia była od strony zachodu; ostatni słaby miedziany blask padał na brudne zakratowane okno i na małą, bladą plamę ręki opartej o pręt; w prawie nieruchome powietrze uleciał stamtąd niebieski dymek papierosa, rozwiewając się strzępiasto, powoli.

– Jak gdyby nie dosyć, że jej mąż tam siedzi, jeszcze ten biedny bydlak liczy na cały głos, ile oddechów mu zostało do końca życia...

– Może poczekają i powieszą ich obu razem – powiedziała Narcissa. – Czasami tak robią, prawda?

W ten wieczór, chociaż wcale nie chłodny, Horace rozpałił w kominku mały ogień. Używał teraz tylko tego jednego pokoju i jadał w hotelu, reszta domu znów była zamknięta. Spróbował czytać, ale zrezygnował i rozebrał się – leżąc w łóżku patrzył, jak ogień dogasa. Aż na miejskim zegarze wybiła dwunasta.

– Kiedy to się skończy – powiedział – wyjadę chyba do Europy. Potrzebna mi jakaś zmiana. Albo ja, albo Missisipi, jedno z dwojga.

Może kilku z nich jeszcze stoi wzdłuż ogrodzenia, skoro to jego ostatnia noc; może on śpiewa jeszcze, gruby, z małą głową jak goryl, i na jego cieniu, na pokratkowanym otworze okna tętni wciąż zmienna, poszarpana rozpacz drzewa azjatyckiego, gdy wokół w lepkich plamach leżą ostatnie kwiaty w kształcie trąbek. Horace znów odwrócił się na łóżku.

– Powinni zmieść ten cholerny bałagan z chodnika – powiedział. – Cholera! Cholera! Cholera!

Zasnął rankiem, po wschodzie słońca. Zbudziło go stukanie do drzwi. Było pół do siódmej. Podszedł do drzwi. To przyszedł Murzyn, portier z hotelu.

- Co? – zapytał Horace. – Od pani Goodwin?
- Ona prosi pana do siebie, jak pan wstanie – powiedział Murzyn.
- Będę za dziesięć minut.

Wchodząc do hotelu Horace minął jakiegoś młodego człowieka z małą czarną walizką w rodzaju tych, jakie noszą zazwyczaj lekarze. Wszedł na górę. Kobieta stała w na pół otwartych drzwiach swojego pokoju.

– W końcu doczekałam się doktora – powiedziała. – Ale chciałam w każdym razie...

Dziecko leżało na łóżku, zarumienione niezdrowo i spocone; z piąstkami nad główką jak ukrzyżowane, oczy miało zamknięte, oddech krótki, świszczący.

– Chorował przez całą noc. Poszłam i dostałam jakieś lekarstwo, i próbowałam go uspokajać aż do świtu. Wreszcie doczekałam się doktora.

Stała przy łóżku patrząc na dziecko.

– Tam była kobieta – powiedziała – młoda dziewczyna.

– Mło... – powiedział Horace. – Och! – powiedział. – Tak. Lepiej niech mi pani o tym opowie.

XVIII

Wytrzeszcz jechał gliniastą drogą i po piachu z szybkością dużą, ale nie mającą w sobie nic z pośpiechu czy ucieczki. Przy Wytrzeszcza siedziała Tempie, Włosy splątanymi kłakami opadały jej spod wygniecionego, wciśniętego na tył głowy kapelusza. Z twarzą lunatyczki kiwała się bezwładnie z boku na bok w rozchybotanym samochodzie. Odruchowo podniosła rękę, za słabo jednak, i zarzuciło ją na Wytrzeszcza. Nie odrywając dłoni od kierownicy odepchnął ją łokciem.

– Weź się w garść – powiedział. – Ale już! Zanim dojechali do zwalonego drzewa, minęli kobietę. Z dzieckiem na rękę stała przy drodze, rąbkiem podniesionej spódnicy osłaniała jego twarzyczkę spod swego wypłowiałego, staromodnego czepka patrzyła na nich spokojnie, bez żadnego ruchu czy znaku, przelatując jednym śmignięciem przez pole widzenia Tempie.

Gdy dojechali do zwalonego w poprzek drogi drzewa, Wytrzeszcz zboczył gwałtownie i nie zwalniając ani trochę, przejechał po podszyciu i przechyłonym do ziemi wierzchołku drzewa, po czym tak samo gwałtownie wprowadził samochód na drogę z powrotem, przy trzaskaniu trzcin brzmącym jak ogień karabinowy wzdłuż okopu. Obok zwalonego drzewa leżał przewrócony na bok samochód Gowana. Też jednym śmignięciem przeleciał do tyłu przed otepiałym wzrokiem Tempie.

Wytrzeszcz gwałtownie znów wprowadził samochód w piaszczyste koleiny. A przecież w tej gwałtowności nie było popłochu, tylko jakieś gadzinowate rozdrażnienie, nic więcej. To był potężny samochód. Nawet po piachu wyciągał czterdzieści mil na godzinę, nie zwalniając też i w wąskim parowie przed wjazdem na szosę, gdzie Wytrzeszcz skręcił na północ. Tempie siedziała u boku Wytrzeszcza napięta, przygotowana na wstrząsy, chociaż jechali już po gładkim, coraz głośniejszym syczącym żwirze, i tępo patrzyła, jak szosa, którą jechała poprzedniego dnia, zaczyna uciekać pod kołami do tyłu, zdawałoby się nawijana na jakąś

wielką szpulę, i czuła powolne między lędźwiami sączenie się krwi. Siedziała bezwładna w kącie siedzenia i patrzyła, jak ziemia pędzi do tyłu miarowo, jak w otwartych nagle perspektywach wyrastają sosny zbryzgane zwiędłym kwieciami dereni;

patrzyła na sitowie, na pola zielone od młodej bawełny, bezludne i spokojne, jak gdyby dzień świąteczny był cechą powietrza, światła i cienia – siedziała z nogami zsuniętymi, zasłuchana w drobne, gorące sączenie się krwi i powtarzała tępo:

– Ja jeszcze krwawię. Ja jeszcze krwawię.

Pogoda była ładna, beztrosko słoneczne przedpołudnie pełne owej niewiarygodnej, miękkiej promienności maja, bogate w obietnicę południa i upału, z wysokimi obłokami, które sunęły tłuste jak plaśnięcia bitej śmietany i lekkie jak odbicia w lustrze, rzucając na szosę łagodne cienie. Wiosna nadeszła wcześniej w tym roku. Białe kwitnące drzewa owocowe miały już małe listki, zanim zaczęły kwitnąć, nie osiągnęły więc owej wspaniałej bieli, w jaką je przystroiła zeszłoroczna wiosna. Również dereń rozkwitł po rozwinięciu się liści i zamiast przesłaniać swoją zieleń coraz bujniejszym kwieciami, przesłaniał swoje kwiecie coraz bujniejszą zielenią. Ale bzy i glicynia, i drzewa judaszowe, a nawet nędzne drzewa azjatyckie chyba nigdy nie wyglądały piękniej, jasne, bijące ciepłą wonią daleko na sto jardów w balsamicznym powietrzu kwietnia i maja. Kwiaty pnączy bougainvillei przy werandach były wielkie jak piłki do koszykówki i chwiały się jak balony, i nagle Tempie, patrząc pustymi, oziębiałymi oczami na wsteczny pęd tych przydrożnych widoków, zaczęła krzyczeć.

Zrazu zawodziła coraz głośniej i głośniej, aż to przeszło w krzyk, przecięty raptownie ręką Wytrzeszcza. Siedziała prosto, z rękami na kolanach i krzyczała; czuła cierpki smak jego chropowatych palców, czuła, jak potajemnie sączy się ta krew, gdy samochód z piskiem opon na żwirze zjechał na pobocze i stanął.

Wytrzeszcz pochwycił ją za kark, a ona znieruchomiała, z ustami otwartymi jak okrągła, mała pusta jama. Potrząsnął jej głową.

– Zamknij się – powiedział. – Zamknij się. – Zatkaną jej usta. – Popatrz na siebie. Masz.

Drugą ręką nastawił lusterko przy przedniej szybie i wtedy zobaczyła swoją twarz, przekrzywiony kapelusz, skołtunione włosy, okrągłe rozdziawione usta. Jeszcze patrząc w lusterko zaczęła szukać czegoś w kieszeniach płaszcza. Puścił ją. Wyciągnęła puder- niczkę i otworzyła, popłakując cicho. Upudrowała się, |. umalowała usta i poprawiła kapelusz, popłakując w maleńkie lusterko puderniczki, którą położyła sobie na kolanach. Wytrzeszcz przyglądał się jej. Zapalił papierosa.

– Jak ci nie wstyd – powiedział.

– Jeszcze leci – kwiliła. – Czuję, że leci.

Z pomadką do ust w podniesionej ręce spojrzała na niego i znów otworzyła usta.

Pochwycił ją za kark.

– Przestań! Zamkniesz ty się?

– Tak – zakwiliła.

– No to już. No! Weź się w garść. Schowała puderniczkę. Znow zapuścił silnik.

Na szosie coraz częściej spotykali jadące spacerowo, niedzielnie samochody – małe, brudne od zaschniętego błota ford i chevrolety; czasem szybszy, większy samochód z gromadką kobiet w chustkach wśród zakurzonych koszów, bądź ciężarówkę, zatłoczoną wieśniakami o twarzach drewnianych, wystrojonymi w rzeczy też jak malowane, pracowicie wyciosane z drewna; czasem jakieś wozy albo bryczki. W jakimś gaju, przed pociemniałym wskutek opadów, wzniesionym z bali kościołem na wzgórzu, pełno było spętanych mułów i starych samochodów, i ciężarówek. Potem lasy zamieniły się w pola; domów stało coraz więcej. Nisko nad horyzontem, nad dachami i paroma szpicami wież zawisała chmura dymu. Zamiast żwiru już był asfalt i wjechali do Dumfries.

Temple zaczęła się rozglądać jak zbudzona ze snu.

– Tutaj nie – powiedziała. – Przecież nie mogę-

– Cicho bądź, no – powiedział Wytrzeszcz.

– Nie mogę... Chciałabym... – kwiliła. – Jestem głodna – powiedziała w końcu. –

Nic nie jadłam od...

– Ach, nie jesteś głodna. Poczekaj, aż dojedziemy do śródmieścia.

Rozglądała się szklistymi, nic nie widzącymi oczami.

– Tu mogą być ludzie...

Wytrzeszcz podjechał do stacji benzynowej.

– Przecież nie mogę wysiąść – zakwiliła. – Wciąż mi leci, wciąż.

– Kto ci każe wysiadać? – Stał przy samochodzie i spojrzał na nią ponad kierownicą. – Nie ruszaj się stąd!

Patrzyła, jak on odchodzi, idzie do jakichś drzwi. Była to brudna cukiernia. Wszedł tam, kupił paczkę papierosów i od razu włożył jednego do ust.

– Daj mi pan ze dwa batony – powiedział.

– Jakie?

– Słodkie – powiedział.

Pod szklanym kloszem na ladzie stał talerz z kanapkami. Wziął jedną kanapkę, przytknięciem palców rzucił dolara na ladę i ruszył ku drzwiom.

- Reszta dla pana – powiedział subiekt.
- Sobie pan weź – powiedział Wytrzeszcz. – Prędzej pan zrobisz forszę.

Gdy wyszedł na ulicę, zobaczył, że w samochodzie nie ma nikogo. Z nie zapalonym papierosem sterczącym mu ukośnie w dół z kącika ust zatrzymał się w odległości dziesięciu stóp od samochodu i przełożył kanapkę do lewej ręki. Mechanik ze stacji benzynowej, zawieszając gumowego węża na haku, wskazał mu kciukiem róg ulicy.

Za rogiem była wnęka w murze. Stała tam zatłuszczona beczka, napełniona do połowy odpadkami metalu i gumy. Tempie kulila się pomiędzy beczką a murem.

- O mało mnie nie zobaczył – szepnęła. – Prawie już patrzył na mnie!
- Kto? – zapytał Wytrzeszcz. Obejrzał się. – Kto cię zobaczył?
- Szedł prosto w moją stronę! Jeden chłopiec. Z uczelni. Patrzył prawie na...
- Prędzej. Wyłaź stąd!
- Patrzył...

Wytrzeszcz chwycił ją za ramię. Przysiadła w kącie, usiłując mu się wyrwać, kryjąc pobladałą twarz za występem muru.

- No, jazda! Chwycił ją za kark.
- Och! – jęknęła zdławionym głosem.

To było tak, jak gdyby on tylko tą jedną ręką powoli uniósł ją, wyprostowaną, w powietrze. Nawet jej nie szarpnął. I już stali obok siebie, i prawie równi wzrostem, wyglądali zupełnie przyzwoicie – ot, dwoje znajomych, którzy zatrzymali się na chwilę w ten niedzielny poranek przed pójściem do kościoła.

- Idziesz? – zapytał. – Czy nie idziesz?
- Nie mogę. Spływa mi na pończochę. Popatrz!

Z obrzydzeniem podniosła skraj sukienki, opuściła i znów podniosła, wyginając się od pasa do tyłu, otwierając usta w bezdźwięcznym okrzyku, bo trzymał ją mocno. Ale zaraz odszedł o krok.

- Pójdiesz teraz?

Wyszła zza beczki. Wziął ją pod ramię.

- Przesiąka na płaszcz – kwiliła. – Popatrz.
- Dobrze. Jutro kupię ci nowy. Chodź!

Ruszyli do samochodu. Na rogu znów stawiła opór.

– Chcesz oberwać jeszcze? – zapytał szeptem, nie dotykając jej. – Chcesz?

Poszła dalej i już spokojnie wsiadła do samochodu. Ujął kierownicę.

– Masz. Kupiłem ci kanapkę. – Wyciągnął kanapkę z kieszeni i wetknął jej do ręki. – Jedz.

Posłusznie ugryzła kawałek. Zapуścił silnik i wyjechał na szosę do Memphis. Trzymając nadgryzioną kanapkę w ręce przestała żuć i znów otworzyła usta okrągło, beznadziejnie jak dziecko; znów odjął jedną rękę od kierownicy i chwycił ją za kark, a ona, wpatrzona w niego, znieruchomiła z ustami otwartymi, z papką jeszcze nie przeżutego chleba i mięsa na języku.

Dojechali do Memphis około czwartej po południu. U stóp skarpy poniżej ulicy Głównej Wytrzeszcz skręcił w wąską ulicę jednakowych zakopconych domów, z drewnianymi galeriami na każdym piętrze, stojących w głębi posesji, na których nie było trawników, tylko tu i ówdzie rosło jakieś samotne i wytrwałe, nędzne drzewo – zmarniała magnolia o obwisłych gałęziach, karłowaty wiąz czy akacja o szarawych, trupich kwiatach; zza domów przeświecały tyły warsztatów samochodowych; na nie zabudowanej parceli piętrzyła się kupa śmieci; w niskich drzwiach może, ale niekoniecznie kawiarni mignęły stolki barowe, obity ceratą kontuar, metalowy ekspres do kawy i grubas w brudnym fartuchu i z wykałaczką w zębach, wynurzając się na chwilę z mroku jak marnie wywołana fotografia, złowieszcza, chociaż bez znaczenia. Ze skarpy, spoza rzędu biurowców, rysujących się ostro na słonecznym niebie, dolatywały odgłosy ruchu ulicznego – klaksony samochodów, klekot tramwajów – unoszone wysoko wiatrem od rzeki. U wylotu tej wąskiej ulicy nagle, jak pod wpływem czarów, zmaterializował się ze zdumiewającym łoskotem i zaraz zniknął tramwaj, który przejeżdżał przecznicą. Na galerii pierwszego piętra młoda Murzynka w halce, oparta łokciami o balustradę, posepnie paliła papierosa.

Wytrzeszcz podjechał pod jeden z tych brudnych dwupiętrowych domów, z wejściem ukrytym za brudnym, przybudowanym trochę krzywo przedsionkiem z gęstej drewnianej kratki. Po zakopconym trawniku chodziły dwa psy, owej rasy małych, wełnistych bia-

łych psów, mających w sobie coś z gąsienicy; jeden z różową, a drugi z niebieską kokardą na karku, ślamazarne, sprośne jakieś i paradoksalne. Kudły ich w blasku słońca

wyglądały jak oczyszczone benzyną.

Później Tempie słyszała te psy, gdy skomlały i drapały do drzwi jej pokoju, po czym gdy skłębione w pośpiechu, ledwie służąca Murzynka im otworzyła, wbiegły i wskoczyły mozolnie na łóżko, na kolana pani Reby, z posapywaniem i jazgotem kotłując się przy wielkim, zdawałoby się, napompowanym biuście, wyciągając języki do metalowego kufła w upierścienionej ręce, którą pani Reba żywo gestykulowała, żeby podkreślić swoje słowa.

– Każdy w Memphis ci powie, kto to jest Reba Rivers. Zapytaj byle mężczyznę, na ulicy, glinę czy nie glinę. Najgrubsze ryby w Memphis przyjmują tutaj w tym domu: bankierów, adwokatów, doktorów, ich wszystkich. Dwóch kapitanów policji popijało piwo u mnie w jadalni, a sam komisarz był na górze z jedną z moich dziewczynek. Upili się, rozwalili drzwi i zastali go nagusieńkiego, kiedy sobie hopsał w tańcu szkockim. Chłop pięćdziesięcioletni, wysoki na siedem stóp, a z głową jak fistaszek. Świetny był. Znał mnie. Oni wszyscy znają Rebę Rivers. Pieniądze płyną im tutaj jak woda, faktycznie. Znają mnie. Nigdy tak nie było, żebym ja kogo wykantowała, laleczko.

Napiła się piwa, oddychając chrapliwie w kufel, zatapiając drugą rękę, ozdobioną żółtymi, wielkimi jak żwir brylantami, pomiędzy bujne bałwany piersi.

Najłżejszy bodaj ruch przychodził jej kosztem oddechu chyba nieproporcjonalnym do przyjemności, jaką mógł jej sprawić. Prawie natychmiast po ich przybyciu do tego domu zaczęła opowiadać Tempie o swojej astmie, gdy w filcowych bamboszach gramoliła się przed nimi po schodach, ocieżała i z drewnianym różańcem w jednej ręce, z kuflem piwa w drugiej. Właśnie wróciła z kościoła i jeszcze nie zdjęła czarnej jedwabnej sukni, szaleńczo ukwieconego kapelusza; dolną połowę kufła srebrzył szron od chłodu dopiero

co nalanego piwa. Psy kłębiły się jej pod nogami, a ona przetaczała swój ciężar z jednego wielkiego uda na drugie i chrapliwym, zdyszonym, macierzyńskim głosem mówiła przez ramię.

– Już Wytrzeszcz wiedział, co robi, że cię przywiózł nie gdzie indziej, a tylko do mojego domu. Chodziłam za nim, ile to już lat, kotuś, chodziłam za tobą, żeby ci dać dziewczynkę? Bo przecież młody mężczyzna tak samo nie może żyć bez dziewczyny, jak...

Urwała, zdyszana, zaczęła kląć na psy kłębiące gię jej pod nogami i przystanęła, żeby je odepchnąć.

– Zejść mi na dół – powiedziała grożąc im różańcem.

Warknęły na nią zjadliwym falsetem, wyszczerzyły zęby, gdy nagle oparła się o ścianę i stała tak bez tchu, w rozrzedzonym zapachu piwa, z jedną ręką podniesioną do piersi, z ustami otwartymi, oczami znieruchomiałymi, pełna żalosego strachu przed koniecznością oddychania, z pękatym kuflem wysoko w drugiej ręce, wyglądającym trochę w mroku jak matowe srebro.

Wąska klatka schodowa kręciła się w kółko pod górę szeregiem niskich kondygnacji. Światło, które przenikało przez grubą portierę drzwi frontowych i przez zamknięte okiennice okien na półpiętrach, było jakieś znużone. Było przygasłe, zmartwiałe, wyczerpane – nacechowane przewlekłym znużeniem jak bajoro gdzieś, dokąd nie docierają promienie słońca i żywe odgłosy słonecznego dnia. W tym świetle snuł się zapach minionych posiłków nie mających tu swojej stałej pory, zapach nieuchwytnie alkoholiczny i wydawało się, że nawet nieświadomą tego Tempie zagarnia jakaś upiorna mieszanina wyuzdania, intymnych części garderoby, sekretnych szeptów zatęchłego ciała, napastowanego często i uodpornionego – coś, co emanowało spoza każdych cichych drzwi, obok których przechodzili. Psy, połyskując kudłami, nadal pętały się to z tyłu, to przy nogach Tempie i pa-

ni Reby, pazurki ich zgrzytały o metalowe pręty chodnika na schodach.

Później Tempie, gdy już z ręcznikiem owiniętym wokół obnażonych łądźwi leżała w łoku, słyszała, jak te psy węszą i skomla za zamkniętymi drzwiami. Jej płaszcz i kapelusz wisiały na gwoździach wbitych w drzwi, sukienka i pończochy leżały na krześle, a ona nieomal słyszała ten rytmiczny szmer prania na tarze, więc znów rzuciła się w udręce wstydu, szukając osłony tak samo jak przed chwilą, wtedy gdy zdejmowano z niej majtki.

– No, no – powiedziała pani Reba – ja sama krwawiłam przez cztery dni. To nic. Doktor Quinn zahamuje to w dwie minuty, a Minnie wszystko wypierze i wyprasuje i nawet śladu po tym nie będzie. Za tę krew to ty skosisz z tysiąc dolarów, laleczko. – Podniosła kufel, przy czym sztywne nieboszczyki kwiatów na jej kapeluszu przytaknęły jak gdyby z uznaniem dla tej stypy. – Biedne my dziewczyny – powiedziała.

Opuszczone rolety, w deseń gęsty i drobny jak stara, spękana skóra, powiewały słabo w jasnym powietrzu, wpuszczając do pokoju przycichłymi falami szum niedzielного ruchu, świąteczny, spokojny i ulotny. Tempie, z nogami wyprostowanymi i

zwartymi, leżała nieruchomo pod kołdrą podciągniętą po samą twarz, małą i mizerną w obramowaniu szeroko rozrzuconych gęstych włosów. Pani Reba opuściła rękę z kuflem, nabrała tchu i chrapliwym, zduszonym głosem zaczęła mówić, jakie to Tempie ma szczęście.

– Każda w tej dzielnicy chciała go sobie złapać, laleczko. Jest taka jedna zamężna kobietka, co się czasami wykrada z domu. Więc ona to nawet chciała dać Minnie dwadzieścia pięć dolarów, żeby tylko Minnie ściągnęła go do pokoju i nic więcej. Ale czy myślisz, że on choć spojrzał na którąś? Na takie nawet, które biorą po sto dolarów za noc. A gdzie tam! Pieniądze mu płyną jak woda, ale czy myślisz, że on by spojrzał na którąś i chciałby coś więcej niż z nią zatańczyć?

Zawsze wiedziałam, że on nie weźmie żadnej z tych zwyczajnych kurw. I nieraz im mówiłam, ta z was, która go złapie, mówiłam, będzie chodziła w brylantach, tylko że to nie będzie żadna z was, zwyczajnych kurw, a teraz Minnie wypierze je i wyprasuje, aż ich nie poznasz nawet.

– Ja ich już nie mogę włożyć – szepnęła Tempie. – Nie mogę.

– Jeżeli nie chcesz, nie musisz. Dasz je Minnie, chociaż nie wiem, co ona z nimi zrobi, chyba że...

Psy za drzwiami zaskowytały głośniejsze. Ktoś szedł. Drzwi się otworzyły. Z psami kłębiącymi się u nóg weszła służąca Murzynka niosąc na tacy dużą butelkę piwa i szklanekę dżynu.

– Jutro sklepy będą otwarte i pójdziesz ze mną nakupić sobie różnych rzeczy; on powiedział, żebyśmy kupiły. I wyszło na moje, ta dziewczyna, która go złapie, będzie chodziła w brylantach. Przekonasz się, że mam...

Zwalista, z kuflem w ręce, pani Reba odwróciła się do psów, które wlaży na łóżko i z łóżka na jej kolana, zjadliwie powarkując. Wśród zniekształcających ich łebki skręconych kudłów oczy jak paciorki łykały dziką wściekłością, otwarte pyski ziały różowo spomiędzy zębów ostrych jak szpilki.

– Reba! – powiedziała pani Reba. – Na podłogę! Ty, Panie Binford! – Zrzuciła z kolan oba psy, kłapiące zębami ku jej ręką. – Gryziesz mnie... Ugryzłeś pannę... jak się nazywasz, laleczko? Bo nie dosłyszałam.

– Tempie – szepnęła Tempie.

– Pytam się, laleczko, o imię. My tu nie robimy żadnych ceremonii.

- To jest imię, Temple. Temple Drake.
- Masz imię chłopca?... Minnie, czy rzeczy panny Tempie już uprane?
- Tak, pszani – odpowiedziała służąca. – Schną do sucha za piecem.

Podeszła z tacą, ostrożnie odpychając na bok psy klapiące zębami ku jej nogom.

- Porządnie je wyprałaś?
- Miałam ja z nimi – odpowiedziała służąca. – W życiu chyba nie spierałam takiej

wzartej krwi.

Tempie konwulsyjnie odwróciła się do ściany i wsunęła głowę pod kołdrę. Poczula na sobie rękę pani Reby.

– No. No, no, no. Masz, wypij. Ja ci stawiam. Nie dopuszczę, żeby dziewczynka Wytrzeszcza...

– Nie chcę już – powiedziała Tempie.

– No, no – powiedziała pani Reba. – Wypij, a od razu poczujesz się lepiej. – I podniosła jej głowę.

Tempie wtulała szyję w kołdrę. Miała jednak już tę szklankę przy ustach. Przełknęła dżyń i znów się skrzyła zaciskając kołdrę na sobie, patrząc oczami szeroko otwartymi, czarnymi.

– Głowę dam, że ręcznik ci opadł – powiedziała pani Reba i położyła rękę na kołdrze.

– Nie – szepnęła Tempie. – Nie opadł. Jest tam. Wzdrygnęła się i skuliła. Tamte dwie widziały, jak

jej nogi kulą się pod kołdrą.

– Czy wezwiałaś doktora Quinna, Minnie? – zapytała pani Reba.

– Tak, pszani. – Minnie wlewała z butelki piwo do kufla, zachodzącego coraz wyżej mglistym szronem. – On mówi, że w niedzielę po południu na żadne wizyty nie chodzi.

– Powiedziałaś mu, do kogo? Powiedziałaś, że do pani Reby?

– Tak, pszani. On mówi, że na żadne...

– Wracaj tam i powiedz temu skur... powiedz mu, że ja go... Nie, poczekaj. – Pani Reba wstała ocieźzale. – Żeby ktoś tak odpowiedział mnie, kiedy ja mogę trzy razy tam i nazad wpakować go do więzienia...

Z psami kłębiącymi się przy jej filcowych bamboszach, rozkołysana ruszyła ku

drzwiom. Służąca też wyszła i zamknęła drzwi za nimi.

Do uszu Tempie jeszcze doleciały przekleństwa, którymi pani Reba obrzucała psy, gdy powoli, straszliwie powoli schodziła na dół. Potem to ucichło.

Rolety w oknach chwiały się i szeleściły miarowo. Tempie zaczęła słyszeć niegłośnie tykanie. Zegar stał na parapecie kominka, ponad paleniskiem wypełnionym zieloną karbowaną bibułką. Był porcelanowy, malowany w kwiaty i podtrzymywały go cztery porcelanowe nimfy. Wskazówkę miał tylko jedną, skrzyżowaną spiralnie, połączoną, znieruchomiałą w połowie drogi pomiędzy godziną dziesiątą a jedenastą, co nadawało jego pustej poza tym tarczy jakiś stanowczy wyraz twierdzenia, że ten zegar nie ma z mijaniem czasu nic wspólnego.

Tempie podniosła się z łóżka. Przytrzymując na sobie ręcznik, wyteżając słuch, prawie niewidoma od wysiłku nasłuchiwania, ruszyła po cichu ku drzwiom. Był półmrok; w przymglonym lustrze, ustawionym pionowo jasnym owalu zmierzchu, mignęła samej sobie jak zwiewny duch, jak blady cień sunący w naj-otchłanniejszej głębi cienia. Doszła do drzwi. I natychmiast usłyszała sto sprzecznych odgłosów stopionych w jakąś jedną groźbę. Wściekle zaczęła drapać po drzwiach, szukać po omacku zasuwki, aż znalazła ją i zasunęła; ręcznik opadł na podłogę. Podniosła ręcznik nie patrząc i biegiem wróciła do łóżka, otuliła się kołdrą po podbródek i znów leżała cicho, zasłuchana w tajemny szept swojej krwi.

Pukali do drzwi przez jakiś czas, zanim się odezwała.

– To doktor, laleczko – sapała ochryple pani Reba. – No, otwórz. Bądź grzeczną dziewczynką!

– Nie mogę – odpowiedziała Tempie cienkim, słabym głosem. – Jestem w łóżku.

– No, otwórz. On cię chce postawić na nogi – sapała pani Reba. – Boże mój, żeby to ja mogła choć raz złapać pełny oddech. Nie oddycham porządnie, odkąd...

L Nisko za drzwiami Tempie usłyszała psy.

– Laleczko!

Wstała z łóżka, przytrzymując na sobie ręcznik. Podeszła do drzwi bardzo cicho.

– Laleczko – prosiła pani Reba.

– Zaraz – powiedziała Tempie – tylko wrócę do łóżka.

– Grzeczna dziewczynka – wyraziła uznanie pani Reba. – Wiedziałam, że będzie

grzeczna.

– Niech pani liczy do dziesięciu – powiedziała Tempie tym drewnianym drzwiom. – Może pani policzyć do dziesięciu? – zapytała.

Bezszelestnie odsunęła zasuwkę, odwróciła się i z cichnym tupaniem bosych stóp pobiegła z powrotem do łóżka.

Doktor był dosyć tęgi, miał rzadkie, kędziorkowate włosy i okulary w rogowej oprawie, tak nie zmieniające jego oczu, jakby były ze zwyczajnego szkła, a on nosił je tylko dla przydania sobie godności. Tempie patrzyła na niego sponad kołdry.

– Niech oni wyjdą – szepnęła. – Byleby tylko wyszli.

– No, no – powiedziała pani Reba. – Doktor cię postawi na nogi.

Tempie kurczowo przytrzymała na sobie kołdrę.

– Jeżeli panienka pozwoli... – powiedział doktor. Włosy parowały mu cieniutko od czoła. Ściągał

wargi pełne, wilgotne i czerwone. Jego oczy za okularami wyglądały jak maleńkie kółeczka mknącego zawrotnie roweru; były metalicznie piwne. Wyciągnął grubą białą rękę zdobną w pierścień masoński, porośłą cienkim czerwonym puchem aż do drugich stawów palców. Zimne powietrze owionęło ją po ciele aż pod uda; oczy miała zamknięte. Leżąc na wznak, z nogami zsuniętymi, rozpląkała się beznadziejnie i biernie jak dziecko w poczekalni dentysty.

– No, no – powiedziała pani Reba. – Łyknij sobie jeszcze dzynu, laleczko. Dobrze ci zrobi.

Od czasu do czasu roleta w oknie odchyłała się i z

cichym szelestem trąc o futrynę, słabo falując wpuszczała do pokoju zmierzch. Powolnymi kłębamiz zmierzch o barwie dymu wsuwał się spod rolety i gęstniał w pokoju coraz bardziej.

Porcelanowe figurki, podtrzymujące zegar, delikatnie połyskiwały przyćmionymi gładkimi wygięciami kolan, łokci, boków, ramion i piersi w postawach lubieżnego znużenia. Szklana tarcza zegara stała się lusterkiem zatrzymującym na sobie całe chyba niechętnie światło, gdy jednocześnie w swej spokojnej głębi zatrzymywała cichy gest czasu, który musiał umierać z jedną wskazówką, jak weteran wojenny z jedną ręką. Pół do jedenastej. Tempie leżała w łóżku, patrzyła na zegar, myślała, jak to jest o godzinie pół do jedenastej.

Była w za dużej nocnej koszuli z wiśniowej krepy, zupełnie teraz czarnej na tle pościeli. Jej włosy, już uczesane, rozpościerały się na poduszce też czarno. Twarz, szyję i ramiona pod kołdrą miała szare. Gdy oni wyszli z pokoju, dosyć długo leżała z głową pod kołdrą. Słuchała odgłosu zamykania drzwi, a potem kroków w dół po schodach, aż beztroski, nie milknący głos doktora i strudzone sapanie pani Reby, zadymiając się stopniowo zmierzchem, ucichły w brudnym ha-llu. Wyskoczyła wtedy z łóżka, podbiegła do drzwi i zasunęła zasuwkę, po czym biegiem wróciła do łóżka, znów naciągnęła kołdrę na głowę i kuliła się tak, dopóki nie zabrakło jej powietrza.

Na sufit i wysoko na ściany padało ostatnie szafranowe światło, któremu już przydawała fioletu ząbko-wana na tle zachodu palisada dachów ulicy Głównej. Tempie patrzyła, jak to światło zanika wchłaniane przez ziewającą raz po raz roletę. Patrzyła, jak ostatni blask kondensuje się w tarczy zegara i jak tarcza – jeszcze przed chwilą okrągły otwór w mroku – staje się krążkiem zawieszonym w nicości, w chaosie pierwotnym, a potem nagle kryształową kulą i zawiera w swej spokojnej, tajemnej głębi już uporządkowany chaos tego zawilego, cienistego świata, ziemi, która

się kręci i na której boki poznaczone bliznami występują w tym zawrotnym wirze dawne rany, znów otwarte w pełną czających się nowych nieszczęść ciemność nocy.

Ale myślała, jak to jest o godzinie pół do jedenastej.

o tej godzinie ubierania się na tańce, jeżeli ma się u chłopców dostateczne powodzenie na to, by punktualność wcale nie obowiązywała. W powietrzu jeszcze opary kąpieli i w blaskach lamp może puder, jak plewy na poddaszu stodoły, a one oglądają się wzajemnie i porównują, i śmieją się, że siłyby większe spustoszenie na parkiecie, gdyby tam weszły nagie. Niektóre by nie chciały, zwłaszcza te z krótkimi nogami. Niektóre są zgrabne, ale też by nie chciały.

1 to nie wiadomo dlaczego. Ale ta najbardziej zepsuta z nich wszystkich mówi, że dla chłopców każda dziewczyna jest brzydka, kiedy się rozbierze. I mówi, że Wąż widywał Ewę już od kilku dni, a jednak nie zwrócił na nią uwagi, dopóki Adam nie kazał jej nałożyć figowego listka. "Skąd wiesz?" – pytają one wszystkie, a ona tłumaczy im, że Wąż tam był jeszcze przed Adamem, bo został najpierw wyrzucony z nieba; Wąż tam był przez cały czas. Ale im chodzi nie o to, tylko o tych chłopców, więc znowu pytają: "Skąd wiesz?" I Tempie przypomniała sobie, jak ta dziewczyna najbardziej zepsuta z nich wszystkich stała wtedy oparta o toaletkę i jak one ją otaczały, już uczesane i z

ramionami pachnącymi wonnym mydłem, i jak puder lekko unosił się w powietrzu, a ich oczy niczym noże prawie odczuwalnie krajały ją w każdym miejscu, na które patrzyły; i te jej oczy, w brzydkiej twarzy takie odważne i przerażone, i zuchwałe, gdy one wszystkie pytają: "Skąd wiesz?" – aż wreszcie ona im mówi, skąd wie, i podnosząc rękę przysięga, że się puściła. I w tym momencie najmłodsza z nich odwraca się i wybiega z garderoby. Zamyka się w łazience i słychać, jak tam wymiotuje.

Myślała także, jak to jest o godzinie pół do jedenastej przed południem w niedzielę, gdy parami bez poś-

piechu idzie się do kościoła. Patrząc na wskazówkę zegara, ten gasnący spokojny gest czasu, przypomniła też sobie, że jeszcze jest niedziela, ta sama niedziela. Może to pół do jedenastej dziś przed południem – tamte pół do jedenastej. "Więc mnie tu nie ma – myślała. – To nie jestem ja. Bo ja jestem teraz w Oxford i dziś wieczorem mam randkę z..." Pomyślała

o studencie, z którym umówiła się na dzisiaj. Nie pamiętała, który to, ale nie musiała łamać sobie nad tym głowy. Wszystkie randki zawsze zapisywała w łacińskim "bryku". Nie... nie musiała sobie łamać głowy. Musiała tylko wstać i ubrać się, bo za chwilę któryś po nią przyjdzie.

– Więc powinnam ubrać się – powiedziała patrząc na zegar.

Wstała i cicho przeszła przez pokój. Patrzyła na zegar, ale na tarczy, chociaż widziała rozhuśtany w geometrycznej miniaturze zamęt wypaczonego słabego światła i cienia, siebie zobaczyć nie mogła. "To przez tę koszulę" – pomyślała spoglądając na swoje ramiona, na pierś wylaniająca się z wtopionego w mrok kuru, spod którego, gdy szła, palce jej nóg migają blado, przelotnie, miarowo. Odsunęła cicho zasuwkę, wróciła do łóżka i położyła się, głowę wtuliła w łokcie.

W pokoju było jeszcze trochę światła. Uprzytomniła sobie, że słyszy tykanie swojego zegarka, że słyszała je już od pewnego czasu. Dom okazał się pełen odgłosów, które przenikały do pokoju stłumione, nie dające się rozróżnić, jak gdyby z bardzo daleka. Gdzieś słabo i piskliwie zadzwonił dzwonek; ktoś z szelestem sukni czy płaszcza wchodził po schodach. Kroki minęły drzwi, rozległy się na schodach wyżej i ucichły. Słuchała tykania zegarka. Na dole pod oknem zgrzytliwie ruszył jakiś samochód, znów zadzwonił dzwonek, słaby, piskliwy i przeciągły. Zorientowała się, że nikłe światło w pokoju jest odbłaskiem latarni ulicznej. Wtedy pojęła, że już jest wieczór i że

ciemność za oknami jest pełna odgłosów miasta.

Usłyszała te dwa psy wściekle drepzące po schodach na górę. Hałas, jaki czyniły, przesunął się pod jej drzwiami i ustał; zrobiło się zupełnie cicho, tak cicho, że mogła prawie widzieć, jak one, wpatrzone w schody, kulą się tam po ciemku przy ścianie.

“Jeden nazywa się Pan jakiś” – przypomniała sobie czekając na odgłos kroków pait. Heby. Ale to nie była pani Reba, to były kroki zbyt równe i lekkie. Drzwi się otworzyły. Psy wkłębiły się do pokoju bezkształtnymi plamami i ze skowytem smyrnęły pod łóżko.

– Wy, psy! – zabrzmiał głos Minnie. – Wszystko mi się przez was rozleje.

Zajaśniała lampa. Minnie wniosła tacę.

– Kolację przyniosłam – powiedziała. – Gdzie poszli, te psy?

– Pod łóżko – powiedziała Tempie. – Nie chcę kolacji.

Minnie podeszła, postawiła tacę na kołdrze i spojrzała łagodnie, ze zrozumieniem; twarz miała sympatyczną.

– Chce panienska, żebym... – zaczęła wyciągając rękę.

Tempie szybko odwróciła głowę. Usłyszała, jak Minnie klęka próbując przymilnie wywołać psy spod łóżka i jak psy astmatycznie, skomliwie warczą na nią i kłapią zębami.

– Wyłazić mi zarazi – powiedziała Minnie. – Oni to zawsze wywęszą, kiedy pani Reba się uweźmie na pijaństwo. Ty, Pan Binford!

Tempie podniosła głowę.

– Pan Binford?

– Ten z niebieską kokardą – powiedziała Minnie. – Pochyliła się i machnęła ręką na psy. Przy samej ścianie pod wezłowiem łóżka ujadły i warczały w szalonym strachu.

– Pan Binford to był kawaler pani Reby. Wynajmował jej ten dom przez jedenaście lat, aż wziął i umarł, będzie ze dwa lata temu. I zaraz na drugi dzień pani Reba kupiła tych psów i nazwała jednego Pan Binford, a drugiego Pani Reba. Jak tylko idzie na cmentarz, to się potem upija, jak dzisiaj, i oni oba muszą uciekać. Ale Pan Binford i tak oberwie. Ostatnim razem to go wyrzuciła przez okno na piętrze i zeszła na dół, i wybrała wszystkie ubrania z szafy pana Binforda, i też wyrzuciła na ulicę, wszystkie je, poza tym, w czym go pochowała.

– Och – powiedziała Tempie. – Nic dziwnego, że one się boją. Niech zostaną tam, mnie nie przeszkadzają.

– Chyba muszę ich zostawić. Pan Binford nie wyjdzie z tego pokoju, żeby tam nie wiem co. – Minnie już stała znowu patrząc na Tempie. – Niech panienka je tę kolację. Od razu zrobi się lepiej. Dżynu panience też przemyciłam.

– Nie chcę – powiedziała Tempie i odwróciła głowę.

Usłyszała, jak Minnie wychodzi z pokoju. Drzwi zamknęły się cicho. Pod łóżkiem psy siedziały przy ścianie w odrętwiającym, gniewnym strachu.

Lampa zwisała ze środka sufitu; abażur z karbowanej różowej bibułki zbrązowiał tam, gdzie dotykała go żarówka. Na podłodze leżał wzorzysty, kasztanowaty dywan, przytwierdzony do podłogi taśmami metalowymi; na oliwkowych ścianach wisiały dwie litografie w ramkach. Przy obu oknach zakurzone firanki z maszynowej koronki wyglądały jak postawione pionowo pasy lekko skrzepłego kurzu. Cały pokój wyglądał zatęchłe, mieszczańsko przyzwoicie; w falistym lustrze nad tanią politurowaną toaletką jak w sadzawce zdawały się odbijać jeszcze zwlekające z odejściem sterane widma lubieżnych gestów i martwych żądz. W kącie stała ukośnie na przybitej do dywanu, wyblakłej, popękanej ceracie umywalnia z miednicą w kwiaty, dzbanem i rzędem ręczników; za umywalnią stał kubel do brudnej wody, przystrojony jak lampa karbowaną różową bibułką.

Psy siedziały pod łóżkiem zupełnie cicho. Tempie poruszyła się lekko, suchy lament materaca i sprężyn zamarł w straszliwej ciszy, w której kulily się psy. Myślała o nich, wełnistych i bezkształtnych, o pełnej wściekłości i rozdrażnienia, i zepsucia jazgotliwej monotonii ich chronionych istnień, przerywanej zniemacka niepojętą chwilą grozy i strachu przed raptownym unicestwieniem zagrażającym im z tych właśnie rąk, które zwykle są dla nich symbolem usankcjonowanego spokoju ich bytowania.

Dom rozbrzmiewał odgłosami. Nie dające się rozróżnić, dalekie, dobiegały te odgłosy do Tempie i miały w sobie coś ze zmartwychwstania, z przebudzenia, jak gdyby sam ten dom po długim śnie budził się z nadejściem nocy; gdzieś chyba parsknęła piskliwym śmiechem jakaś kobieta. Z tacy na łóżku ulatywały zapachy. Tempie odwróciła głowę i spojrzała na tacę, na zakryte i odkryte fajansowe talerze. Pośrodku między talerzami zobaczyła szklanę bladego dżynu, paczkę papierosów i pudełko zapalek. Przytrzymując opadającą jej z piersi koszulę, oparła się na łokciu. Podniosła pokrywki znad pulchnego befsztyka i kartofli, i zielonego groszku; poza tym były paszteciki i różowy płat czegoś niewiadomego, co jakimś zmysłem – może drogą eliminacji – utożsamiła z

leguminą. Znów podciągnęła opadającą z piersi koszulę i pomyślała o nich tam przy kolacji w uczelni, o wesołym zgiełku ich głosów, szczękaniu widelców; pomyślała o ojcu i o braciach, siedzących przy stole w domu; i pomyślała o tej pożyczonej koszuli i o zapowiedzi pani Reby, że jutro pójdą po sprawunki. "A ja mam tylko dwa dolary" – pomyślała.

Patrząc na jedzenie doszła do wniosku, że wcale nie jest głodna, że nawet nie chce patrzeć na nie. Podniosła z tacy szklankę, krzywiąc się wypila dżyń do dna, odstawiła szklankę i z głową już odwróconą namacała wśród talerzy papierosy. Zanim zapaliła, znów spojrziała na tacę, ostrożnie wzięła w palce jedną frytkę i zjadła. Trzymając nie zapalonego papierosa w

drugiej ręce, zjadła następną, po czym odłożyła papierosa, wzięła nóż i widelec i zaczęła jeść tę kolację, z małymi przerwami od czasu do czasu, żeby podciągnąć koszulę na ramieniu.

Gdy zjadła, zapaliła papierosa. Znów usłyszała dzwonek i jeszcze raz dzwonek, już w nieco innej tonacji. I poprzez szybkie gdakanie kobiecego głosu trzaśnięcie drzwi na dole. Dwie osoby weszły po schodach i minęły jej drzwi Usłyszała dudniący gdzieś głos pani Reby, a potem powolne, coraz bliższe człapanie pod górę. Patrzyła na drzwi, dopóki się nie otworzyły i nie stanęła w nich pani Reba z kuflem w ręce. Pani Reba miała teraz na sobie suknie; domową, którą wypełniała baniasto, i wdowi kapelusz z welonem. Weszła cicho w tych filcowych kapciach haftowanych w kwiaty. Oba psy pod łóżkiem wydały zduszony zgodny skowyt krańcowej rozpaczy.

Nie zapięta z tyłu suknia marszczyła się obwisłe na ramionach. Jedną upierścienioną ręką pani Reba przysłaniała pierś, drugą wysoko unosiła kufel. Otwarte, nabite złotymi plombami usta ziały mordęgą chrapliwego oddechu.

– Boże! Boże! – powiedziała.

Psy wysunęły się spod łóżka i w obłędnym pośpiechu smyrnęły do drzwi. Gdy przebiegały obok niej, odwróciła się i cisnęła kuflem za nimi. Kufel uderzył

o futrynę, aż piwo chlusnęło po ścianie, i odbił się z żalonym szczęknięciem. Przyciskając rękę do piersi, z poświstem złapała oddech. Podeszła do łóżka i spojrziała przez welon na Tempie.

– Byliśmy szczęśliwi jak dwa gołąbki – podniosła lament i zachłysnęła się, przy czym pierścionki wśród bałwanów jej piersi sypnęły gorącymi skrami. – I musiał mnie

odumrzeć! – Z poświstem złapała oddech ustami rozdziawionymi, nadającymi kształt niewidocznej męce udaremionych płuc, i wybałuszała oczy, blade i okrągłe, porażone bezsiłą. – Jak dwa gołąbki – ryknęła chrapliwym, zdławionym głosem.

Znów czas doścignął martwy gest wskazówki za szkłem zegara: zegarek Tempie na szafce nocnej wskazywał pół do jedenastej. Od dwóch godzin Tempie leżała w niezakłóconym spokoju, nasłuchując. Rozróżniała już głosy dolatujące z dołu. Dość długo słyszała je, gdy tak leżała w zatechłym odosobnieniu tego pokoju. Później zaczęły dolatywać dźwięki pia-noli. Chwilami słyszała zgrzyt hamulców samochodowych na ulicy; raz zbliżyły się i wdarły pod roletę jakieś dwa głosy podniesione w zażartej kłótni.

Usłyszała dwoje ludzi – mężczyznę i kobietę, jak wchodzą na górę i zamykają się w sąsiednim pokoju. A potem usłyszała, jak pani Reba człapie po schodach i przechodzi obok jej drzwi; z oczami szeroko otwartymi i nieruchomymi leżąc w łóżku usłyszała, jak pani Reba wali w sąsiednie drzwi tym swoim metalowym kuflem i krzyczy coś. Mężczyzna i kobieta za drzwiami zachowywali się zupełnie cicho, tak cicho, że znów pomyślała o psach, pomyślała o nich obu sku-łonych przy ścianie pod jej łóżkiem, zeszywniałych w furii strachu i rozpacz. Słuchała głosu pani Reby krzyczącej coś chrapliwie w nieczułe drewno. Krzyk ucichł, nastąpiło straszliwe urywane sapanie, a potem rozbrzmiał znowu, i to były ordynarne, soczyście męskie przekleństwa. Mężczyzna i kobieta za drzwiami zachowywali się zupełnie cicho. Tempie leżała i patrzyła na ścianę, za którą znów się podnosił głos pani Reby przy akompaniamencie walenia kuflem w drzwi.

Ani nie widziała, ani nie słyszała, kiedy otworzyły się drzwi do jej pokoju. Przypadkiem tylko, nawet nie wiedząc po jak długim czasie – spojrzała w ich stronę i zobaczyła, że w kapeluszu ukośnie nasunię-'tyrn na twarz stoi tam Wytrzeszcz. Nadal bezszelestnie wszedł do pokoju, zaniknął drzwiami i zasunął •zastrwkę, po czym ruszył w stronę łóżka. Tak samo •powoli ona zaczęła wtulać się w pościel, podciągając kołdrę pod brodę, patrząc na niego znad kołdry. Podszedł do niej. Skręcała się w sobie powoli i kurczyła,

kurczyła w jakimś odosobnieniu tak całkowitym, jakby leżała przywiązana do wierchołka kościelnej wieży. Uśmiechała się przymilnie, sztucznie, samymi tylko ustami wykrzywionymi w sztywnym porcelanowym grymasie.

Gdy dotknął jej, zakwilila.

– Nie, nie – szepnęła. – On powiedział, że ja teraz nie mogę, powiedział...

Szarpnął kołdrę i odrzucił. Leżała nieruchomo, z dłońmi uniesionymi i jej ciało pod opaską na biodrach cofało się rozstępując gwałtownie jak przerażeni ludzie w tłumie. Gdy znów wyciągnął ku niej rękę, myślała, że ją uderzy. I nagle zobaczyła, że twarz mięknie mu i drga jak dziecku bliskiemu płaczu, i usłyszała jego dziwne pojękiwanie. Chwyił nocną koszulę na jej piersiach. Złapała go za przeguby rąk i zaczęła rzucać się z boku na bok, otworzyła usta do krzyku. Zatkanął jej usta dłonią, a ona, ściskając go za przegub, śliniąc mu palce, miotając się wściekle z uda na udo, zobaczyła, że przysiadł przy łóżku i z twarzą wykrzywioną nad cofniętym podbródkiem wydyma sinawe wargi, jak gdyby dmuchał na gorącą zupę, i dobyło się z tych warg jakieś wysokie rżenie nieomal końskie. Za ścianą pani Reba napełniała piętro i dom chrapliwym, zdławionym rykiem plugawych przekleństw.

XIX

– Ale ta dziewczyna – powiedział Horace. – Jej się nic nie stało. Pani wychodząc z domu wiedziała, że jej się nic nie stało. I później, kiedy ją pani zobaczyła przy nim w samochodzie. On po prostu odwoził ją do miasta. Jej– się nic nie stało. Pani wie, że nic.

Kobieta siedziała na krawędzi łóżka i patrzyła na dziecko. Dziecko leżało pod spłóviałym, czystym kocem i z rączkami podniesionymi do główki wyglądało tak, jakby umarło w samej tylko obecności jakiejś nieznośnej udręki, zanim ta udręka zdążyła je poruszyć. Oczy miało na pół otwarte, wywrócone białka o barwie wodnistego mleka. Twarzyczka była jeszcze wilgotna od potu, ale oddech stał się lżejszy. Nie oddychało już z tym słabym poświstem, urywanie jak wtedy, gdy Horace wszedł do pokoju. Na krześle przy łóżku stał kubek, łyżka tkwiła w blado zabarwionej wodzie. Przez otwarte okno Horace słyszał tysiące odgłosów z rynku – samochody, wozy, kroki na chodniku – i widział gmach sądu i mężczyzn na dziedzińcu, grających w cetno czy lichu pomiędzy rosnącymi na swoich kawałkach ziemi akacjami i bagiennymi dębami.

Kobieta dumiała nad dzieckiem.

– Nikt jej tam nie chciał. Lee mówił im i mówił, że nie powinni przywozić kobiet, i ja jej powiedziałam, zanim jeszcze się ściemniło, że to nie są ludzie z jej świata, więc żeby się czym prędzej stamtąd zabrała. To przez tego faceta, który ją przywiózł. Siedział z nimi na ganku i widocznie dalej pił, bo kiedy przyszedł na kolację, prawie się przewracał. Nawet nie próbował zmyć sobie krwi z twarzy. Smarkacze z koszulami w zębach, którym się zdaje, że tylko dlatego, że Lee łamie prawo, mogą przyjeżdżać i traktować nasz dom jak... Dorośli nie są dobrzy, ale przynajmniej kupują whisky tak jak wszystko inne. To właśnie przez takich jak on, za młodych, żeby rozumieć, że ludzie nie łamią prawa tylko dla rozrywki... – Horace patrzył na jej ręce wijące się, zaciśnięte na kolanach. – Boże, gdyby to ode mnie zależało, wieszalabym każdego, kto pędzi whisky czy kupuje, czy pije... każdego.

Ale czemu to musiało spaść na mnie, na nas? Czy ja kiedy co zrobiłam jej albo takim jak ona? Powiedziałam jej, żeby się stamtąd zabrała. Powiedziałam, że nie powinna zostać po zapadnięciu zmroku. Ale ten, który ją przywiózł, pił dalej i obaj z Vanem wciąż

sobie skakali do oczu. Gdyby ona tylko przestała tak latać wszędzie, rzucać się im w oczy. Nie mogła

usiedzieć na miejscu. Wyskakiwała jednymi drzwiami i za chwilę wpadała drugimi z innej strony. A on, gdyby tylko dał spokój Vanowi, bo Van musiał wracać tą ciężarówką o północy, więc Wytrzeszcz by dopilnował, żeby Van zachowywał się przyzwoicie. I to była sobota w dodatku, więc oni i tak by siedzieli przez cały wieczór i pili, a ja już tyle razy przez to przechodziłam i mówiłam jemu, żebyśmy wyjechali. Lee, mówiłam, do niczego to ciebie nie doprowadzi, tylko znowu będziesz miał taki atak jak wczoraj, a tu nie ma ani doktora, ani telefonu. Raptem ona musiała się zjawić, kiedy ja harowałam jak niewolnica dla niego, jak niewolnica.

Nieruchoma, z głową spuszczaną, z rękami wciąż jeszcze na kolanach, miała w sobie coś z martwoty komina wznoszącego się nad gruzami domu zburzonego przez cyklon.

– Stała tam w kącie za łóżkiem w tym płaszczu nieprzemakalnym. Tak się złąła, kiedy wnieśli tego faceta znowu całego we krwi. Położyli go na łóżku i Van mu jeszcze dołożył, zanim Lee złapał Vana za ramię, a ona stała tam z oczami jak dziury w takiej, wie pan, masce. Ten płaszcz wisiał przedtem na ścianie, ale wzięła go i włożyła na swój płaszcz. Jej sukienka leżała złożona na łóżku. Prosto na sukienkę rzucili tego faceta zakrwawionego i w ogóle, i ja wtedy powiedziałam: “Boże, ty także jesteś pijany!” Ale on, Lee, tylko spojrzał na mnie, a ja przecież widziałam, że już ma nos biały, jak zawsze kiedy się upije.

Tam w drzwiach nie było zamka, ale pomyślałam sobie, że niedługo oni muszą iść do tej ciężarówki i będę mogła coś zrobić. Ale zaraz Lee i mnie też kazał wyjść stamtąd i zabrał lampę, więc musiałam zaczekać, aż oni pójdą na ganek, i wtedy dopiero mogłam tam wrócić. Stałam przy samych drzwiach. Ten facet chrapał na łóżku i dyszał, i miał nos i usta rozbite na nowo, i słyszałam tamtych na ganku. A potem chodzili przed domem i po domu, i na tyłach. A potem zrobiło się cicho.

Stałam tam pod ścianą. On chrapał, dławił się i łapał dech, i tak jakby jęczał, a ja myślałam o tej dziewczynie, że leży w ciemnościach, ma oczy otwarte i nasłuchuje, i myślałam o sobie, że muszę tak stać i czekać, żeby oni wreszcie poszli i żebym mogła coś zrobić. Powiedziałam jej, żeby się zabrała. Powiedziałam: “Czy to moja wina, że pani nie jest mężatką? Tak samo ja pani tu nie chcę, jak pani nie chce tu być.” Powiedziałam:

“Żyję swoim życiem bez żadnej pomocy takich ludzi jak wy;.-więc jakim prawem pani oczekuje pomocy ode mnie?” Bo ja wszystko robiłam dla niego. Dla niego poniewierałam się w błocie, wszystko zostawiłam za sobą i nie chciałam nic, tylko mieć spokój.

Potem usłyszałam, jak drzwi się otwierają. Poznałam, że to Lee, po jego oddechu. Podeszedł do łóżka i powiedział: “Płaszcz jest potrzebny. Proszę usiąść i zdjąć go.” Słyszałam, jak chrzęszczą te łuski w sienniku, kiedy zdejmował z niej płaszcz, i zaraz wyszedł. Tylko wziął ten płaszcz i wyszedł. To był płaszcz Vana.

Tyle już się nachodziłam po tym domu nocą przy tych mężczyznach tam... mężczyznach, którzy żyli z ryzyka Lee, ale w razie wpadki palcem by nie kiwnęli w jego obronie... że aż mogłam każdego poznać po sposobie oddychania, no a Wytrzeszcza poznałam tym bardziej po zapachu tego paskudztwa na włosach. Tommy laził za nim. Wszedł za Wytrzeszczeni i spojrzał na mnie, i widziałam jego oczy jak u kota. A potem te oczy odeszły i wyczułam, że przykucnął obok mnie, i usłyszeliśmy Wytrzeszcza od strony łóżka, gdzie ten facet chrapał i chrapał.

Słyszałam tylko cichy szmer łupin w sienniku, więc wiedziałam, że jeszcze nic się nie stało, i zaraz Wytrzeszcz wyszedł, i Tommy chyłkiem za nim, a ja stałam, dopóki nie usłyszałam, że oni poszli do ciężarówki. Wtedy podeszłam do łóżka. Dotknęłam jej, a ona zaczęła się szamotać. Spróbowałam zasłonić jej usta ręką, żeby nie narobiła hałasu, ale i tak zachowywała

się cicho. Leżała i tylko miotła się, i kręciła głową z boku na bok, i zaciskała na sobie płaszcz. “Ty głupia – mówię jej. – To przecież ja, kobieta.”

– Ale ta dziewczyna... – powiedział Horace. – Jej się nic nie stało. Na drugi dzień rano, kiedy wracała pani do domu po butelkę dla dziecka, zobaczyła ją pani i wiedziała, że jej się nic nie stało.

Z pokoju był widok na rynek. Horace widział przez okno młodych mężczyzn na dziedzińcu przed sądem, grających w cetno czy lichu, widział wozy, jak przejeżdżały, i zaprzęgi uwiązane przy słupach i słyszał kroki i głosy ludzi na powolnym, opieszalym chodniku poniżej okna – ludzi, którzy kupowali dobre rzeczy, żeby je zabrać do domu i zjeść przy spokojnych stołach.

– Pani wie, że jej się nic nie stało.

W ten wieczór Horace pojechał do siostry wynajętym samochodem; nie zatelefonował przedtem. Pannę Jenny zastał w jej pokoju.

- No – powiedziała. – Narcissa będzie...
- Nie chcę się z nią widzieć – powiedział Horace. – Ten jej miły, dobrze wychowany młody człowiek. Ten jej dżentelmen z Virginii! Ja wiem, dlaczego on nie wrócił.
- Kto? Gowan?
- Tak. Gowan. I, na Boga, lepiej, żeby nie wracał. Na Boga, kiedy pomyślę, że miałem sposobność...
- Ale co? Co on takiego zrobił?
- Tamtego dnia zawiózł tam głupią małą dziewczynę i upił się, a potem uciekł i ją zostawił. Oto co zrobił. Gdyby nie ta kobieta... I kiedy pomyślę, że takie typy chodzą po ziemi bezkarnie tylko dlatego, że mają modnie skrojone ubrania i że przeszli przez zadziwiające doświadczenia studiów w Virginii... W byle pociągu czy w byle hotelu, na ulicy; wszędzie, wyobraża pani sobie...
- Aha – powiedziała Panna Jenny. – W pierwszej chwili nie wiedziałam, o kogo tak się boisz. No – zmieniła temat. – Przypominasz sobie ten ostatni raz, kiedy on tu był po twoim przyjeździe? Kiedy nie chciał zostać na kolacji i pojechał do Oxford?
- Właśnie. I robi mi się...
- Poprosił wtedy Narcisę o rękę. A ona odpowiedziała, że jedno dziecko jej wystarczy.
- Zawsze mówiłem, że Narcissa jest bez serca. Nie zadowoli się niczym mniej niż zniewagą.
- Więc on się wściekł i powiedział, że pojedzie do Oxford, gdzie jest kobieta, której prawdopodobnie nie będzie wydawał się śmieszny; coś w tym rodzaju. No – spojrzała na Horace'a przyciskając podbródek do szyi, żeby zobaczyć go znad okularów. – A ja powiem, że mężczyzna-ojciec to dziwny stwór, ale niech tylko mężczyzna zacznie mieć coś do powiedzenia w sprawach kobiety, która nie jest jego córką czy żoną... Co to jest takiego, co każe mężczyźnie myśleć, że kobieta, którą poślubił lub spłodził, mogłaby zejść na złe drogi, ale wszystkie inne, których ani nie zaślubił, ani nie spłodził, z reguły na złe drogi zejść muszą?
- Właśnie – powiedział Horace – dzięki Bogu, że Mała Belle nie jest moją rodzoną córką. Mogę się pogodzić z tym, że ona od czasu do czasu siłą rzeczy spotka

jakiegoś łajdaka, ale ciarki mnie przechodzą, kiedy pomyślę, że w każdej chwili może się w coś wpakować z głupcem.

– No więc, jak zamierzasz na to zaradzić? Wszczęć kampanię policyjną?

– Zrobię to, co ona powiedziała; postaram się o uchwalenie ustawy zobowiązującej wszystkich bez wyjątku do zastrzelenia każdego mężczyzny poniżej lat pięćdziesięciu, który produkuje, kupuje czy sprzedaje whisky, czy choćby myśli o whisky... Łajdaka mogą znieść, ale kiedy pomyślę, że może być na łasce byle głupca...

Wrócił do miasta. Noc była ciepła, mroki pełne

ćwierkania młodziutkich cykad. Z mebli używał teraz tylko łóżka, krzesła i biurka nakrytego ręcznikiem, na którym leżały szczotki, zegarek, fajka i kapciuch z tytoniem i stała oparta o książkę fotografia jego pasierbicy, Małej Belle. Szklista powierzchnia odbijała światło. Zaczął przestawiać fotografię, aż "wreszcie twarz Małej Belle zrobiła się zupełnie wyraźna. Stanął przed nią i patrzył na tę twarz śliczną, nieodgadnioną, na oczy nawet z martwej tektury patrzące nie na niego, tylko na coś poza jego ramieniem. Myślał

o oplecionej dzikim winem altanie w Kinston, o letnim zmierzchu i o szeptach ciemniejących w ciszę, gdy się zbliżał – chociaż nie zamierzał im obojgu, jej, szkodzić, chociaż, Bóg świadkiem, chciał dla niej jak najlepiej; myślał o tych głosach przygasłych w błady szmer jej białej sukienki, o tym delikatnym a natarczywym, ssącym szepcie zaciekawionego małego ciała, którego nie spłodził, o tej dziewczęcej, delikatnej a fermentującej, kipiącej wspólnocie uczuć z rozkwitłym dzikim winem.

Drgnął nagle. Jak gdyby samowolnie fotografia – oparta o książkę zbyt lekko – osunęła się trochę niżej. Zobaczył ją zamazaną odbłaskiem światła jak coś dobrze znanego, co raptem znalazło się pod zmaconą, chociaż czystą wodą. I patrzył z jakąś spokojną zgrozą i z rozpaczą – na tę twarz nagle starszą w grzechu, niż on sam był teraz czy kiedykolwiek, na tę twarz raczej zamgloną niż śliczną, oczy raczej zagadkowe niż łagodne. Sięgając po fotografię potracił ją i przewrócił; ale potem znowu ta twarz, -ze sztywną parodią umalowanych ust, dumiała, czule zapatrzona poza jego ramię. Leżał w ubraniu na łóżku, przy zapalonym świetle, dopóki nie usłyszał, że zegar na gmachu sądu wybija godzinę trzecią. Wtedy wstał, włożył do kieszeni zegarek i kapciuch z tytoniem i wyszedł z domu.

Musiał przejść trzy czwarte mili. W poczekalni na stacji paliła się jedna słaba żarówka. Nie było nikogo oprócz mężczyzny w kombinezonie, ze zwiniętym

płaszczem pod głową chrapiącego na ławce, i kobiety w perkalowej sukni, w brudnym szalu i w nowym kapeluszu zdobnym w sztywne, martwe kwiaty, nasadzonym rzetelnie, niezgrabnie. Kobieta siedziała z głową pochyloną, z rękami skrzyżowanymi na owiniętej w papier paczce na kolanach, z wiklinowym kuferkiem u stóp; może też spała. W poczekalni Horace stwierdził, że zapomniał wziąć z domu fajkę.

Gdy przyjechał pociąg, Horace wałęsał się tam i z powrotem po zasypanym żużłami peronie. Mężczyzna i kobieta, on niosąc swój pomięty płaszcz, ona – paczkę i kuferki, wsiedli. Wsiadł za nimi do wagonu, rozbrzmiewającego chrapaniem, pełnego ciał, które jakby w wyniku jakiejś niespodziewanej a gwałtownej zagłady chybotwały się, z głowami zwisły mi, z ustami otwartymi i szyjami wysuniętymi, zdawałoby się, pod pchnięcie nożem, i do połowy tarasowały przejście.

Drzemał. Pociąg turkotał, zatrzymywał się, trząsał, a on budził się i drzemał znowu. Aż przez kogoś wytrącony ze snu w pierwsnocy brzask, ocknął się na dobre wśród nie ogolonych, nabrzmałych twarzy, lekko przemytych, jakby powleczonych przedśmiertną bielą ofiar całopalnych – twarzy o mrugających, martwych oczach, w które tajemniczymi, mętnymi falami powracała już osobowość. Wysiadł, zjadł śniadanie i przesiadł się do innego pociągu, do wagonu, gdzie beznadziejnie zawodziło jakieś dziecko; deptając po chrupkich łupinach fistaszków, przeszedł w Stę-chłym odorze amoniaku na koniec wagonu i znalazł sobie miejsce przy jakimś mężczyźnie. Ale po chwili zobaczył, jak ten mężczyzna schyla się i spluwa sokiem tytoniowym między kolana. Podniósł się szybko i poszedł dalej, do wagonu dla palących. Tu również było pełno. Otwarte drzwi pomiędzy tym wagonem a wagonem dla Murzynów huśtały się na zawiasach. Stał w przejściu i patrzył tam na coraz węższy szpaler zielonych pluszowych oparc, nad którymi chwiały się równo kule armatnie w kapeluszach i zza których podmuchy rozmów i śmiechów leciały do tyłu i utrzymywały w ciągłym ruchu sine, kwaskowate, powietrze w jego wagonie, gdzie, spluwając w przejście, siedzieli biali.

Znów się przesiadł. Połowę pasażerów na peronie stanowili młodzi chłopcy w studenckich ubraniach, z tajemniczymi znaczkami na koszulach i kamizelkach oraz dwie dziewczyny o umalowanych twarzyczkach i w szatkach kusych, jaskrawych, jak dwa identyczne sztuczne kwiaty otoczone rojem jasnych, niespokojnych pszczoł. Gdy przyjechał pociąg, zaczęli, rozmawiając i śmiejąc się wesoło, pchać się naprzód, odtrącać niegrzecznie ludzi starszych, trzaskać podnoszonymi siedzeniami, aż usadowili się i

jeszcze roześmiani patrzyli zimno, jak przez wagon idą trzy niemłode kobiety i rozglądają się w tłoku na prawo i lewo, szukają wolnych miejsc.

Te dwie dziewczyny siedziały razem, zdjęły już, jedna beżowy, druga niebieski kapelusz, i podnosząc smukłe, ładne ręce, poprawiały sobie muśnięciami palców gładko uczesane włosy, co widać było między pochylonymi ku nim głowami i rozstawionymi łokciami dwóch młodzieńców wiszących nad oparciem tego siedzenia, w otoczeniu barwnych wstążek na kapeluszach wyżej i niżej, w zależności od, tego, czy ich właściciele siedzieli na siedzeniach, czy na poręczach siedzeń, czy stali w przejściu; po chwili wśród tych kapeluszy ukazała się czapka konduktora, który przepychał się między nimi, żałośnie, z rozdrażnieniem podśpiewując jak ptak:

– Bilety, proszę o bilety!

Przez chwilę trzymali go pomiędzy sobą, tak że była widoczna tylko jego czapka. Potem dwaj z nich prześliznęli się szybko do tyłu, na siedzenie za plecami Horace'a. Oddychali głośno. Na przedzie wagonu szczęknęły szczypce konduktora dwa razy. Konduktor przeszedł do tyłu.

– Bilety – podśpiewywał – bilety!

Wziął bilet Horace'a i zatrzymał się przy tych dwóch młodych.

– Pan już wziął mój bilet – powiedział jeden. – Tam.

– Gdzie pana kwitek? – zapytał konduktor.

– Pan nam nie dał. Ale zabrał pan nasze bilety. Mój bilet miał numer... – powtórzył numer płynnie, szczerze, życzliwym tonem. – Czy zauważyłeś numer swojego biletu, Shack?

Ten drugi też wyrecytował numer szczerze, życzliwym tonem.

– Z pewnością ma pan nasze bilety. Niech pan sprawdzi. – I zaczął gwizdać przez zęby niemelodyjnie urywek jakiejś melodii do tańca.

– Czy ty jadasz w Gordon Hall? – zapytał pierwszy.

– Nie. Śmierdzi mi z ust od urodzenia.

Konduktor poszedł dalej. Gwizd brzmiał coraz głośniej, młodzieniec walił się rękami po kolanach i wykrzykiwał dla podkreślenia rytmu: "Da-da-da", po czym po prostu rozwrzeszczał się zawrotnie, bez sensu. Słuchając tego wrzasku Horace czuł się tak, jakby siedział przed stertą zadrukowanych kartek przewracanych w szalonym tempie i czytał je na wrywki; przy czym pozostawał mu tylko szereg skojarzeń niejasnych, ni w

pięć, ni w dziewięć.

- Bez biletu przejechała tysiąc mil.
- I Marge też.
- I Beth też.
- Da-da-da!
- I Marge też.
- Przedziurkuję bilet swój w noc piątkowi-
- liuuuu!
- Czy wątróbki lubisz smak?
- Nie sięgam aż tak.
- liuuuu!

Gwizdali uderzając obcasami o podłogę coraz głośniej i głośniej, wykrzykując „Da-da-da”. Ten pierwszy pchnął oparcie siedzenia tak energicznie, że trzepnęło Horace'a w głowę. Wstał.

- Chodź – powiedział. – On już poszedł.

I znów Horace poczuł trzepnięcie odskakującego siedzenia, a potem patrzył, jak ci dwaj wracają przez wagon do swojej gromady blokującej przejście i jak jeden z nich kładzie zuchwałą, szorstką dłoń na jednej z podniesionych ku nim tych dziewczęcych jaskrawych, gładkich twarzątek. Za nimi wszystkimi stała przyciśnięta do siedzenia wieśniaczka z niemowlęciem na ręku. Od czasu do czasu oglądała się na wolne miejsca, do których dostać się nie mogła.

W Oxford Horace wysiadł w cały ich tłum na peronie – w jasnych sukienkach, bez kapeluszy, z książkami pod pachą albo bez książek, wśród rojów kolorowych koszul, grupkami nikomu nie dającymi przejść, te obiekty dorywczych, szczeniackich umizgów powoli szły pod górę w kierunku uczelni, trzymały swoich chłopców za rozhuśtane ręce, kołysały bioderkami, patrzyły na Horace'a zimno, obojętnie, gdy schodził z chodnika, żeby je wyminąć.

Na szczycie wzgórza był duży gaj, w którym rozchodziły się trzy aleje i za którym przeświecały wśród zieleni budynki z czerwonej cegły i z szarego kamienia, skąd już dolatywał czysty sopran dzwonu. Procesja rozlała się teraz w trzy strumienie, które zwięźzały się raptownie tam, gdzie szły opieszale pary, z przypadkowym a ogromnym, bezcelowym, dziecinnym zapamiętaniem trzymając się za rozhuśtane ręce, krocząc

zygzakami, wpadając na siebie i popiskując wtedy jak szczeniaki.

Szersza aleja prowadziła do urzędu pocztowego. Horace wszedł i czekał, dopóki przy okienku nie było nikogo.

– Szukam pewnej panienki, panny Temple Drake. Minąłem się z nią chyba, prawda?

– Jej tu już nie ma – odpowiedział urzędnik. – Wyjechała może ze dwa tygodnie temu.

Był młody, miał bezmyślną, gładką twarz, okulary

I w rogowej oprawie i bardzo starannie uczesane włosy. Po długiej chwili Horace usłyszał własny głos, zapytujący spokojnie: – Nie wie pan, dokąd ona wyjechała?

Urzędnik spojrzał na niego. Wychylił się z okienka i szepnął:

– Czy pan także jest detektywem?

– Tak – odpowiedział Horace. – Tak. Nieważne zresztą. To nieważne.

Potem spokojnie zszedł ze schodków, znowu w blask słońca. Stał tam, gdy z obu stron one go mijaly nieprzerwanym strumieniem – gdy szły w folklorowych sukienkach z krótkimi rękawkami, Lśniącowłose, i przecież znał tak dobrze to ich jednakowe, chłodne, niewinne, nieustraszone spojrzenie nad jednakową, szaleńczo czerwoną szminką na ustach; jak chodząca muzyka, jak miód sączący się w słonecznym blasku, pogańskie i przelotne, i pogodne, nieuchwytnie przypominały w słońcu wszystkie stracone dni i rozkosze, których zaznać się nie zdążyło. Jasność rozedrgana upałem otwierała prześwity wśród miraży – budowli z kamienia czy cegły, kolumn bez wierzchołków, wież jak gdyby w powolnej ruinie ponad zieloną chmurą liści ulatujących z wiatrem południowo-zachodnim – miraży złowieszczych, nieważkich, kojących – a on stał tam i słuchał rzewnych klasztornych dźwięków dzwonu i zadawał sobie pytanie: “Co teraz! Co teraz?” – I odpowiedział sobie: “No nic. Nic. To skończone.”

Wrócił na stację, chociaż miał jeszcze godzinę do odejścia pociągu; ale już trzymał nabitą tytoniem, tyle że jeszcze nie zapaloną fajkę z kaczana. W toalecie zobaczył imię i nazwisko nabazgrane na plugawej, wypłamionej ścianie: “Temple Drake.” Odczytał to spokojnie, pochylając głowę, wolno w palcach obracając nie zapaloną fajkę.

Na pół godziny przed odejściem pociągu one zaczęły się zbierać; bez pośpiechu schodziły ze wzgórze i gromadziły się na peronie, i rozbrzmiewały ich cieńkie, wesołe, chrypliwe śmieszki, i jaśniały jednakowo ich nogi, i jaskrawiły się kuse sukienki, i nie-

ustanna była ta niezdarna, zmysłowa i bezcelowa ruchliwość młodości.

W pociągu powrotnym był wagon sypialny. Horace przeszedł tam przez wagon zwykły. Zastał tylko jednego pasażera; przy oknie w połowie wagonu siedział ktoś rozparty, z gołą głową, z łokciem na parapecie okna, z nie zapalonym cygarem w ozdobionej pierścieniem ręce. Gdy pociąg ruszył mijając połyskliwe korony drzew w ich biegu do tyłu, ów pasażer wstał i ruszył do wagonu dziennego. Niósł brudny, jasny pilśniowy kapelusz i przerzucony przez ramię płaszcz. Kącikiem oka Horace zobaczył jego rękę, grzebiącą w kieszeni na piersi i zauważył ostrą linię włosów nad szerokim, pulchnym, białym karkiem. "Równy jak gilotyna" – pomyślał patrząc na tego człowieka, który przecisnął się obok tragarza w przejściu i w chwili wkładania kapelusza zniknął mu tak z oczu, jak i z myśli. Pociąg pędził, kołysał się na zakrętach i migwały rzadko stojące domy, migwały wykopy i doliny, gdzie wachlarzowato przetaczały się rzędy młodej bawełny.

Pociąg jechał coraz wolniej, szarpnął, rozległy się cztery gwizdki. Ten w brudnym kapeluszu wrócił do wagonu wyjmując z kieszeni na piersiach cygaro. Szedł szybko i nagle spojrzął na Horace'a. Z cygarem w palcach zwolnił kroku. Pociąg znów szarpnął. Ten człowiek złapał za oparcie siedzenia i stanął przed Horace'em.

– Czyżby pan sędzia Benbow? – zapytał.

Horace patrzył na ogromną, nalaną twarz, wolną od jakichkolwiek śladów wieku czy myśli – na wspaniałe półcie mięsa z obu stron małego, tępo zakończonego nosa, który z profilu wyglądał tak, jakby sterczał zza płaskowyzu – a przecież z tym wszystkim była to twarz subtelnie paradoksalna, jak gdyby Stwórca uzupełnił swój żart rozświetlając ten i szczodry wkład kitu czymś pierwotnie przeznaczonym dla jakiegoś słabego, chciwego stworzonka, jak wiewiórka czy szczur.

– Mam przyjemność z panem sędzią Benbow? – zapytał ów człowiek wyciągając rękę. – Jestem senator Snopes. Claence Snopes. .

– Aha – powiedział Horace. – Owszem. Dziękuję – powiedział. – Ale obawiam się, że pan mnie tak tytułuje trochę przedwcześnie. Mam tylko nadzieję...

Snopes machnął mu cygarem przed nosem i wyciągnął drugą rękę, dłoń zabarwioną przy środkowym palcu zielonkawo od ogromnego pierścienia. Horace potrząsnął nią i wyzwolił swoją rękę.

– Zaświtało mi, że to pan, od razu kiedy wsiadł pan w Oxford – powiedział Snopes

– ale... Mogę usiąść? – zapytał i nie czekając na odpowiedź odepchnął nogą kolano Horace'a. Rzucił na siedzenie swój tandetny granatowy płaszcz z zatłuszczonym aksamitnym kołnierzem i usiadł akurat w chwili, gdy pociąg zatrzymał się na jakiejś stacji. – Właśnie, zawsze radość dla mnie spotkać kogoś z chłopców...

Wychylił się przed Horace'em i wyjrzał przez okno na brudną stacyjkę, na tablice ogłoszeniowe z tajemniczym jakimś ogłoszeniem wypisanym kredą, na ciężarówkę z drucianym kojcem, w którym siedziały dwie przygnębione, samotne kury, na paru opartych wygodnie o ścianę i żujących prymkę mężczyzn w kombinezonach.

– Faktycznie, pan już nie jest w moim hrabstwie, ale, jak to ja zawsze powiadam, przyjaciele to przyjaciele, i kropka, gdzieby nie głosowali. Bo przyjaciel to przyjaciel i czy może mi się przysłużyć, czy nie... – z nie zapalonym cygarem w palcach odsunął się od okna. – Pan nie jedzie teraz z naszego wielkiego miasta.

– Nie – powiedział Horace.

– Ilekroć pan będzie w Jackson, z taką chęcią pana przenocuję, jakbyś pan jeszcze był w moim hrabstwie. Jak to ja zawsze powiadam, każdy musi mieć czas dla swoich starych przyjaciół. Zaraz, zaraz, więc pan jest teraz w Kinston, co? Znam obu waszych senatorów. Świetne chłopcy, jeden w drugiego, tylko że nie pamiętam ich nazwisk.

– Sam ich nie pamiętam – powiedział Horace. Pociąg ruszył. Snopes wychylił się i popatrzył w głąb przejścia. Miał na sobie popielate ubranie, odprasowane, ale nie oczyszczone.

– No – powiedział. Wstał i wziął płaszcz. – Więc ilekroć pan będzie w mieście... Teraz jedzie pan do Jefferson, co?

– Tak – odpowiedział Horace.

– No, to się jeszcze zobaczymy.

– Nie chce pan siedzieć tutaj? – zapytał Horace. – Tu przecież wygodniej.

– Idę na cygaro – powiedział Snopes machając cygarem. – No, to cześć.

– Może pan tu palić. Nie ma pań.

– Jasne – powiedział Snopes. – Zobaczymy się w Holly Springs.

Z cygarem w ustach ruszył z powrotem do wagonu dziennego i zniknął Horace'owi z oczu. Horace przypomniał go sobie sprzed lat dziesięciu – niezgrabnego, tępego młokosa, syna właściciela restauracji, członka rodziny, która od dwudziestu lat

stopniowo się przenosiła z okolic Siedziby Starego Francuza do miasteczka Jefferson; rodziny dostatecznie rozgałęzionej, żeby wybrać go do ciała ustawodawczego z pominięciem wyborów publicznych.

Siedział nieruchomo z zimną fajką w ręku. I nagle wstał, i przeszedł do wagonu dla palących. Zobaczył tam Snopesa w przejściu, opierającego się udem o poręcz kanapki zajętej przez czterech mężczyzn i żywo gestykulującego nie zapalonym cygarem. Podchwycił jego spojrzenie i skinął na niego z platformy. Po chwili Snopes podszedł, z płaszczem przerzuconym przez rękę.

– Co słyhać w stolicy? – zapytał Horace.

Snopes zaczął mówić swym szorstkim, stanowczym głosem. Stopniowo wyłaniał się obraz głupich, drobnych machinacji, które zwykle miały coś głupiego, drobnego na celu, a których widownią były przeważnie pokoje hotelowe, gdy znienacka wpadali tam, E torsami usztywnionymi liberią, hotelowi gońcy, owiewani dyskretnym podmuchem damskich spódnic w zamykających się szybko drzwiach szaf.

– Ilekroć pan będzie w mieście... – powiedział Snopes. – Zawsze miło mi oprowadzać chłopców. Pyta pan kogoś z tamtejszych o cokolwiek i każdy tylko się dziwi, że to, o co pan pyta, w ogóle istnieje. Ale Cla'ence Snopes zawsze wie, gdzie co jest. Podobno ma pan dosyć ciężką sprawę w Jefferson.

– Jeszcze trudno powiedzieć. – I Horace przystąpił do rzeczy. – Byłem dziś po drodze w Oxford na uniwersytecie i rozmawiałem z koleżankami mojej pasierbicy. Jednej z jej najserdeczniejszych przyjaciółek już tam nie ma. Panią z Jackson, nazywa się Temple Drake.

Snopes patrzył na niego mętными, blisko osadzonymi oczkami.

– Aha, ta mała sędziego Drake – powiedział. – Ta, co uciekła.

– Uciekła? – zapytał Horace. – Uciekła do domu, prawda? Dlaczego? Żle się uczyła?

– Nie wiem. Kiedy to wyszło w gazecie, ludzie myśleli, że uciekła z jakimś gachem. Moda na te małżeństwa koleżeńskie.

– Ale kiedy wróciła do domu, chyba już wiedzieli, że to nie to? No, no, Belle będzie zdumiona. Co ona teraz robi? Obją się po Jackson pewnie?

– Jej tam nie ma.

– Nie ma? – zapytał Horace. Czuł na sobie wzrok Snopesa. – A gdzie jest?

– Pappio wysłał ją z ciotką gdzieś na północ. Do Michigan. Podali w gazecie parę dni później.

– Aha – powiedział Horace. Trzymał jeszcze zimną fajkę i stwierdził, że szuka w kieszeni zapalek.

Odetchnął głęboko. – Ta gazeta w Jackson to zupełnie dobra gazeta. Uważana za najbardziej wiarygodną gazetę w całym stanie, prawda?

– Jasne – powiedział Snopes. – Czy pan był w Oxford po to, żeby dowiedzieć się, gdzie ona jest?

– Nie, nie. Po prostu spotkałem przypadkowo przyjaciółkę mojej córki i stąd wiem, że jej tam już nie ma. No, zobaczymy się w Holly Springs.

– Jasne – powiedział Snopes.

Horace wrócił do sypialnego wagonu, usiadł i zapalił fajkę.

Kiedy pociąg zwalniał w Holly Springs, wyszedł na platformę, ale szybko się cofnął. Z sąsiedniego wagonu właśnie wychodził Snopes; służący kolejowy ze stołkiem w ręce otworzył drzwi wagonu i opuścił stopień. Snopes wysiadł. Wyjął coś z kieszeni i dał temu Murzynowi.

– Masz, George – powiedział. – Zapal sobie cygaro.

Horace wysiadł. Snopes oddalał się w przybrudzonym kapeluszu, sterzącym o pół głowy wyżej nad innymi. Horace spojrział na służącego.

– On to panu dał?

Murzyn podrzucił cygaro na dłoni. Włożył je do kieszeni.

– Co pan z nim zrobi? – zapytał Horace.

– Ja tam bym go nie dał nikomu znajomemu – powiedział Murzyn.

– Często on taki hojny?

– Kilka razy do roku. Chyba to zawsze ja się na niego natykam... Dziękuję panu!

Horace zobaczył, że Snopes wchodzi do poczekalni. Brudny kapelusz i szeroki kark znów zniknęły mu z oczu i z myśli. Znów nabił fajkę.

Spacerując po ulicy w pobliżu stacji usłyszał, jak nadjeżdża pociąg do Memphis. Gdy wrócił na stację, ten pociąg stał już przy peronie. Przed otwartymi drzwiami wagonu Snopes rozmawiał z jakimś dwoma młodymi ludźmi w nowych słomkowych kapeluszach, przy czym zarówno w pochyleniu jego tęgich ramion, jak i w ruchach było coś nieuchwytnie meńtorskie-go. Pociąg gwizdnał. Młodzieńcy wskoczyli do wagonu.

Horace wycofał się za węgiel stacyjnego budynku.

Potem idąc do swojego pociągu zobaczył, że Snopes idzie przed nim i wsiada do wagonu dla palących. Wystukał popiół z fajki, wsiadł do innego wagonu i zajął miejsce na jego końcu, tyłem do kierunku jazdy.

XX

– Gdy Horace wychodził ze stacji w Jefferson, zatrzymał się przy nim jakiś samochód jadący w stronę śródmieścia. Była to taksówka, którą on zwykle jeździł do siostry.

– Tym razem podwożę pana za darmo – powiedział kierowca.

– Bardzo dziękuję – powiedział Horace.

Wsiadł. Wjechali na rynek o godzinie, jak wskazywał zegar na gmachu sądu, ósmej dwadzieścia, ale w jej oknie w hotelu nie było światła.

– Może dziecko śpi – powiedział Horace. – Zechce mnie pan tylko podrzucić do hotelu.

Zorientował się, że kierowca patrzy na niego z dyskretną ciekawością.

– Nie było pana dziś w mieście – powiedział kierowca.

– Nie było mnie – potwierdził Horace. – Ale co? Stało się tu coś dzisiaj?

– Ona już nie mieszka w hotelu. Słyszałem, że pani Walker zabrała ją do więzienia.

– Och – powiedział Horace. – Wysiadam przed hotelem.

W hallu nie zastał nikogo. Dopiero po chwili ukazał się właściciel, człowiek szpakowaty, z wykałaczką w zębach, w kamizelce rozpiętej na schludnym brzuszku. Kobiety w hotelu nie było.

– To te kościelne panusie – powiedział właściciel hotelu. Zniżył głos trzymając wykałaczkę już w palcach. – Przyszły dziś rano. Cała ich delegacja. Wie pan chyba, jak to jest.

– Czy to znaczy, że pan pozwala Kościołowi baptystów dyktować, jakich pan tu może mieć gości?

– To te panusie. Wie pan, jak to jest, kiedy one już raz się do czegoś przyczepią. Mężczyzna po prostu musi ustąpić i zrobić, co mówią. Oczywiście, jeżeli chodzi o mnie...

– Boże, gdyby tu był mężczyzna...

– Psst! – powiedział właściciel. – Wie pan, jak to z nimi jest...

– Ale oczywiście mężczyzny tu nie było, żeby... I pan siebie uważa za mężczyznę, pan, który pozwala...

– Mam swoją pozycję i chcę się na niej utrzymać – wyjaśnił właściciel hotelu pojednawczo – skoro już o tym mowa... – Cofnął się o krok do kontuaru. – I chyba mogę sam decydować, kto będzie mieszkał w moim domu, a kto nie – powiedział. – I znam jeszcze niejednego takiego, nawet nie w odległości jednej mili, który najlepiej zrobi, jak weźmie przykład ze mnie. Nikomu nie jestem zobowiązany. W każdym razie nie panu.

– Gdzie ona teraz jest? Czy może wypędzili ją z miasta?

– To już nie moja sprawa, dokąd kto jedzie, kiedy się stąd wymelduje. – Właściciel odwrócił się plecami. I dodał: – Wydaje mi się, że ktoś jednak dał jej dach nad głową.

– Tak – powiedział Horace. – Chrześcijanie. Chrześcijanie.

Ruszył do drzwi. Właściciel hotelu przywołał go z powrotem. Wyjął jakiś papier z szafki na listy. Więc on wrócił do kontuaru. Ta kartka już na kontuarze leżała. Właściciel hotelu, z wykałaczką sterczącą mu z ust, oparł się o kontuar łokciami,

– Powiedziała, że pan to zapłaci – rzekł.

Więc Horace zapłacił rachunek, odliczając pieniążki, dźwierząc ręką.

Wkroczył na dziedziniec więzienia, podszedł do drzwi i zapukał. Po chwili przysłała z latarką jakaś chuda kobieta w męskim płaszczu, który przytrzymała na piersi. Zerknęła na niego i zanim zdążył się odezwać, powiedziała:

– Pan pewno szuka pani Goodwin.

– Tak. Ale skąd... skąd...

– Pan jest adwokatem. Już tu pana widziałam. Ona jest tutaj. Śpi teraz,

– Dziękuję – powiedział Horace. – Dziękuję. Wiedziałem, że ktoś... Nie mogłem uwierzyć w to, że...

– Zawsze przecie u mnie znajdzie się łóżko dla matki z dzieckiem – powiedziała kobieta. – Mnie tam nie obchodzi, co mówi Ed. Chce pan od niej czegoś specjalnie? Bo ona śpi teraz.

– Nie, nie. Chciałem tylko... Kobieta patrzyła na niego znad latarki.

– To nie trzeba jej dziś budzić. Z rana pan tu przyjdzie i postara się dalej o jakiś pensjonat. Nie pali się.

Nazajutrz po południu, znów wynajętym samochodem, pojechał do siostry.

Powiedział jej, co się stało.

– Teraz muszę ją wziąć do domu.
– Nie do mojego domu – powiedziała Narcissa. Spojrzał na nią. Powoli i starannie zaczął nabijać fajkę.

– Nie ma wyboru, moja droga. Chyba sama to widzisz.
– Nie w moim domu – powiedziała Narcissa. – Myślałam, żeśmy to już uzgodnili. Zapalił fajkę i starannie położył zapałkę na palenisku kominka.
– Czy nie zdajesz sobie sprawy z tego, że ją wyrzucili na ulicę i że...
– To dla niej raczej nie jest szczególny cios. Do ulicy powinna być przyzwyczajona.

Spojrzał na Narcisę. Włożył fajkę w usta i starannie rozżarzył cały tytoń, patrząc, jak raka mu drży na cybuchu.

– Posłuchaj. Jutro prawdopodobnie każą jej wyjechać z miasta. Tylko dlatego że przypadkiem nie wyszła za mąż za człowieka, którego dziecko nosi po tych uświęconych chodnikach. Ale kto im o tym doniósł? To właśnie chcę wiedzieć. Przecież w Jefferson nikt o tym nie wiedział z wyjątkiem...

– Ja dowiedziałam się o tym od ciebie – powiedziała Panna Jenny. – Ale, Narcisso, dlaczego...

– Nie w moim domu – powtórzyła Narcissa.
– No – powiedział Horace. Zaciągnął się tak, żeby wyrównać żar w fajce. – To oczywiście rozstrzyga sprawę – powiedział cierpko, niedbale.

Narcissa wstała.
– Zostaniesz na noc?
– Co? Nie. Nie. Będę... powiedziałem jej, że przyjdę po nią do więzienia i... – Posał fajkę. – No, nie sądzę, żeby to miało jakieś znaczenie. Mam nadzieję, że nie ma.

Zwrócona do niego, nie odchodziła.
– Zostaniesz czy nie?
– Nawet mógłbym jej skłamać, że nawaliła opona – powiedział. – Czas to ostatecznie wcale nie taka zła rzecz. Byle tylko wykorzystać czas w sposób właściwy, a rozciąga się jak guma, dopóki w którymś miejscu nie trzaśnie, no i już! Cała tragedia i rozpacz w dwóch maleńkich kłębuszkach pomiędzy kciukiem jednej i palcem wskazującym drugiej ręki.

– Zostaniesz czy nie zostaniesz, Horace? – zapytała Narcissa.

– Chyba zostanę – powiedział.

Leżał w łóżku. Leżał w ciemnościach już od godziny i gdy – raczej wyczuwalnie niż widzialnie – drzwi pokoju się otworzyły. Siostra. Podniósł się na

łokciu. Zaczęła przybierać wyraźniejszy kształt zbliżając się do łóżka.

Podeszła i spojrzała na niego. – Jak długo jeszcze zamierzasz to ciągnąć, Horace? – Tylko do rana – odpowiedział. – Wracam do miasta. Nie musisz widywać się ze mną. Stała przy łóżku nieruchomo. Po chwili zabrzmiał nad nim jej zimny, nieugięty głos. – Przecież wiesz, o czym mówię. – Przrzekani ci, że już jej nie wprowadzę do twojego domu. Chcesz, to przyślij tam Isoma, żeby ukrył się w kannach na klombie i śledził mnie. Milczała.

– Może masz coś przeciwko temu, że ja tam mieszkam? – zapytał.

– Nie obchodzi mnie, gdzie ty mieszkasz. Obchodzi mnie tylko, gdzie mieszkam ja. Mieszkam tutaj, w tym mieście. I będę musiała mieszkać tu nadal. Ty jesteś mężczyzną. Dla ciebie to nieistotne. Możesz wyjechać.

– Aha – powiedział.

Leżał spokojnie. Stała nad nim nieruchomo. Rozmawiali spokojnie, jak o deseniach tapety albo o doborze potraw.

– Czy nie rozumiesz, że to jest moje rodzinne miasto, w którym muszę żyć aż do śmierci? W którym się urodziłam. Nie obchodzi mnie, dokąd ty chodzisz i co robisz. Nie obchodzi mnie, ile masz kobiet i kim one są. Ale nie mogę dopuścić do tego, żeby mój brat zadawał się z kobietą, o której ludzie mówią. Wątpię, czy cokolwiek byś zrobił przez wzgląd na mnie. Musisz jednak mieć wzgląd na pamięć naszego ojca i naszej matki. Zabierz ją do Memphis. Mówią, że odmówiłeś poręczenia za tego człowieka, bo nie chciałeś zwolnienia go z aresztu. Zabierz ją do Memphis. Możesz dla niego wymyślić jakieś kłamstwo i o wyjeździe do Memphis również.

– Aha. Więc tak ty myślisz?

– Ja nic nie myślę na ten temat. W ogóle mnie to nie obchodzi. Ale ludzie w mieście myślą. Więc nieistotne, czy to prawda, czy nie. Dla mnie osobiście istotny jest tylko fakt, że codziennie zmuszasz mnie do mówienia kłamstw w twojej obronie. Wyjedź stąd, Horace. Każdy z wyjątkiem ciebie już by pojął, że to sprawa morderstwa z premedytacją.

– Z jej powodu, oczywiście. Zapewne i tak też mówią w tym swoim wszechmocnym odór sanctitatis. Czy już zaczęli mówić, że to ja zamordowałem?

– Według mnie nic nie zmienia fakt, kto zamordował. Chodzi o to, czy zamierzasz dalej mieszać się do tej sprawy? Teraz, kiedy ludzie już wierzą, że ty i ona zakradacie się nocą do mojego domu.

Jej zimny, nieugięty głos rzeźbił nad nim te słowa w ciemnościach. Przez okno z podmuchem ciemności dolatywały senne dysonanse cykad i świerszczy.

– A ty czy w to wierzysz? – zapytał.

– Nieistotne, w co ja wierzę. Wyjedź stąd, Horace. Proszę.

– Mam zostawić ją... ich, na pastwę losu?

– Weź adwokata, jeżeli on jeszcze upiera się, że jest niewinny. Ja zapłacę. Można znaleźć lepszego adwokata do spraw karnych, niż ty sam jesteś. Ona nie będzie wiedziała. Jej to nawet będzie obojętne. Czy nie rozumiesz, że ta kobieta cię zwodzi, żeby wydostać go z więzienia za darmo? Nie wiesz, że ma gdzieś ukryte pieniądze? Jutro wracasz do miasta, prawda? – Odwróciła się wtapiając w czerń. – Ale nie wyjeżdżaj przed śniadaniem.

Nazajutrz przy śniadaniu siostra zapytała:

– Kto będzie w tym procesie występował jako oskarżyciel?

– Prokurator okręgowy. Dlaczego pytasz? Zadzwoiła na służącą i kazała podać świeży chleb. Horace patrzył na nią.

– Dlaczego o to pytasz? – powtórzył i po chwili powiedział: – Cholerny mały pętał. – Mówił o prokuratorze okręgowym, który też wychował się w Jefferson i który razem z nimi obojgiem chodził do miejskiej szkoły. – Sądzę, że to on był sprężyną tej Sprawy przedwczoraj wieczorem. W hotelu. Wyrzucenie jej z hotelu dla nastawienia opinii, kapitał polityczny. Na Boga, gdybym wiedział, gdybym był pewny, że on to zrobił tylko po to, żeby wybrali go do Kongresu...

Po odejściu Horace'a Narcissa poszła na górę do pokoju Panny Jenny.

– Kto jest prokuratorem okręgowym? – zapytała.

– Znałaś go od urodzenia – powiedziała Panna Jenny. – Nawet głosowałaś na niego. Eustace Graham. Na co ci ta informacja? Czy rozglądasz się za następcą Gowana Stevensa?

– Po prostu byłam ciekawa – powiedziała Narcissa.

– Bzdura – zachnęła się Panna Jenny. – Ty nie jesteś ciekawa. Ciągłe tylko zaczynasz coś motać, a potem przestajesz, dopóki nie nawinie ci się coś innego.

Horace natknął się na Snopesa, ze szczękami popielatymi od pudru i w oparach zapachu brylantyny wychodzącego od fryzjera. W gors koszuli poniżej muszki Snopes miał wpiętą spinkę z imitacji rubinu, takiej jak w jego pierścieniu. Muszka była niebieska w białe groszki, te białe groszki okazywały się z bliska bardzo brudne; cały ten człowiek z karkiem wygolonym, w ubraniu odprasowanym i w połyskliwych butach emanował czymś, co kazało przypuszczać, że jest raczej oczyszczony na sucho niż umyty.

– No, panie sędzio – powiedział. – Słyszałem, że ma pan trochę kłopotu ze znalezieniem pensjonatu dla tej swojej klientki. Jak to ja zawsze powiadam... – pochylił się i odwracając swe rozlatane, małe oczy koloru błota, zniżył głos: – Dla Kościoła nie ma miejsca w polityce, a dla kobiet nie ma miejsca ani w polityce, ani w Kościele, a co dopiero w palestrze. Niech sobie baby siedzą w domu, gdzie i tak dosyć jest dla nich roboty, i niech nie bałaganią mężczyznę procesu w sądzie. Poza tym mężczyzna to też tylko człowiek i ma swoje sprawy, i nic nikomu do tego. Coś pan z nią zrobił?

– Ona jest w więzieniu – powiedział Horace. Powiedział to krótko i chciał iść dalej. Ale Snopes niby to niechący zastąpił mu drogę.

– Tak czy owak, wsadził pan kij w mrowisko. Ludzie mówią, że nie chciał pan dać Goodwinowi poręki, bo panu wygodnie, kiedy on siedzi...

Znów Horace spróbował iść dalej.

– Połowa kłopotów na tym padole jest przez baby, jak to ja zawsze powiadam. Ta dziewczyna też dobrze ujebała swojego papcia taką ucieczką. Coś mi się zdaje, że on słusznie postąpił, że ją wyprawił z naszego stanu.

– Tak – powiedział Horace sucho, z wściekłością.

– Bardzom rad, że podobno ten proces zapowiada się dobrze. Mówiąc między nami, chciałbym, żeby dobry adwokat wystrychnął tego prokuratora okręgowego na dudka. Tylko dać takiemu facetowi mały urząd w hrabstwie, a on od razu wyrasta z gaci. No, rad jestem, że pana spotkałem. Mam tu pewne interesy za miastem i na parę dni wyjeżdżam. Pan chyba nie wybiera się teraz w tamte strony?

– Co? – zapytał Horace. – Dokąd?

– Do Memphis. Nie załatwić tam panu czego?

– Nie – powiedział Horace.

Ruszył dalej. Kilka kroków przeszedł na oślep. Stąpał miarowo, zaczynając odczuwać ból w zaciśniętych szczękach, mijając ludzi, którzy go zagadywali, i nawet nie wiedząc o tym.

XXI

W miarę jak pociąg zbliżał się do Memphis, Virgil Snopes coraz bardziej przygasał i mówił coraz

mniej w przeciwieństwie do Fonza, który wyjadając makagigi z woskowanego papieru, ożywał się coraz bardziej, jak po zażyciu jakiegoś środka podniecającego, i zdawał się nie dostrzegać wprost odwrotnego nastroju przyjaciela. Nie przestawał też mówić, gdy z nowymi walizkami z imitacji skóry, w nowych kapeluszach przekrzywionych modnie na bakier nad ogolonymi karkami wysiedli z pociągu na dworcu Memphis. W poczekalni zapytał:

– No, to gdzie idziemy najpierw?

Virgil nie odpowiedział. Ktoś ich potrącił. Fonzo przytrzymał na głowie kapelusz.

– To gdzie idziemy? – zapytał, po czym spojrzał na Virgila, na jego twarz. – Co się stało?

– Nic się nie stało – powiedział Virgil.

– No, to gdzie idziemy? Ty już byłeś. Ja nie.

– Myślę, żeby się trochę porozglądać – powiedział Virgil.

Fonzo patrzył na niego porcelanowoniebieskimi oczami.

– Co cię ugryzło? W pociągu toś opowiadał, ile razy byłeś w tym Memphis. Żebyś tak zdrów był, jak ty nigdy nie...

Ktoś potrącił ich, rozdzielił; zaczął między nimi przepływać strumień ludzi; ściskając walizkę i kapelusz Fonzo przepchnął się z powrotem do przyjaciela.

– I jeszcze jak byłem! – powiedział Virgil patrząc wokół szklistym wzrokiem.

– No, to gdzie idziemy? Tam się otworzy aż jutro rano o ósmej.

– To do czego ci tak pilno?

– No, tu, na tej stacji nie mam zamiaru nocować... Co robiłeś, kiedy przyjeżdżałeś tu przedtem?

– Do hotelu się szło – powiedział Virgil.

– Do którego? Tu jest niejeden hotel. Myślisz, że tyle narodu zmieści się w jednym hotelu? Który to był hotel?

Virgil miał oczy też blado, porcelanowoniebieskie Patrzył wokoło szklistym wzrokiem.

– Hotel “Gayoso” – powiedział.

– No, to idziemy do niego – powiedział Fonzo. Ruszyli ku wyjściu. Jakiś człowiek spojrzał na nich

i krzyknął: “Taksówka!” Inny, w czerwonej czapce, usiłował wziąć od Fonza walizką.

– Uważaj pan – powiedział Fonzo zabierając mu walizkę z rąk.

Na ulicy więcej kierowców czekało do nich: “Taksówka!”

– Więc to jest Memphis – powiedział Fonzo. – Któreśdy teraz? – Nie usłyszał odpowiedzi. Rozejrzał się i zobaczył Virgila odchodzącego od jednego z kierowców. – Co ty...

– Tędy – powiedział Virgil. – To niedaleko.

To było półtorej mili. Od czasu do czasu przekładali walizki z ręki do ręki.

– Więc to jest Memphis – powiedział Fonzo. – Gdzie ja siedziałem przez całe życie?

Gdy wchodzili do “Gayoso”, odźwierny sięgnął po ich walizki. Wyminęli go szybko i weszli do hallu, ostrożnie stąpając po tafelkach podłogi. Virgil zatrzymał się.

– Chodź – powiedział Fonzo.

– Zaczekaj – powiedział Virgil.

– Myślałem, żeś tu był przedtem – powiedział Fonzo.

– A byłem. W tym tutaj za drogo. Będą chcieli dolara dziennie.

– No, to gdzie idziemy?

– Myślę, żeby się trochę porozglądać.

Wrócili na ulicę. Była godzina piąta. Rozglądając się szli z walizkami w rękach. Doszli tak do innego hotelu. Zajrzeli do hallu i zobaczyli marmury, miedziane spluwaczki, zapędzonych chłopców hotelowych, ludzi siedzących pośród palm.

– Ten tak samo niedobry – powiedział Virgil.

– No, to gdzie idziemy? Nie możemy przecież chodzić tam i na powrót przez całą noc.

– Chodź już stąd, z tej ulicy – powiedział Virgil -

Zboczyli z ulicy Głównej. Na następnym rogu Virgil znów skręcił.

– Spróbujemy tędy. Byle daleko od tych wielkich luster i czarnych małąp. Bo właśnie za to oni każą płacić.

– Dlaczego? Przecież to już mieli kupione, kiedyśmy tam weszli. Więc dlaczego my musimy za to płacić?

– A gdyby ktoś je potłukł, kiedyśmy tam byli, i nie mogliby go złapać, myślisz, że puściliby nas za darmo? Kazaliby nam zapłacić naszą część. O pół do szóstej wkroczyli w wąską, odrapaną ulicę drewnianych domów i podwórek pełnych rupieci. Po chwili doszli do jakiegoś dwupiętrowego domu na małym podwórku z trawnikiem. Wejście do domu osłaniała udająca ganek mała przybudówka z drewnianej gęstej kratki. Na schodkach siedziała tęga kobieta w luźnej sukni i patrzyła na dwa białe kudłate psy, które biegały po podwórku.

– Spróbujemy tutaj – powiedział Fonzo.

– To nie hotel. Gdzie masz wywieszkę?

– Jak to nie hotel? – zapytał Fonzo. – Hotel jak nic. Słyszał kto kiedy, żeby w pojedynkę mieszkać w dwupiętrowym domu?

– Nie możemy wejść tędy – powiedział Virgil. – Bo to tył. Nie widzisz tego wychodka? – Wskazał głową drewniane okratowanie.

– No to zajdziemy od frontu – powiedział Fonzo. – Chodź.

Przeczną przeszli na równoległą ulicę. Zobaczyli rząd salonów wystawowych z samochodami. Stanęli na środku jezdni trzymając walizki w prawych rękach.

– Żebym tak zdrów był, jakieś tu nigdy nie był – powiedział Fonzo.

– Wracajmy. To tam musi być front.

– Coś ty! Z tym wychodkiem przybudowanym do drzwi! – powiedział Fonzo.

– Możemy zapytać się tej pani.

– Kto może? Bo ja nie. Wrócili. Kobiety i psów nie było.

– No i widzisz – powiedział Fonzo. – Widzisz?

– Zaczekajmy trochę. Może ona wróci.

– Już prawie siódma godzina – powiedział Fonzo.

Postawili walizki przy ogrodzeniu. W górze zapalone już światła migotały w szeregu okien na tle wysokiego, pogodnego nieba zachodu.

– Szynka mi pachnie – powiedział Fonzo. Podjechała taksówka. Z taksówki wysiadła pulchna jasnowłosa kobieta, a za nią wysiadł mężczyzna. Patrzyli, jak ci dwoje

idą do domu i wchodzą za drewniane okratowanie. Fonzo wciągnął powietrze przez zęby.

- Niech mnie cholera, jeżeli oni nie... – szepnął.
- Może to jej mąż – powiedział Virgil. Fonzo podniósł swoją walizkę.
- Chodź.
- Zaczekaj – powiedział Virgil – daj im trochę czasu.

Czekali. Mężczyzna wyszedł, wszedł do taksówki i odjechał.

– To nie może być jej mąż. Ja bym jej nie zostawił. Chodź – powiedział Fonzo i otworzył furtkę.

- Zaczekaj – powiedział Virgil.
- Ty sobie zaczekaj – powiedział Fonzo.

Virgil wziął walizkę i poszedł za nim. Przystanął z tyłu, gdy Fonzo ostrożnie otworzył drzwi i zajrzał.

- O, psia noga! – powiedział.

Wszedł. Były tam jeszcze drugie drzwi, oszklone, zasłonięte od wewnątrz. Fonzo zapukał.

– Nie mogłeś nacisnąć tego guzika? – zapytał Virgil. – Nie wiesz, że ludzie w mieście nie otwierają na żadne pukanie?

- To nacisnę – powiedział Fonzo.

Zadzwoił. Drzwi otworzyła ta kobieta w luźnej sukni; słyszeli za nią psy.

- Ma tu pani jaki wolny pokój? – zapytał Fonzo.

Pani Reba spojrzała na nich – na ich nowe kapelusze i walizki.

- Kto panów przysłał? – zapytała.
- Nikt. My sami z siebie. – Pani Reba spojrzała na niego. – Bo tamte hotele to za drogie.

Pani Reba odetchnęła chrapliwie.

- Wy nie tutejsi?
- Myśmy przyjechali na robotę – powiedział Fonzo. – Mamy zamiar sporo czasu tu zostać.
- Jeżeli nie jest za drogo – powiedział Virgil. Pani Reba spojrzała na niego.
- A skąd przyjechaliście, kotuś? Powiedzieli jej skąd, i jak się nazywają.
- Mamy zamiar zostać tu miesiąc albo i więcej, jak będzie nam odpowiadać.
- No, chyba będzie odpowiadać – rzekła po chwili. Patrzyła na nich. – Mogę warn

wynająć pokój, ale za dopłatą za każdy raz, kiedy ta robota będzie w pokoju. Muszę z czegoś żyć, tak jak każdy.

- Nie będzie żadnej w pokoju. Mamy robotę w kolegium – powiedział Fonzo.
- W jakim kolegium? – zapytała pani Reba.
- W kolegium fryzjerskim – odpowiedział Fonzo.
- A to dopiero! – powiedziała pani Reba. – Ty koguciku!

I zaczęła się śmiać, przyciskając rękę do piersi. Patrzyli na nią rzeczowi, poważni, gdy śmiała się i chwytiała chrapliwie oddech.

- Boże, Boże – powiedziała. – Wejdźcie. Proszę.

Pokój był na samej górze od tyłu. Pani Reba pokazała im drzwi łazienki. Ledwie położyła rękę na klamce, zza drzwi doleciał głos kobiecy:

- Momencik, kotuniu!

I drzwi się otworzyły, i ona minęła ich w kimonie.

Patrzyli, jak idzie w głąb korytarza, wstrząśnięci aż do głębi swoich młodych istot smugą zapachu, która pozostawiła za sobą. Fonzo ukradkiem szturchnął Virgila. Gdy wrócili do pokoju, powiedział:

– To była druga. Ta pani ma dwie córki. A to ci heca! Wpadłem między same baby jak śliwka w kompot.

Długo nie mogli zasnąć tej pierwszej nocy, w obcym łóżku, w obcym pokoju, w pogwarze głosów z zewnątrz. Słyszeli miasto obce a wywołujące mnóstwo skojarzeń, dalekie a nieuchronne; groźne i pełne obietnic zarazem – głęboki, nieustanny szum, ponad którym migotały i falowały światła niewidocznych latarń; i w tych kolorowych spiralach wspaniałości już zaczynały się poruszać kobiety łagodnie wabiące nieznaną rozkoszą i wszystkimi dziwami, jakich pragnie tęsknota. Fonzowi wydawało się, że otaczają go warstwy za warstwami różowych rolet i wśród nich w szeleście jedwabiu, w zdyszanych szeptach jego młodość, wszechmocna jak bóstwo, wcielała się w tysiąc różnych postaci.

“Może to się zacznie już jutro – myślał. – Może jutro wieczorem...”

Przez szczelinę nad roletą wpadło światło i szerokim wachlarzem rozciągnęło się na suficie. Z dołu, poniżej okna, usłyszał głos kobiety, a potem głos mężczyzny, i zaraz te głosy stopiły się w szmer; trzasnęły jakieś drzwi. Ktoś, kobieta wchodziła po schodach, z poświstem długiej spódnicy, z szybkim stukotem twardych damskich obcasów.

I poznawał odgłosy domu: gwar, śmiech, dźwięki pianoli.

– Słyszysz to? – zapytał szeptem.

– Mnie to się wydaje, że ta pani ma dużo dzieci – powiedział Virgil rozespany.

– Dzieci, do diabła – powiedział Fonzo. – To jest przyjęcie. Chciałbym tam być z nimi.

Trzeciego dnia, gdy rankiem wychodzili z domu,

nrzy drzwiach czekała na nich pani Reba. Potrzebowała ich pokoju w godzinach popołudniowych, pod jich nieobecność. W mieście był zjazd tajnej policji, fwłęc spodziewała się większego napływu klientów. i – Waszym rzeczom nic się nie stanie – powiedzia-jjta. – Każę Minnie wszystko przedtem pozamykać. 'Z mojego domu nikt warn niczego nie zwędzi. | – Czym ta pani się zajmuje, jak myślisz? – zapytał Fonzo, gdy wyszli na ulicę.

– Ja nie wiem – powiedział Virgil.

– Chciałbym u niej pracować w każdym razie – powiedział Fonzo. – Tyle tych panien w kimonach i bieganiny.

– Guzik byś z tego miał – powiedział Virgil. -

To wszystko mężatki. Nie słyszałeś ich mężów?

Nazajutrz po powrocie z kursów znaleźli pod umywalnią damskie majtki. Fonzo podniósł je.

– Ta pani jest krawcową – powiedział.

– Mnie też tak się wydaje – powiedział Virgil. – Zobacz, czy ci nie wzięły czego z rzeczy.

Wydawało się, że ten dom jest pełen ludzi wcale nie sypiających w nocy. Słyszeli o każdej porze ruch ,na schodach i wciąż Fonzo był świadom bliskości kobiet, kobiecego ciała. To docierało do jego samotnego łóżka i miał wtedy wrażenie, że otaczają go kobiety, gdy tak leżał obok chrapiącego miarowo Virgila i łowił wyteżonym słuchem szepty i szelesty jedwabiu, które dolatywały zza ścian i spod podłogi i wydawały się składnikiem tych ścian i podłogi tak jak deski i tynk – i myślał o tym, że jest w Memphis już od dziesięciu dni, a poznał dotychczas tylko paru chłopców na kursach fryzjerskich. I co noc, gdy wiedział, że Virgil już śpi, wstawał z łóżka i odsuwał zasuwkę na drzwiach, pozostawiał drzwi uchylone, cóż, kiedy nic się nie działo.

Dwunastego dnia powiedział Virgilowi, że z kolegą Z kursów fryzjerskich pójdą na

dziewczynki. – A gdzie? – zapytał Virgil.

– Nic się nie bój. Chodź. Już ja się wywiedziałem. I jak pomyślę, że dwa tygodnie jestem w Memphis jak głupi...

– Dużo to będzie kosztować? – zapytał Virgil.

– Miałeś w życiu jakąś zabawę za darmochę? – zapytał Fonzo. – Chodź.

– Pójdę – powiedział Virgil – ale nie mam zamiaru wydać ani grosza.

– Ciekawym, czy tak powiesz, kiedy już tam będziemy – powiedział Fonzo.

Kolega fryzjer zaprowadził ich do burdelu. Po wyjściu stamtąd Fonzo powiedział:

– I pomyśleć, jestem tu dwa tygodnie i wcale o tym domu nie wiedziałem.

– Ja to bym wolał, żebyś dalej nie wiedział – powiedział Virgil. – Trzy dolary mnie kosztowało.

– A nie było warte? – zapytał Fonzo.

– Nic nie jest warte aż trzy dolary, czego nie można zabrać ze sobą – powiedział Virgil.

Gdy dochodzili do domu pani Reby, Fonzo zatrzymał się.

– Musimy wejść po cichu – powiedział. – Bo jakby się ta pani skapowała, gdzieśmy byli i cośmy robili, pewnie by nam nie dała mieszkać tu z nimi wszystkimi.

– Żebyś wiedział. Niech cię diabli – powiedział Virgil. – Mało, że przez ciebie wydałem aż trzy dolary, jeszcze nas obu wyrzuca.

– Rób tylko to co ja – powiedział Fonzo. – I nic więcej. Nie odzywaj się.

Wpuściła ich Minnie. Pianola ryczała na cały regulator. W drzwiach w głębi hallu stanęła pani Reba z cynowym kuflem w ręce.

– No, no – powiedziała. – Coś późno dziś wracacie, chłopcy.

– Owszem – przyznał Fonzo popychając Virgila w stronę schodów. – Byliśmy na zebraniu w domu modlitwy.

W łóżku w ciemnościach nadal słyszeli pianolę.

– Trzy dolary przez ciebie wydałem – powiedział Virgil.

– O, nie gadaj – powiedział Fonzo. – Jak pomyślę, że jestem tutaj prawie dwa tygodnie...

Nazajutrz po zajęciach wracali o zmierzchu wśród światel mrugających, zaczynających już płonąć i jaśnieć, wśród kobiet cielistonogich spotykających się z

mężczyznami i wskakujących do samochodów, i w ogóle.

– A nie wydać by tak teraz trzech dolarów? – zapytał Fonzo.

– Mnie się zdaje, że lepiej nie chodzić tam co wieczór – powiedział Virgil. – Za drogo wyniesie.

– Racja – powiedział Fonzo. – I ktoś mógłby nas zobaczyć, powiedziec tej pani.

Przeczekali dwie noce.

– Teraz to już będzie nas kosztowało po sześć do-, larów – powiedział Virgil.

– Więc nie chodź – powiedział Fonzo. Gdy wracali, Fonzo powiedział:

– Staraj się dobrze udawać dzisiaj. Wtedy o mało ta pani nas nie złapała, tak źle udawałeś.

– No to co, jak nas złapie? – zapytał Virgil posępnie. – Przecież nie może nas zjeść.

Stali przed drewnianym okratowaniem, szepcząc.

– Skąd wiesz, że nie może? – zapytał Fonzo.

– No, to nie musi.

– Skąd wiesz, że nie musi?

– No, nawet niech musi – powiedział Virgil. Fonzo otworzył drzwi w drewnianej kratce.

– Szkoda mi tych sześciu dolarów – powiedział Virgil. – Wolałbym, żeby nie było szkoda, ale nie poradzę.

Wpuściła ich Minnie. Powiedziała:

– Ktoś tu jest do panów. Czekali w hallu.

– Już wpadliśmy – powiedział Virgil. – A mówiłem ci, żeby nie wyrzucać tych pieniędzy.

– Ach, zamknij się – powiedział Fonzo.

W drzwiach ukazał się, obejmując blondynkę w czerwonej sukni, wysoki grubas w kapeluszu na bakier.

– No i masz, Clarence! – powiedział Virgil. W ich pokoju Clarence zapytał:

– W jaki sposób dostaliście się tutaj?

– Po prostu żeśmy trafili – powiedział Virgil. Opowiedzieli, jak to było. W brudnym kapeluszu,

z cygarem w palcach Clarence siedział na łóżku.

– A skąd wróciliście teraz? – zapytał.

Nie odpowiedzieli. Patrzyli czujnie, z twarzami bez wyrazu.

– No, mówcie. Ja i tak wiem. Gdzie to było? Powiedzieli mu.

– W dodatku trzy dolary mnie kosztowało – powiedział Virgil.

– Niech mnie cholera weźmie, jak nie jesteście dwaj najwięksi durnie po tej stronie Jackson – powiedział Clarence. – Idziemy!

Poszli za nim potulnie. Poprowadził ich z domu pani Reby na trzecią czy czwartą przecznicę. Przeszli przez ulicę sklepów i teatrzyków murzyńskich i skręcili w uliczkę wąską i ciemną, gdzie zatrzymał ich pod oświetlonymi, zasłoniętymi czerwienią rolet oknami jakiegoś domu. Nacisnął dzwonek przy drzwiach. Usłyszeli muzykę w tym domu, ostre głosy i kroki. Wpuszczono ich na korytarz zupełnie pusty i o ścianach zupełnie gołych, gdzie dwóch obszarpańców Murzynów kłóciło się z pijanym białym w zatłuszczonym kombinezonie. Przez otwarte drzwi zobaczyli pokój pełen ciemnoskórych kobiet w jaskrawych sukniach, z włosami zaondulowanymi i z uśmiechami błyskającymi złotem.

– Przecież to czarnuchy – powiedział Virgil.

– Jasne, że czarnuchy – powiedział Clarence. – Ale widzisz ty? – Machnął banknotem kuzynowi przed nosem. – Forsa jest ślepa na kolory.

XXII

W trzecim dniu poszukiwań Horace znalazł mieszkanie dla kobiety i dziecka. Był to pokój w walącym się domu na pół obłąkanej białej staruszki, która warzyła rzekomo czarodziejskie zioła dla Murzynów. Ten dom przy skraju miasteczka stał na maleńkiej parceli gęsto zarośniętej wysokim do pasa zielskiem, tworzącym nieprzerwaną dżunglę wzdłuż fasady. Tylko od kuchni biegła wydeptana ścieżka do połamanej furtki na tyłach. Przez całą noc w obłądnych głębinach domu paliło się mętne światelko i prawie o każdej z dwudziestu czterech godzin doby można było tam na tyłach zobaczyć jakiś wóz czy bryczkę z uwiązany zaprzęgiem i Murzyna, wchodzącego lub wychodzącego tylnymi drzwiami.

Kiedyś zrewidowali ten dom policjanci szukając whisky. Nie znaleźli nic poza kilkoma wiązkami ususzonych ziół i zbiorem brudnych butelek z jakimś płynem, o którym mogli powiedzieć jedynie, że alkohol to nie jest, gdy przytrzymywana przez dwóch z nich ta starucha, z kosmykami tłustych szpakowatych włosów na połyskliwej ruinie twarzy, nie przestawała ich lżyć ochryplym głosem. Na poddaszu w pokoju, gdzie stało tylko łóżko i beczka pełna odpadków śmieci niewiadomego pochodzenia i gdzie od wieczora do rana chrobotąły myszy, kobieta znalazła dom.

– Tu będzie pani dobrze – powiedział Horace. – Może pani zawsze zatelefonować do mnie do... – podał jej nazwisko sąsiada. – Albo nie, zaraz. Jutro na nowo założę telefon. Wtedy będzie pani mogła...

– Tak – powiedziała kobieta. – Chyba lepiej, żeby pan tu nie przychodził.

– Dlaczego? Myśli pani, że to by... że ja nie gwizdzę na...

– Musi pan tu mieszkać w tym mieście.

– Niech mnie piekło pochłonie, jeżeli będę mieszkał tutaj. Już i tak zbyt wielu kobietom pozwoli-

łem załatwiać za mnie moje sprawy i skoro ci panto-flarze...

Ale wiedział, że to czcze słowa. I wiedział, że ona to wie, bo ma w sobie zapas owej drzemiącej w każdej kobiecie podejrzliwości nieugiętej wobec wszelkich ludzkich postępków, która wydaje się dopatrywaniem w innych własnej przewrotności, ale która

naprawdę jest tylko praktyczną mądrością życiową.

– Myślę, że w razie czego znajdę pana – powiedziała. – W żaden inny sposób nie dałabym sobie rady.

– Na Boga – powiedział Horace. – Niech im pani nie pozwala... Wiedzmy – powiedział. -- Wiedzmy.

Nazajutrz Horace już miał w domu telefon. Z siostrą nie widział się od tygodnia; nie miała skąd dowiedzieć się o tym telefonie, a jednak, gdy na tydzień przed otwarciem sesji sądu usłyszał, jak dzwonek telefonu rozdziera ciszę wieczorną, w której siedział czytając, pomyślał, że to na pewno Narcissa, i był zdumiony, bo w słuchawce poprzez ryk pianoli czy radia zabrzmiał ostrożny, grobowy głos męski:

– Mówi Snopes. Jak się pan ma, panie sędzio?

– Słucham? – zapytał Horace. – Kto mówi?

– Senator Snopes. Clarence Snopes.

Słabo na drugim planie ryczała pianola; mógł sobie wyobrazić, jak ten człowiek w brudnym kapeluszu pochyła szerokie bary nad telefonem w drogerii czy restauracji, jak szepcze w słuchawkę, którą zasłania jedną ogromną, miękką, upierścienioną ręką, gdy drugą bawi się aparatem telefonicznym.

– Aha – powiedział. – Słucham. O co chodzi?

– Mam coś, co mogłoby pana zainteresować.

– Coś, co by mogło mnie zainteresować?

– Tak mi się zdaje. To by interesowało i parę innych osób.

Wprost w ucho płakały Horace'owi cienkim arpeggio czy z pianoli, czy może z radia, saksofony – sprośna ławizna, która przypominała kłótnię dwóch

skaczących po klatce zwinnych małp. I słyszał ciężkie sapanie tego człowieka na drugim końcu drutu.

– Dobrze – powiedział. – Co pan wie takiego interesującego dla mnie?

– Czy rzeczywiście interesującego, to już pan sam osądzi.

– Dobrze – powiedział. – Jutro rano będę w mieście. Może mnie pan znaleźć.

– I zaraz wykrzyknął: – Halo! – Słyszał, jak ten człowiek oddycha mu prosto w ucho, zdawałoby się; spokojny, chamski oddech, nagle jakoś złowieszczy. – Halo! – powiedział.

– Więc widocznie to pana nie interesuje. No, chyba spiknę się w tej sprawie z drugą stroną, a panu już nie będę zwracał głowy. Do widzenia.

– Nie, niech pan zaczeka – powiedział Horace. – Halo! Halo!

– He?

– Przyjdę dzisiaj. Będę za jakieś piętnaście...

– Nie trzeba – powiedział Snopes. – Mam samochód. Podjadę tam do pana.

Horace wyszedł do bramy. Księżyc świecił i w czar-no-srebrnym tunelu cedrów pełno było latających robaczek świętojańskich, jak gdyby bezmyślnie ktoś kłuł ciemność szpilką. Czarne i zastrzone na tle nieba cedry wyglądały jak wycięte z papieru; pochyły trawnik pokrywała nikłym połyskiem srebrna patyna. Gdzieś w górze ponad owadami raz po raz żałośnie odzywał się lelek. Trzy samochody przejechały. Czwarty zwolnił i podjechał pod bramę. Horace wszedł w blask reflektora. Za kierownicą majaczył zwaliście Snopes, sprawiając wrażenie, że został tam wepchnięty górą, zanim na ten samochód położono dach. Snopes wyciągnął rękę.

– No, jestem. Cześć, panie sędzio. Nie wiedziałem, że pan mieszka w mieście, i najpierw próbowałem pana złapać u pań Sartoris.

– No, dziękuję – powiedział Horace. Uwolnił dłoń. – Co pan takiego ma?

Snopes przechylił się nad kierownicą i spod dachu samochodu wyjrzał na dom.

– Tu porozmawiamy – powiedział Horace. – Nie będzie pan musiał zakręcać.

– Tu może nas ktoś podsłuchiwać – powiedział Snopes. – Ale to już pana rzecz.

Ogromny i gruby majaczył zgarbiony, z twarzą w poświacie księżyca, samą bez rysów jak księżyc. Horace czuł na sobie jego spojrzenie. Znów doznał owego uczucia złowieszczości jak przedtem, przy telefonie; w spojrzeniu Snopesa było jakieś wyrachowanie chytre, brzemienne w skutki. Wydawało się Horace'-owi, że widzi własną myśl to tu, to tam trzepoczącą, ale wciąż objającą się o zwalisty, ogromny bezruch Snopesa, jak gdyby spadła na nią lawina łusek bawełny.

– Więc dobrze. W domu – powiedział Horace. Snopes otworzył drzwiczki.

– Niech pan sam jedzie – powiedział Horace. – Ja pójdę.

Snopes pojechał. Wsiadł z samochodu, gdy Horace podszedł.

– Więc co to takiego? – zapytał Horace. Snopes znów spojrzał na dom.

– Garsoniera, co? – zapytał. Horace nic nie odpowiedział. – Jak to ja zawsze powiadam, każdy żonaty powinien mieć swój kącik, gdzie może się czuć u siebie i gdzie nikt nie wścibia nosa. Jasne, że coś niecoś należy się żonie, ale przecież dopóki ona

nie wie, to się jej nie krzywdzi, no nie? Dopóki robi się swoje po cichu, rzeczywiście nie daje się żonie żadnego powodu do żalów. Racja?

– Jej tu nie ma – powiedział Horace. – Jeżeli to ma być aluzja. W jakiej sprawie pan chciał się ze mną zobaczyć?

Znów czuł na sobie wzrok Snopesa, bezceremonialny, kalkulujący, pełen niedowierzania.

– No, jak to ja zawsze powiadam, nikt nie może się wtrącać do prywatnych spraw mężczyzny poza nim samym. Nie mam panu tego za złe. Ale kiedy pan mnie już pozna lepiej, to będziesz pan wiedział, że zanadto gadułą nie jestem. Bywało się tu i ówdzie... Zapali pan cygaro?

Wielką ręką sięgnął do kieszeni na piersi i wyciągnął dwa cygara.

– Nie, dziękuję.

Zapalił więc sam, przy czym jego twarz wynurzyła się w blasku zapalki jak ustawiony sztorcem placek.

– W jakiej sprawie pan chciał się ze mną zobaczyć? – powtórzył Horace swoje pytanie.

Snopes zaciągnął się cygarem.

– Parę dni temu przypadkiem nawinęła mi się informacja i pomyślałem sobie, że będzie miała dla pana pewną wartość.

– Aha. Wartość. Jaką wartość?

– To już pana uznanie. Mogę w tej sprawie spiknąć się z drugą stroną, ale ponieważ pan ziomek z Jefferson, itede...

Chwilami coś Horace'owi świtało. Snopesowie wywodzą się z okolic Siedziby Starego Francuza i nadal tam mieszkają. Wiedział o krętych drogach, jakimi wiadomości przechodzą z ust do ust wśród niepiśmiennych ludzi zamieszkujących tę część hrabstwa.

“Ale to chyba nie może być nic takiego, co by próbował sprzedać rządowi stanu – pomyślał. – Nawet on nie jest aż tak głupi.”

– No więc – rzekł – powinien pan powiedzieć mnie.

Czuł na sobie spojrzenie Snopesa.

– Czy przypomina pan sobie – zaczął Snopes – tamten dzień, kiedy wsiadł pan do pociągu w Oxford, gdzie pan był, żeby coś zała...

– Tak – powiedział Horace.

Snopes zaciągnął się, starannie wyrównując popiół na cygarze do pewnej długości. Podniósł rękę, przesunął palcami po karku.

- Przypomina pan sobie, mówiliśmy o jednej dziewczynie?
- Więc co?
- To już pana rzecz.

Zapach kapryfolium unosił się po srebrnym zboczcu i wylewnie, żałośnie powtarzał raz po raz swoją skargę lelek.

- Czy chce pan przez to powiedzieć – zapytał Horace – że pan wie, gdzie ona jest? Snopes nie odpowiedział.

- I że za pewną ceną pan mi powie? Snopes nie odpowiedział.

Horace zacisnął pięści i wsunął je w kieszenie, aż przywarły mu do boków.

- Dlaczego pan myśli, że ta informacja może mnie interesować?
- To już pana uznanie. Ja nie jestem obrońcą w procesie o morderstwo. Ja nie byłem tam w Oxford i nie szukałem jej. Jasne, że jeżeli to pana nie interesuje, spikną się z drugą stroną. Chciałem tylko, żeby pan miał szansę.

Horace odwrócił się ku schodkom. Ostrożnie jak starzec.

- Usiądźmy – powiedział.

Snopes podszedł do niego i usiadł na schodkach. Siedzieli w poświacie księżycy.

- Wie pan, gdzie ona jest?
- Widziałem ją. – Znow przesunął palcami po karku. – Tak, właśnie. Jeżeli jej tam nie ma albo jej tam nie było, to zwrócę panu pieniądze. Uczciwiej nie można, co?
- A jaka jest pańska cena? – zapytał Horace. Snopes zaciągnął się cygarem wyrównując starannie popiół. – Niech pan mówi. Nie będę się targował.

Snopes powiedział.

- Dobrze – zgodził się Horace. – Zapłacą tyle. – Podciągnął w górę kolana, oparł na nich łokcie i ukrył twarz w dłoniach. – Gdzie ona... Zaraz. Nie jest pan przypadkiem baptystą?

– Moja rodzina to, owszem, baptyści. Ja sam jestem dosyć liberałem. Szerokie horyzonty pod każdym względem, jak się pan przekona, kiedy pozna mnie pan lepiej.

- Dobrze – powiedział Horace z twarzą ukrytą w dłoniach. – Więc gdzie ona jest?
- Ja panu zawierzę – powiedział Snopes. – Ona jest w Memphis w bajzlu.

XXIII

Gdy Horace otworzył furtkę pani Reby i szedł do drzwi za drewnianą kratką, ktoś zawołał go po nazwisku. Był wieczór; okna w pociemniałej od opadów, łuszczącej się ścianie lśniły bladymi spoistymi kwadratami. Horace przystanął i obejrzał się. Zza pobliskiego rogu ulicy zupełnie jak indyk wysuwał głowę Snopes. Po chwili ukazał się cały. Spojrzał w górę na dom, spojrział w lewo i w prawo, po czym z ostrożną miną przeszedł wzdłuż ogrodzenia i wkroczył w furtkę.

– No, panie sędzio – powiedział. – Chłopcy to zawsze chłopcy, co? – Nie podał ręki. Z ową miną bezczelną i czujną zarazem stał zwalisty nad Horace'em, zerkając przez ramię na ulicę. – Jak to ja zawsze powiadam, jeszcze żadnemu mężczyźnie nie zaszkodziło wypuścić się od czasu do czasu i...

– O co chodzi? – zapytał Horace. – Właściwie czego pan ode mnie chce?

– No, no, panie sędzio. Nie będę tego rozpowiadał tam u nas. Niech pan tę myśl w ogóle wyrzuci z głowy. Gdybyśmy my, chłopcy, zaczęli mówić, co wiemy, już by żaden z nas nie mógł wysiąść z pociągu w Jefferson, no nie?

– Wie pan równie dobrze jak ja, po co tu przyjechałem. Czego pan chce ode mnie?

– Jasne, jasne – powiedział Snopes. – Potrafię wczuć się w faceta żonatego itede, takiego, który nie ma pewności, czym sobie teraz czas uprzyjemnia jego połowica. – Między jednym a drugim urywanym zerknięciem przez ramię mrugnął do Horace'a. – Możesz pan być spokojny. Jak ja coś wiem, to jakby wpadło do studni. Tylko że mi przykro patrzeć na porządnego...

Horace ruszył ku drzwiom.

– Panie sędzio – powiedział Snopes świdrującym szeptem.

Horace odwrócił się.

– Niech pan tu nie zostaje.

– Jak to?

– Zobaczysz się pan z nią i od razu pan wychodź. To lokal dla frajerów. Dla parobków. Pompują forszą z człowieka jak w Monte Carlo. Poczekam tutaj i zaprowadzę pana gdzieś, gdzie...

Horace ruszył naprzód i wszedł za drewniane okratowanie.

W dwie godziny później, gdy rozmawiał z panią Rebą w jej pokoju, do którego przez zamknięte drzwi dolatywały chwilami z hallu i ze schodów kroki i głosy – weszła Minnie i podała mu świstek papieru.

– Co to jest? – zapytała pani Reba.

– To zostawił dla niego ten wielki z mordą jak placek – wyjaśniła Minnie. – Mówił, żeby pan prosto tam przyszedł.

– Wpuściłaś go? – zapytała pani Reba.

– A gdzie tam, pszani. On się nawet nie napraszał wchodzić.

– No myślę! – powiedziała pani Reba. Chrząknęła. – Pan go zna? – zapytała Horace'a.

– Owszem. Jakoś nie sprawiam wrażenia, że potrafię sam dawać sobie radę – powiedział Horace.

Rozłożył świstek, oddarty kawałek jakiejś ulotki. Przeczytał adres napisany ołówkiem, schludnie, wyrobionym charakterem pisma.

– Pierwszy raz przyszedł ze dwa tygodnie temu – powiedziała pani Reba. – Przyszedł, bo szukał tu dwóch chłopców, i zaraz mi się rozsiadł w jadalni, i zaczął ryczeć na całe gardło, i macać moje dzie-

wczynki po tyłkach, ale czy w ogóle wydał choć centa, tego nie wiem. Zamawiał on coś, Minnie?

– A gdzie tam, pszani – powiedziała Minnie.

– Po paru dniach znowu przyszedł wieczorem. Nie wydał nic, nie robił nic, tylko gadał, więc mu zwróciłam uwagę: “Proszę pana, jeżeli już się siedzi w tej poczekalni, to trzeba od czasu do czasu postawić kolejkę.” Więc następnym razem przyniósł z sobą ćwiartkę whisky. Do dobrego klienta nie mam o to pretensji. Niech sobie. Ale żeby mi taki gość jak on przychodził tutaj trzy razy pod rząd i szczypał moje dziewczynki, a potem przyniósł ćwiartkę whisky z miasta i zamówił cztery coca-cole... To cham, łachudra i tyle, kotuś. Więc powiedziałam Minnie, żeby mi go więcej nie wpuszczała, aż tu jednego dnia po południu wystarczyło, żem się zdrzemnęła, kiedy... Zupełnie nie wiem, co on takiego zrobił Minnie, że go wpuściła. Wiem, że nigdy nie dał jej ani centa. Jak on to załatwił, Minnie? Chyba musiał ci pokazać coś, czego jeszcze nie widziałaś, no, powiedz?

Minnie potrząsnęła głową.

– On nie miał nic, co ja bym chciała zobaczyć. Już i tak widziałam za dużo na moje nieszczęście.

Mąż Minnie porzucił ją. Nie aprobował zajęcia Minnie. Był kucharzem w restauracji i zabrał ubranie i biżuterię – wszystko, co Minnie dostała od białych pań – i uciekł z kelnerką z tejże restauracji.

– Ciągłe się wypytywał o tę dziewczynkę i ciągle

o niej napomykał – powiedziała pani Reba. – A ja mu mówiłam, żeby poszedł zapytać Wytrzeszcza, jeżeli już tak niemożliwie chce wiedzieć. Byłam dyskretna, mówiłam tylko, żeby się stąd wynosił i to raz na zawsze, rozumie pan; więc tego dnia jest może druga po południu i ja śpię, a Minnie go wpuszcza, i on ją pyta, kto tutaj jest, i Minnie mówi, że nie ma nikogo, i wtedy on wchodzi na górę. I Minnie mówi, że akurat przychodzi Wytrzeszcz. Nie wiedziała, mówi, co robić. Bała się go nie wpuścić, mówi, ale wiedziała, że jak go wpuści, to on z pistoletu rozchlasta tego

grubasa, skurwysyna po całym piętrze, i wiedziała, mówi, że wtedy ja ją odprawię, a mąż ją właśnie rzucił, i w ogóle...

Więc Wytrzeszcz idzie na górę na tych swoich kocich łapach i patrzy, a pana znajomy klęczy i zagląda przez dziurkę od klucza. Wytrzeszcz stał za nim z minutę, mówi Minnie, w kapeluszu przekrzywionym na oko. Wyjął papierosa, mówi, i przytknął zapalnik

o paznokcie cichusieńko, i zapalił tego papierosa, a potem pochylił się, mówi, i przyłożył zapalnik do karku pana znajomemu. Minnie stała tam, mówi, na półpiętrze i uważała na nich, i ten facet tam klęczał, z tą swoją mordą jak niedopieczony placek, i ani się ruszył, a Wytrzeszcz wypuszczał dym nosem i tak jakoś podrzucał na niego głową. A potem zeszła na dół,

i za jakieś dziesięć sekund zszedł ten po schodach i trzyma się za głowę obiema rękami, i idzie buch--buch-buch przez dom jak jaki perszeron, i maca przy drzwiach przez dobrą minutę, a jęczy przy tym jak wiatr w kominie, mówi Minnie, aż mu otworzyła drzwi. I od tamtej pory już mi do tych drzwi nie zadzwonił, aż dopiero dzisiaj... Niech mi pan to pokaże.

Horace podał jej świstek.

– To przecież murzyński interes – powiedziała. – Zawszon... Minnie, powiedz mi,

że jego znajomego tu nie ma. Powiedz mu, że nie wiesz, dokąd poszedł.

Minnie wyszła. Pani Reba powiedziała:

– Miałam już najróżniejszych gości w swoim domu, ale gdzieś przecież musi być granica. Adwokatów miałam także. Największy adwokat w Memphis u mnie w jadalni fundował moim dziewczynom. Milioner. Ważył dwieście osiemdziesiąt funtów i kazał sobie zrobić specjalne łóżko i przysłał je tutaj. Jest w tej chwili na górze to łóżko. Ale to wszystko po myśli mojego interesu, a nie ich. Nie dam adwokatom dręczyć żadnej z moich dziewczynek bez ważnego powodu.

– Więc to nie jest dla pani ważny powód? To, że człowiek może zostać skazany na śmierć za coś, czego nie zrobił? Może już dopuszcza się pani przestępstwa, ukrywając zbiega przed sprawiedliwością.

– Więc niech przyjdą i go zabiorą. Ja nie mam z tym nic wspólnego. Tyłu już policjantów przewinęło mi się przez ten dom, że wcale policji się nie boję. – Podniosła kufel, łyknęła i wytarła usta wierzchem dłoni. – Nie chcę mieć nic wspólnego z czymś, o czym nie wiem. Co Wytrzeszcz robi poza moim domem, to jego rzecz. Jak zacznie zabijać ludzi tu u mnie, wte- dy się wtrączę.

– Czy pani ma dzieci? Spojrzała na niego.

– Nie zamierzam wnikać w pani prywatne sprawy – powiedział. – Myślałem tylko o tej kobiecie. Ona znowu znajdzie się na ulicy, i Bóg jeden wie, co się stanie z tym niemowlęciem.

– Mam – powiedziała pani Reba. – Utrzymuję czworo w jednym domu dziecka w stanie Arkansas. Co prawda, nie moje rodzone... – Podniosła kufel i wolno nim kołysząc zajrzała na dno. Postawiła kufel. – Lepiej by się stało, gdyby ono się w ogóle nie urodziło – powiedziała. – Gdyby żadne z nich się w ogóle nie urodziło.

Wstała, ociężale podeszła do Horace'a i stanęła nad nim oddychając chrapliwie. Położyła mu rękę na głowie i uniosła ku sobie jego twarz.

– Pan mi nie kłamie, prawda? – patrzyła na niego przeszywająco, ze skupieniem i smutkiem. – Nie, pan nie kłamie.

Puściła go.

– Niech pan tu chwilę zaczeka. Zobaczę.

Wyszła. Słyszał jej głos, gdy rozmawiała z Minnie w hallu, a potem jej ciężkie człapanie na schodach.

Siedział spokojnie tak, jak go zostawiła. Rozglądał się po tym jej pokoju: drewniane łóżko, malowany parawan, trzy pękate fotele, skrytka w ścianie. Toaletka zarzucona przyborami toaletowymi zdobnymi w kokardy z różowej satyny. Na parapecie kominka

woskowa lilia pod szklanym kloszem, nad lilią przystrojona w czarną krepę fotografia potulnie wyglądającego mężczyzny z ogromnym wąsem. Na ścianach kilka litografii scen pseudogreckich i obraz z frywolitek. Wstał i podszedł do drzwi.

Minnie siedziała na krześle w mrocznym hallu.

– Minnie – powiedział. – Muszę wypić. Jeden głębszy.

Właśnie skończył pić, gdy Minnie znów weszła do pokoju.

– Pani Reba prosi pana na górę.

Wszedł po schodach. Pani Reba czekała na podeście. Poprowadziła go przez korytarz i otworzyła przed nim drzwi do jakiegoś ciemnego pokoju.

– Będzie pan z nią musiał rozmawiać po ciemku – powiedziała. – Ona nie chce światła. – Smuga jasności z korytarza padająca przez otwarte drzwi kładła się w poprzek łóżka. – To nie jej pokój. Nawet nie chciała pana przyjąć u siebie w pokoju. Mnie to się zdaje, że powinien pan ją jakoś rozkrochmalić, bo inaczej pan się od niej nie dowie tego, o co panu chodzi.

Weszli. Smuga światła kładła się w poprzek łóżka na falistym wzniesieniu kołdry, nieruchomym, jakby nie leżał tam nikt.

“Ona się udusi” – pomyślał Horace.

– Laleczko – powiedziała pani Reba. Wzniesienie kołdry nie poruszyło się. – Ten pan przyszedł, laleczko. Skoro jesteś zakryta, zapalimy światło. Wtedy będziemy mogli zamknąć drzwi.

Zapaliła światło.

– Ona się udusi – powiedział Horace.

– Zaraz wyjdzie spod kołdry – powiedziała pani Reba. – No, proszę. Niech pan jej powie, czego pan chce. Ja tu lepiej zostanę. Ale to panu nie szkodzi. Nie mogłabym pracować w moim interesie, gdybym się już dawno nie nauczyła być głucha i niema. Zresztą choćbym nawet była kiedyś ciekawska, od lat by mi to przeszło w tym domu. Tu jest krzesło.

Odwróciła się, ale Horace uprzedził ją i przyciągnął dwa krzesła. Usiadł przy łóżku

i powiedział nieruchomemu wzniesieniu kołdry, czego chce.

– Chcę tylko wiedzieć, jak się to stało naprawdę. Pani się tym nie narazi. Ja wiem, że nie pani to zrobiła. I zanim pani mi cokolwiek powie, przyrzekam, że nie będzie pani musiała zeznawać w sądzie, jeżeli tylko zdołam bez pani zeznań uchronić go od powieszenia. Ja panią rozumiem. Nie zawracałbym pani głowy, gdyby nie chodziło o życie tego człowieka.

Wzniesienie nie poruszyło się.

– Powieszą go za coś, czego wcale nie zrobił – powiedziała pani Reba. – I ona nie będzie miała nic, nikogo. Ty z brylantami, a ona z tym biednym dzieciątkiem. Widziałaś je, prawda?

Wzniesienie nie poruszyło się.

– Ja panią rozumiem – powiedział Horace. – Może pani wystąpić pod innym nazwiskiem, przebrać się tak, że nikt pani nie pozna, włożyć okulary.

– Wytrzeszcza nie złapią, laleczko – powiedziała pani Reba. – On jest cwany. I przecież nie znasz jego nazwiska, w żaden sposób, i jeżeli będziesz musiała pojechać na świadka w tym sądzie, ja mu powiem o tym po twoim wyjeździe i on wtedy wyjedzie gdzieś i sprowadzi cię tam do siebie. Ani ty, ani on nie potrzebujecie mieszkać tu w Memphis. Ten pan adwokat zajmie się tobą i nie będziesz musiała mówić nic, czego byś...

Wzniesienie się zakłębiło. Tempie odrzuciła kołdrę i usiadła. Była potargana, twarz miała napuchniętą, dwie plamy różu na kościach policzkowych i usta barbarzyńsko umalowane w łuk amora. Przez chwilę patrzyła na Horace'a czarno i wrogo, potem odwróciła wzrok.

– Chcę dżynu – powiedziała podciągając nocną koszulę na ramieniu.

– Połóż się – powiedziała pani Reba. – Dostaniesz kataru.

– Chcę jeszcze dżynu – powiedziała Tempie.

– Połóż się i zakryj swoją goliznę w każdym razie – powiedziała pani Reba wstając. – Trzy już wypijaś od kolacji.

Tempie znowu podciągnęła koszulę. Spojrzała na Horace'a.

– Więc pan niech mi postawi.

– No, laleczko – pani Reba spróbowała popchnąć ją na poduszkę. – Połóż się i nie odkrywaj, i opowiedz panu tę całą historię. A ja ci przyniosę dżynu za chwileczkę.

– Proszę mnie puścić – powiedziała Tempie wyrывая się pani Rebie.

Pani Reba naciągnęła jej kołdrę na ramiona.

– Więc niech mi pan da papierosa. Ma pan papierosy? – zapytała Temple Horace'a.

– I papierosa też ci dam – powiedziała pani Reba. – Czy zrobisz to, czego ten pan chce od ciebie?

– Co? – zapytała Tempie. Patrzyła na Horace'a czarno, wojowniczo.

– Nie musi mi pani mówić, gdzie ten pani... on... – Horace zająknął się.

– Niech pan nie myśli, że ja się boję powiedzieć – obruszyła się Tempie.

– Wszędzie to powiem. Niech pan nie myśli, że ja się boję. Chcę dżynu.

– Powiedz mu, to ci przyniosę – powiedziała pani Reba.

Siedząc na łóżku, z kołdrą naciągniętą na ramiona, Tempie opowiedziała Horace'owi o nocy, którą spędziła w tym zrujnowanym domu – od chwili gdy weszła tam do pokoju i na próżno zastawiła drzwi krzesłem, aż do chwili gdy ta kobieta podeszła do niej, do łóżka i wyprowadziła ją stamtąd. Wydawało się, że tylko ten fragment ze wszystkiego, co ona tam przeżyła, utkwił jej szczególnie w pamięci: ta noc, którą spędziła stosunkowo spokojnie. Od czasu do czasu Horace usiłował poruszyć temat samej zbrodni, ale Tempie wymykała mu się i znów opowiadała o sobie, jak siedziała na łóżku nasłuchując głosów tych mężczyzn na ganku albo leżała w ciemnościach,

a oni wchodzili do pokoju i kroki ich się zbliżały i stawali nad nią.

– Tak. Tamto – mówiła – po prostu stało się. Nie wiem. Przedtem tak długo byłam w strachu, że już chyba się z tym strachem oswoiłam. Więc po prostu siedziałam w tych nasionach bawełny i patrzyłam na niego. Najpierw myślałam, że to szczur. Tam były dwa szczury. Jeden był w kącie i patrzył na mnie, a drugi był w drugim kącie. Nie wiem, czym one się odżywiały, bo tam nie miały nic oprócz kolb kukurydzy i tych nasion. Może chodziły na jedzenie do domu. Chociaż w domu nie było szczurów. Nie słyszałam w domu ani jednego. Ale myślałam, że to pewnie szczur, kiedy po raz pierwszy słyszałam, jak wchodzi, ale można w ciemnym pokoju wyczuć ludzi; czy wiedział pan o tym? Wcale się nie musi ich widzieć. Można ich wyczuć, to trochę tak, jak się wyczuwa w samochodzie, kiedy mężczyzna zaczyna się rozglądać za dobrym miejscem do zaparkowania, no wie pan, na chwilę...

I dalej tak mówiła, ciągnąc jeden z owych żywych, wylewnych monologów, jakie potrafi wygłaszać każda kobieta, gdy tylko się zorientuje, że jest ośrodkiem

zainteresowania. Horace pojął nagle, że ona opowiada z rzeczywistą dumą, jakoś naiwnie, bezosobowo zadowolona z siebie, jak gdyby całe to przeżycie wymyślała w czasie opowiadania, gdy tak spoglądała to na niego, to na panią Rebę szybko, krótko, przypominając psa, który wiejską uliczką zagania do zagrody dwie krowy na raz.

– ...Więc przy każdym swoim oddechu słyszałam chrzęst tego siennika. Nie rozumiem, jak w ogóle można spać na czymś takim. Ale może to kwestia przyzwyczajenia. Albo może oni są bardzo zmęczeni w nocy. Bo przy każdym oddechu słyszałam ten chrzęst, nawet wtedy, kiedy tylko siedziałam na łóżku. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego siennik chrzęści od samego oddychania, więc siedziałam, jak mogłam najspokojniej, ale wciąż słyszałam. To dlatego że oddech

idzie w dół. Myśli się, że w górę. a wcale tak nie jest. Idzie w dół, i słyszałam, jak oni na ganku upijają się. Aż prawie widziałam w ścianie te miejsca, o które oni z tamtej strony opierają głowy, kiedy podnoszą gąsior do ust, i mówiłam sobie: "Teraz ten pije. A teraz ten." Wie pan, jak takie wgniecenie od głowy na poduszce, kiedy się wstaje rano.

To właśnie wtedy przyszło mi na myśl coś dziwnego. Wie pan, ze strachu przychodzą na myśl różne rzeczy. Patrzyłam na swoje nogi i spróbowałam sobie wyobrazić, że jestem chłopcem. Ach, gdybym była chłopcem, myślałam, i starałam się zmienić w chłopca samym myśleniem. Wie pan, jak się to robi. Na lekcji na przykład, kiedy się umie coś, o czym jest mowa, patrzy się wtedy na profesora i myśli się bardzo usilnie: "Wywołaj mnie! Wywołaj mnie!" Przypomniał mi się też ten sposób dla dzieci z całowaniem się w łokieć i spróbowałam pocałować się w łokieć. Rzeczywiście pocałowałam się. Z tego strachu. I zaczęłam się zastanawiać, czy poznam, kiedy już będę chłopcem. To znaczy, zanim spojrzę i zobaczę, i jak to ja wtedy do nich wyjdę i pokażę im... wie pan. Zapalę zapalną i powiem: "Patrzcie! Widzicie? Więc dajcie mi już święty spokój." I jak potem będę mogła bezpiecznie wrócić do łóżka i spać. Myślałam o tym, bo szalenie mi się chciało spać. Po prostu oczy mi się kleiły.

Więc mocno zaciskałam powieki i mówiłam sobie: "Jestem chłopcem. Już jestem." I patrzyłam na swoje nogi i myślałam, jak dużo dla nich zrobiłam. Na ile zabaw w życiu je zabierałam... po wariacku myślałam w ten sposób. Bo chodziło mi o to, że ja tak dużo dla nich zrobiłam, a teraz właśnie one, te moje nogi wpakowały mnie w taką straszną historię. I myślałam, że może trzeba modlitwy, żebym się zamieniła w chłopca, więc pomodliłam się, a potem siedziałam zupełnie bez ruchu i czekałam. A potem miałam

nadzieję, że może już się zmieniłam, tylko o tym nie wiem, nawet byłam gotowa spojrzeć. Ale zaraz doszłam do wniosku, że jeszcze chyba za wcześnie, a spojrzeć za wcze-

śnie, to zepsuć wszystko i wtedy z całą pewnością nic by z tego nie wyszło. Więc liczyłam. Kazałam sobie liczyć najpierw do pięćdziesięciu, ale jeszcze wydawało mi się za wcześnie, więc kazałam sobie liczyć drugi raz do pięćdziesięciu. A potem zlekłam się, że jeżeli nie spojrzę w porę, to będzie już za późno.

A potem wpadłam na pomysł, żeby się jakoś czymś okręcić. Jedna moja koleżanka była kiedyś na wakacjach za granicą i opowiadała mi, że widziała w muzeum taki jakiś pas żelazny, w którym król czy ktoś tam zamykał na klucz królową, kiedy musiał od niej odjeżdżać, i pomyślałam sobie: "Gdybym ja miała taki pas." To dlatego wzięłam ten płaszcz nieprzemakalny i włożyłam. Przy płaszczu wisiała manierka, więc wzięłam manierkę też i...

– Manierkę? – zapytał Horace. – Dlaczego?

– Nie wiem, dlaczego ją wzięłam. Chyba po prostu bałam się ją tam zostawić. Ale myślałam sobie: "Gdybym tylko miała tę francuską rzecz." Myślałam, że może byłyby na tym długie ostre kolce i on by się zorientował za późno, i ja bym go dźgała tymi kolcami. Dźgałabym go na wylot, i myślałam o tej krwi, która by na mnie spływała, i że powiedziałabym mu: "Sądzę, że to pana nauczy! Sądzę, że teraz już da mi pan spokój!" – tak bym powiedziała. Nie wiedziałam, że będzie akurat na odwrót... Chcę dżynu.

– Zaraz ci przyniosę – powiedziała pani Reba. – No, dalej, opowiadaj mu.

– Och, tak. To było też coś dziwnego. Opowiedziała, jak leżała obok Gowana chrapiącego

u jej boku i przysłuchiwała się chrzęstowi siennika, i słyszała ciemność pełną ruchu, i wyczuwała zbliżanie się Wytrzeszcza. I jak słyszała krew w swoich żyłach i czuła, że te małe mięśnie w kącikach oczu rozszerzają się jej z początku słabo, potem coraz bardziej, i nozdrza są na zmianę to ciepłe, to zimne. I jak stał nad nią, a ona mówiła: „No, dotknij mnie! Dotknij mnie! Jesteś tchórz, jeżeli mnie nie dotykasz. Tchórz! Tchórz!”

– Chciałam zasnąć, rozumie pan. A on właśnie stał tam i stał. Pomyślałam, że gdyby zrobił coś i już skończył z tym, mogłabym zasnąć. Więc mówiłam: "Tchórz jesteś, jeżeli mnie nie dotykasz! Tchórz jesteś, jeżeli mnie nie dotykasz!" I czułam, jak usta same mi się układają do krzyku, i czułam tę małą gorącą kulkę, którą się ma w sobie i która krzyczy. I wtedy dotknęła mnie ta obrzydliwa mała, zimna ręka, zaczęła gmerać pod

płaszczem tam, gdzie byłam naga. Jak żywy lód, ta ręka, i skóra mi przed nią odskakiwała, jak takie małe latające rybki przed łódką. Tak jak gdyby, jeszcze zanim ta ręka zaczęła się posuwać, moja skóra wiedziała, którądy to będzie, i jak gdyby starała się o to, żeby tam, gdzie ta ręka się dostanie, nie było w ogóle nic.

Aż dostała się ta ręka tam, gdzie mi się zaczynają wnętrzności, a ja nic nie jadłam od obiadu w piątek i kiszki zaczęły mi grać marsza, i siennik chrząścił głośno, to było jak śmiech. Pomyślałam, że siennik śmieje się ze mnie, bo przez cały czas on posuwał rękę po mnie od pasa coraz dalej pod majtkami, a ja jeszcze nie zamieniłam się w chłopca.

I właśnie wtedy stało się coś dziwnego, bo ja wcale nie oddychałam. Wstrzymałam oddech na bardzo długo. Więc wydawało mi się, że umarłam. I właśnie wtedy stało się coś dziwnego: zobaczyłam siebie w trumnie. Wyglądałam ślicznie... wie pan: cała w bieli. Miałam welon jak panna młoda i płakałam, nie dlatego że umarłam ani że tak ślicznie wyglądam, ani nie dlatego tam. Nie. Płakałam dlatego, że mi nakładli tych rozkruszonych kolb kukurydzy z siennika do trumny. Płakałam dlatego, że mi nakładli ich do trumny, w której leżałam martwa, ale przez cały czas czułam, że mam nos to zimny, to gorący, to zimny, to gorący, i widziałam tych wszystkich ludzi, jak siedzieli naokoło trumny i mówili: "Czyż nie ślicznie ona wygląda! Czyż nie ślicznie ona wygląda!"

Ale powtarzałam dalej: "Tchórz! Tchórz! Dotknij mnie, tchórz!"

I wściekałam się, bo on to tak długo robił. Mówiłam do niego. Mówiłam: "Myślisz, że ja tu będę leżała przez całą noc i tylko czekała na ciebie?" Mówiłam: "Już ja ci powiem, co zrobię." I leżałam tam, a ten siennik śmiał się ze mnie, a ja się wzdrygałam przed tą jego ręką i myślałam, co mu powiem – mówiłam do niego jak nauczycielka w szkole, i już byłam nauczycielką w szkole, a to był taki mały czarny stwór jak murzyński smarkacz, coś w tym rodzaju, a ja byłam nauczycielką. Bo zapytałam: "Ile mam lat?" – i odpowiedziałam: "Mam czterdzieści pięć lat." Miałam włosy szare jak żelazo i okulary, i dużo sadła tutaj, jak kobiety w starszym wieku. Byłam w szarym kostiumie, a mnie w szarym nie do twarzy. I mówiłam temu małemu czarnemu, co zrobię, a on się tak kurczył i kurczył, jakby widział różgę.

A potem powiedziałam: "To na nic. Powinna być mężczyzną." I już byłam starcem z długą białą brodą, i wtedy ten mały czarny zaczął się stawać coraz mniejszy i mniejszy, a ja mówiłam: "No, teraz widzisz. Teraz ja jestem mężczyzną." I myślałam, jak to jest, kiedy się jest mężczyzną, i ledwie o tym pomyślałam, stało się. To było takie "pfff"

jak wylatywanie korka z butelki albo powietrza z gumowej rurki, kiedy się w nią dmuchnie nie z tej strony, co trze-. ba. Zrobiło mi się zimno jak w ustach, kiedy się je trzyma otwarte. Czułam to i leżałam bez ruchu, i starałam się nie śmiać z tego, jaki on będzie zdumiony. Czułam, jak moja skóra wzdryga się przed jego ręką w moich majtkach, i leżałam tam, i starałam się nie śmiać z tego, jaki on za chwilę będzie wściekły i zdumiony. I ni stąd, ni zowąd zasnęłam. Nie mogłam już dłużej czuwać choćby do tej chwili, kiedy jego ręka się tam dostanie. Po prostu zasnęłam. Nie czułam już nawet, jak wzdrygam się przed jego ręką, tyle że wciąż jeszcze słyszałam chrzęst siennika. I obudziłam się dopiero wtedy, kiedy przyszła ta kobieta i zaprowadziła mnie do stajni.

Gdy Horace wychodził stamtąd, pani Reba powiedziała:

.– Wolałabym, żeby pan ją zabrał i nie dał jej tu wrócić. Sama bym znalazła jej rodzinę, gdybym wiedziała, jak to zrobić. A pan przecież wie, jak... Ona umrze albo skończy w szpitalu wariatów już po roku, jeżeli dalej tak będą ciągnąć to, co teraz wyprawiają tam w jej pokoju. Coś w tym wszystkim jest dziwnego, czego jeszcze nie wykryłam. Może ona. Nie urodziła się do takiego życia. Myślę, że trzeba się do tego urodzić, tak jak trzeba się urodzić na rzeźnika czy na fryzjera. Nikt by nie został rzeźnikiem ani fryzjerem tylko dla pieniędzy czy dla przyjemności.

“Lepiej byłoby dla niej, gdyby dziś już nie żyła – myślał Horace idąc. – Dla mnie też.” Myślał o niej, o Wytrzeszczu, o kobiecie, o dziecku, o Goodwinie – żeby tak dla nich wszystkich jedna komora, otchłan-na, pusta, komora natychmiastowej śmierci; unicestwienie w jednym ułamku sekundy pomiędzy zaskoczeniem i oburzeniem. “I dla mnie też.” Myślał, że to byłoby jedyne rozwiązanie. Usunięci, wypaleni z pełnej nieszczęść starej powierzchni globu. “I dla mnie też, teraz, kiedy jesteśmy tak zupełnie odosobnieni.” Myślał o łagodnym, ciemnym wietrze wiejącym w długich korytarzach snu; o tym, że leży się tam gdzieś pod niskim zacisznym stropem, pod długostrunnym dźwiękiem deszczu; myślał o mocy zła, o niesprawiedliwości i łzach.

U wylotu zaułka zobaczył dwoje ludzi, którzy stali twarzą w twarz, nie dotykając się; mężczyzna pieszczotliwym szeptem mówił jeden niecenzuralny epitet po drugim, kobieta milczała nieruchoma, jak gdyby odrętwiała w zadumie zmysłowego upojenia.

“Może to właśnie w tym ułamku sekundy, kiedy umieramy, uświadamiamy sobie, przyznajemy, że zło przecież ma jakiś swój układ logiczny” – pomyślał

1 przypomniał sobie wyraz w oczach pewnego zmarłego dziecka i innych

zmarłych, jakich widział: ten wstrząs rozpaczy, to chłodniejsze oburzenie zanika i pozostają dwie puste kulki, w których głębi czai się znieruchomiały świat w miniaturze.

Nawet nie wrócił do hotelu. Skierował się prosto na dworzec. Pociąg do Jefferson miał o północy. Wypił filiżankę kawy i natychmiast zaczął tego żałować, bo kawa legła mu gorącą bryłką w żołądku. W trzy godziny później, gdy wysiadł w Jefferson, jeszcze ją odczuwał. Powędrował do miasta i przeszedł przez opustoszały rynek. Pomyślał, że parę dni temu też przechodził przez rynek nad ranem. To było tak, jak gdyby między tymi dwoma światami ani trochę czasu nie minęło: ten sam gest Wskazówek na oświetlonej tarczy zegara, te same sępie cienie w bramach – mógł to być ten sam świat, a on po prostu przeszedł przez rynek, zrobił w tył zwrot i teraz właśnie wracał; wracał z jakiegoś snu wypełnionego wszystkimi koszmarnymi kształtami, których wymyślenie zajęło mu czterdzieści trzy lata i które ześrodkowały się teraz w gorącej, twardej bryłce w jego żołądku. Przyspieszył nagle kroku, a ta kawa przewalała mu się we wnętrznościach jak gorący ciężki kamień.

Cicho szedł aleją wjazdową, czując od żywopłotu zapach kapryfolium. Dom był ciemny, zmartwiały, jak gdyby osiadł na jakiejś mieliźnie w przestrzeni po odpływie wszelkiego czasu. Brzęczenie owadów opadło do niskiej jednostajnej tonacji i rozbrzmiewało wszędzie, nigdzie, znużone, aż wydawało się chemiczną substancją agonii świata, opuszczonego, ogołoconego, kończącego się, odkąd wyrzuciła go fala cieczy, w której dotąd żył i oddychał. Księżyc stał w w górze, ale bez światła; ziemia leżała w dole bez ciemności. Więc on otworzył drzwi domu i po omacku ruszył do pokoju, do światła. Głos nocy – brzęczenie owadów, cokolwiek to było, wkradło się za nim do domu. Nagle wiedział, że to, co słyszy, jest tarcie ziemi o oś, że nadchodzi chwila, gdy ziemia musi zdecydować, czy będzie się kręcić dalej, czy ustanie na zawsze; w chłodniejszej przestrzeni nieruchoma kula i wokół niej jak zimny dym wije się gęsty zapach kapryfolium.

Natrafił ręką na kontakt i zapalił światło. Na komodzie stała fotografia. Podniósł ją oburącz. Otoczona wąskim odciskiem ramki, z której ją zabrał, twarz Małej Belle marzyła w słodkiej rzewności światłocienia. Może dlatego, że światło nadawało kartonowi jakąś swoją cechę, a może wskutek jakiegoś nieskończonego słabego drżenia jego rąk czy powiewu oddechu, ta twarz w jego dłoniach, w płytkiej kąpielu blasku, na pozór oddychała pod opieszalymi, dymnymi językami niewidocznego kapryfolium. Ta woń

prawie tak namacalna, że aż widoczna, napełniała pokój, a mała twarzą z dawała się omdlewać w rozkosznym rozmarzeniu, zamazując się coraz bardziej, zanikając, zostawiając mu w oczach łagodny, zanikający poblask urokliwości i zmysłowych obietnic, i tajemnego potwierdzenia – jak sama wonność kwiatów.

A potem już wiedział, co oznacza to uczucie w żołądku. Szybko odłożył fotografię i poszedł do łazienki. Otworzył drzwi już w biegu i zaczął po ciemku szukać kontaktu. Ale nie miał na to czasu, więc zrezygnował z zapalenia światła i rzucił się ku umywalni, uderzył o krawędź i oparł się nad nią na wyprostowanych rękach, podczas gdy siennik chrząścił straszliwie pod jej udami. Leżała z głową lekko uniesioną, z podbródkiem opuszczonym, jak figura zdjęta z krucyfiks, patrząc na coś czarnego, wściekłego, co z rykiem wychodziło z jej bladego ciała. Naga, przywiązana leżała na wznak na niskim samochodzie, który pędził przez czarny tunel i dwa sztywne sznury czerni sunęły nad jej głową i w uszach jej huczały żelazne koła. Samochód poderwał się i całą swoją masą wystrzelił ukośnie z tunelu w ciemność teraz rozcieńczoną dwoma równoległymi strzypami żywego ognia, coraz wyżej i wyżej ku owemu crescendo, jak wstrzymany oddech ku jakiejś luce, w której ona będzie kołysać się lekko i leniwie w nicości pełnej niezliczonych białych światełek. Z daleka, z dołu, jeszcze będzie słyszeć ten słaby, wściekły chrząst siennika.

XXIV

Gdy za pierwszym razem Tempie doszła do podestu schodów, z półmroku przy drzwiach pani Reby na dole łypnęły białkami oczy Minnie. Potem znów w swoim pokoju stojąc pod zamkniętymi na zasuwkę drzwiami Tempie usłyszała, jak po schodach człapie pani Reba, i usłyszała jej stukanie. Stała cicho oparta o drzwi, za którymi pani Reba sapała i zachłystywała się mieszaniną pochlebstw i pogróżek. Stała zupełnie cicho. Po chwili pani Reba poczłapała z powrotem na dół.

Wtedy Tempie odeszła od drzwi i stanęła na środku pokoju, bezdźwięcznie uderzając dłonią o dłoń – oczy miała zupełnie czarne, twarz siną. Była w spacerowej sukience i w kapeluszu. Zdjęła kapelusz i cisnęła w kąt; podeszła do łóżka, rzuciła się twarzą w poduszkę. Łóżko nie było zasłane. Stolik nocny zaśmiecały niedopałki papierosów, podłogę wokół pokrywał popiół. Powłoczkę poduszki od strony stolika cętkowały brązowe wypalone dziury. Często w nocy Tempie budząc się czuła zapach tytoniu i widziała jedno rubinowe oko rozżarzone tam, gdzie w ciemnościach były usta Wytrzeszcza.

Dochodziła dziesiąta rano. Spod opuszczonej rolety okna wychodzącego na południe blask słońca cienką pręgą kładł się na parapecie i wąskim pasem na podłodze. Dom trwał w swojej zwykłej porannej ciszy, jak gdyby po nocy nie miał siły oddychać. Od czasu do czasu ulicą przejeżdżał jakiś samochód.

Tempie odwróciła się na łóżku. Gdy się odwróciła, wzrok jej padł na przerzucone w poprzek krzesła jedno z wielu czarnych ubrań Wytrzeszcza. Popatrzyła na to ubranie, zerwała się nagle, chwyciła je i cisnęła w kąt, gdzie już leżał kapelusz.

W drugim kącie była szafa zaimprovizowana z wzorzystej zasłony. Wisiały tam sukienki na każdą okazję, wszystkie zupełnie nowe. Z wściekłością zaczęła zdzierać je z wieszaków i w zmiętych kłębach

ciskać w ślad za tym czarnym ubraniem – to samo zrobiła z kapeluszami, rzędem ułożonymi na półce. Jeszcze wisiało inne czarne ubranie Wytrzeszcza. Zrzuciła je także. Ukazał się wtedy zwisający z gwoździa pistolet automatyczny w futeralesie z impregnowanego jedwabiu. Ostrożnie zdjęła go stamtąd, wyciągnęła z futerału i przez chwilę

trzymała w ręce. Potem podeszła do łóżka i schowała pistolet pod poduszkę.

Na toaletce pełno było toaletowych drobiazgów i kosmetyków też nowych – szczotek i lusterek, buteleczek i słoiczków o kształtach finezyjnych i dziwacznych, opatrzonych etykietkami francuskimi. Jedną po drugiej zgarniała te rzeczy i ciskała w kąt już to z głuchym stuknięciem, już to z brzękiem tłuczonego szkła. Wreszcie wzięła z toaletki platynową torebkę – delikatną siatkę z łańcuszków, poprzez którą pomarańczowo przeświecały banknoty spokojnie ufne w swoją wartość. Torebkę także cisnęła w kąt i wróciła do łóżka, znów rzuciła się twarzą w poduszkę, wśród gęstniejących powoli oparów kosztownych perfum.

W południe usłyszała pukanie do drzwi i głos Minnie:

– Obiad przyniosłam. – Nie poruszyła się. – Postawię pode drzwiami. Weźmie panienka, jak się zachce jeść.

Minnie odeszła cichnącymi stopniowo krokami. A ona nie poruszyła się.

Pas słonecznego blasku powoli przesuwał się na podłodze; od strony zachodu okno było już w cieniu. Usiadła z głową przechyloną, jakby nasłuchując, machinalnie rozczesując włosy zręcznymi, nawykłymi do tego palcami. Potem cicho wstała z łóżka, podeszła do drzwi i nasłuchiwała znowu. Otworzyła drzwi. Na podłodze pod drzwiami zobaczyła tacę. Przystąpiła ją, podeszła do schodów i wyjrzała przez poręcz. Po chwili zobaczyła w hallu Minnie, siedzącą na krześle.

– Minnie – powiedziała.

Minnie zadarła głowę; znów jej oczy lypnęły białkami.

– Przynieś mi dzynu – powiedziała Tempie. Wróciła do pokoju. Czekala piętnaście minut. Z

trzaskiem otworzyła drzwi i tupiąc wściekle wyszła na schody; zobaczyła Minnie w hallu.

– Tak, pszaniénki – zawołała Minnie. – Pani Reba mówi, że już nie mamy...

Otworzyły się drzwi pokoju pani Reby. Nie patrząc w górę pani Reba powiedziała coś do Minnie. Minnie zawołała w górę:

– Tak, pszaniénki. Już się robi. Zaraz przyniosę.

– Tylko spróbuj nie przynieść! ~ powiedziała Tempie.

Wróciła do pokoju, zamknęła drzwi i stała przy nich, aż usłyszała kroki Minnie. Uchyliła drzwi.

– Obiady panienka nie zje? – zapytała Minnie wpychając w szparę kolano.

Tempie przytrzymała drzwi.

– Gdzie dzyń? – zapytała.

– Jeszcze dziś u panienki nie sprzątałam – powiedziała Minnie.

– Daj mi – Tempie wyciągnęła rękę przez szparę. Wzięła szklanę z tacy.

– Ale więcej niech już panienka nie chce – powiedziała Minnie. – Pani Reba mówi, żeby więcej nie dawać... Jak można było tak potraktować jego? Kiedy on wydał tyle pieniędzy na to wszystko. Jak panience nie wstyd! I przecież ładny jest, i owszem, chociaż nie żaden tam John Gilbert, i kiedy on wydał tyle tych swoich pieniędzy...

Tempie zamknęła drzwi i zasunęła zasuwkę. Wypiła dzyń, przyciągnęła krzesło do łóżka, usiadła na krześle kładąc nogi na łóżko i zapaliła papierosa. Po chwili przesunęła krzesło do okna i podniosła trochę roletę, tak żeby widzieć ulicę w dole. Zapaliła drugiego papierosa.

O piątej zobaczyła, jak na ulicę wychodzi pani Reba w czarnych jedwabkach, w ukwieconym kapelu-

szu i kieruje się w stronę śródmieścia. Skoczyła na równe nogi, wygrzebała spod masy garderoby w kącie kapelusz i włożyła. Już przy drzwiach odwróciła się, wróciła do kąta i wygrzebała platynową torebkę. Zeszła ze schodów. W hallu zastała Minnie.

– Dam ci dziesięć dolarów – powiedziała. – Wychodzę tylko na dziesięć minut.

– Ja nie mogę panienki wypuścić. Miejsce stracę, jak się pani Reba dowie, i głowę z karku, jak się pan Wytrzeszcz dowie.

– Przysięgam, że wrócę za dziesięć minut. Przysięgam, że wrócę. Dwadzieścia dolarów.

Wetknęła Minnie banknot w rękę.

– Ale na pewno – powiedziała Minnie otwierając drzwi. – Jak panienka za dziesięć minut nie wróci, to i ja się stąd wyniosę.

Tempie otworzyła drzwi drewnianego przedsionka i wyjrzała na ulicę. Było pusto, tylko po drugiej stronie zobaczyła stojącą przy krawężniku taksówkę, a w bramie za taksówką stał mężczyzna w cykli-stówce. Szybkim krokiem poszła ulicą. Na rogu podjechał i zahamował przy niej kierowca innej taksówki patrząc pytająco. Ale ona skręciła do drogerii i poszła w głąb, do budki telefonicznej. Potem wróciła do domu. Na rogu spotkała tego w cyklistówce, który przedtem stał w bramie. Weszła za okratowanie.

Minnie otworzyła jej drzwi.

– Bogu dzięki – powiedziała Minnie. – Kiedy ta taksówka tam jechała, już chciałam się łapać za pakowanie, bo myślałam, że panienka wsiądzie. Jak panienka nic o tym nie powie, to przyniosę dzynu.

Przyniosła dzyn i Tempie zaczęła pić. Znów w swoim pokoju stała przy drzwiach i nasłuchiwała podniecona, ze szklanką w drżącej ręce.

– Przyda mi się na później – powiedziała. – Przyda się bardziej niż teraz.

Nakryła szklankę spodkiem i schowała ją starannie. Ze sterty garderoby w kącie wygrzebała sukienkę wieczorową i powiesiła z powrotem w szafie. Przez

chwilę niezdecydowana patrzyła na inne rzeczy, ale ostatecznie wróciła do łóżka i położyła się znowu. Natychmiast wstała, przyciągnęła do łóżka krzesło i usiadła na krześle kładąc nogi na skłębionej pościeli. Powoli zapadał zmierzch, a ona tak siedziała, paliła papierosa za papierosem, łowiła uchem każdy odgłos na schodach.

O pół do siódmej Minnie przyniosła jej kolację. Na tacy stała jeszcze jedna szklanka dzynu.

– Ten przysłała sama pani Reba – powiedziała Minnie. – I pyta, jak się panienka czuje?

– Powiedz jej, że dobrze – poleciła Tempie. – Wykąpię się i pójdę spać, tak jej powiedz.

Po odejściu Minnie rozdygotanymi rękami przelała zawartość obu szklanek do kubka z umywalni i wpatrzyła się w dzyn poządliwie. Ale po chwili odstawiła kubek ostrożnie i przykryła, usiadła na łóżku i zaczęła jeść kolację. Gdy już zjadła, zapaliła papierosa. Ruchy miała nerwowe, urywane, paliła szybko, chodząc po pokoju. Przez chwilę stała w oknie przy odchylonej roletce, potem roletę opuściła i odeszła od okna, stanęła przed lustrem i z uwagą przyjrzała się sobie, palącej papierosa.

Cisnęła papierosa przez ramię w stronę kominka, podeszła do lustra i uczesała się. Jednym szarpnięciem odsunęła zasłonę zaimprovizowanej szafy w kącie, zdjęła z wieszaka sukienkę, rozłożyła ją na łóżku, podeszła do komody i wyciągnęła z szuflady bieliznę. I raptem zawahała się z tą bielizną w ręce, włożyła ją do szuflady z powrotem, zamknęła szufladę, szybko wzięła sukienkę z łóżka i powiesiła ją w szafie. I już zaraz chodziła znów po pokoju, bezwiednie paląc następnego papierosa. Po chwili ocknęła się z zamyślenia, odrzuciła papierosa, podeszła do stolika, Spojrzała na zegarek i oparła go o

paczkę papierosów tak, żeby widać go było z łóżka, po czym położyła się. Przez poduszkę poczuła pistolet. Wyciągnęła go spod poduszki, obejrzała, wsunęła sobie pod bok i znów leżała nieruchomo, z nogami wyprostowanymi, z rękami pod głową i źrenice jej były jak czarne łepki szpilek za każdym razem, gdy ze schodów dolatywał jakiś odgłos.

O dziewiątej wstała. Znów wzięła pistolet w rękę; trzymała go przez chwilę, a potem wepchnęła pod materac, rozebrała się i w kimonie w złociste smoki i zielonkawe i szkarłatne kwiaty wyszła z pokoju. Gdy wróciła, włosy wiły się jej wokół twarzy w wilgotnych lokach. Podeszła do umywalni, wzięła kubek, potrzyzymała go oburącz, ale ostatecznie odstawiła na umywalnię.

Ubrała się wyciągając z kąta buteleczki i słoiki. Malowała się przed lustrem wściekle, a przecież bardzo starannie. Podeszła do umywalni i wzięła kubek, ale znów go odstawiła i poszła do kąta, wyciągnęła ze sterty garderoby płaszcz i narzuciła na siebie, schowała do kieszeni platynową torebkę, po czym jeszcze raz przyjrzała się swojej twarzy w lustrze. Odeszła od lustra, wzięła kubek, wypła dżyń wielkimi łykami i wybiegła z pokoju.

W hallu paliła się tylko jedna lampa. Nie było nikogo.. Z pokoju pani Eeby dolatywały głosy, ale w hallu nie było nikogo. Szybko i cicho zeszła na dół do drzwi frontowych, zdawało się jej, że właśnie przy drzwiach ją zatrzymają, więc z dojmującym żalem pomyślała o pistolecie, prawie chcąc po niego wrócić, wiedząc, że użyłaby go bez żadnych skrupułów, a nawet z pewną przyjemnością. Rzuciła się jednak do drzwi i z głową odwróconą w głąb hallu namacała rygiel.

Otworzyła drzwi. Wyskoczyła za próg, otworzyła drugie drzwi w drewnianym okratowaniu i pobiegła chodnikiem do furtki i za furtkę na ulicę. W tej samej chwili zatrzymał się przy niej samochód, który wolno jechał wzdłuż krawężnika. Przy kierownicy siedział Wytrzeszcz. Drzwiczki samochodu otworzyły się jak gdyby same przez się. Bo on siedział bez ruchu, bez słowa, w słomkowym kapeluszu lekko zsuniętym na bakier.

– Nie wsiądę! -- powiedziała. – Nie wsiądę! Siedział bez ruchu, bez słowa. Podeszła do samochodu.

– Nie wsiądę, mówię ci! – I krzyknęła nieopanowanie: – Ty się go boisz! Boisz się tam pojechać!

– Daję mu szansę – powiedział. – Wracasz do tego domu czy wsiadasz?

– Boisz się tam pojechać!

– Daję mu szansę – wycedził :zimno i cicho. – No, prędeż. Albo, albo.

Pochyliła się i położyła mu rękę na ramiendu.

– Wytrzeszcz – powiedziała – tatuśku!

To ramię pod jej ręką było wątłe, nie grubsze niż ramię dziecka, martwe i twarde, i lekkie jak patyk.

– Mnie wszystiko jedna, co zrobisz – powiedział. – Ale zdecyduj się na coś. No!

Pochylała się ku niemu, wciąż jeszcze trzymając mu rękę na ramieniu. I nagle wsiadła do samochodu.

– Nie zrobisz tego. Boisz się. On jest lepszy niż ty. Poprzez nią sięgnął -do klamki drzwiczek i zamknął je.

– Dokąd? – zapytał. – Do “Groty”?

– On jest lepszy niż ty! – powtórzyła piskliwie. – Ty nawet nie jesteś mężczyzną! On wie o tym. Kto może wiedzieć, jeżeli nie on? – Już jechali. Zaczęła na niego wrzeszczeć: – Ty! Mężczyzna, śmiały, zły mężczyzna, kiedy nie możesz nawet... Kiedy musisz przyprowadzać prawdziwego mężczyznę po to, żeby... I zagapiony nad łóżkiem beczysz, mazgaisz się j.ak... Tylko raz mogłeś mnie oszukać. Nic dziwnego, że wtedy krwawiłam i...

Zatkał jej usta mocno, aż wbił jej paznokcie w twarz. Drugą ręką prowadził samochód z szaleńczą szybkością. Gdy przejeżdżali pod światłami, widziała jego oczy, szamocząc się, szarpiąc go za rękę, miotając głową, widziała wzrok, jakim patrzył na nią.

Przestała się szamotać, ale wciąż jeszcze z !bdku na bok kręciła głową, szarpała jego rękę. A on wciąż jeszcze zatykał jej usta, rozdzielał je palcem w grubym pierścionku tak, że nie mogła ich zamknąć, wpijał czubki palców w policzek. Drugą ręką prowadził samochód gwałtownie poprzez ruch na jezdniach, zagrażając innym samochodom, aż ze zgrzytem hamulców zjeżdżały mu z drogi, przy czym wcale nie zwalniał na skrzyżowaniach ulic.

Raz krzyknął na nich policjant, ale on nawet się nie obejrzał.

Zaczęła kwilić, jęczeć pod jego ręką, ślinić mu palce. Pierścionek był jak instrument dentystyczny, nie mogła zamknąć ust, żeby przełknąć ślinę. Gdy wreszcie odjął tę rękę, czuła zimny odcisk jego palców na szczęce. Chwyliła się za twarz.

– Skaleczyłeś mnie w usta – zakwiliła.

Byli już prawie na przedmieściu, szybkościomierz wskazywał pięćdziesiąt mil na godzinę. Kapelusz przekrzywił się Wytrzeszczowi nad wątłym, ptasim profilem. Zaczęła rozcierać szczękę. Zamiast domów mijali teraz szerokie, ciemne parcele, z których wyłaniały się raptownie i upiornie, z jakąś beznadziejną pewnością siebie tablice agencji sprzedaży nieruchomości. Pomiedzy tablicami, w chłodnej pustej ciemności dmącej robaczkami świętojańskimi, wisiały światła niskie i dalekie. Rozpląkała się cicho, czując w żołądku chłód podwójnej porcji dżynu.

– Skaleczyłeś mnie w usta – pisnęła cienko i słabo, pełna litości nad sobą. I rozcierała szczękę niepewnymi palcami, naciskała skórę coraz mocniej, aż znalazła to obolałe miejsce. – Pożałujesz tego – oznajmiła stłumionym głosem – kiedy powiem Rudemu. Chciałbyś nim być, co? Chciałbyś móc robić to, co on może? Chciałbyś, żeby to on patrzył na nas, a nie ty?

Skrećili do "Groty" przejechali wzdłuż ściany o szczelnie zasłoniętych oknach, spoza których upalnymi podmuchami buchały dźwięki muzyki. Jednym skokiem, gdy on zamykał samochód, wysiadła i wbiegła na schodki.

– Dałam ci szansę – powiedziała. – Ty sam mnie przywiozłeś tutaj. Ja o to nie prosiłam.

Poszła do toalety. Dokładnie obejrzała swoją twarz w lustrze.

– Bzdura! – powiedziała. – Nie ma żadnych śladów. – I zaczęła naciągać skórą twarzy to w tą, to w tą stronę. – Ty głupia smarkulo – powiedziała swemu odbiciu w lustrze. I płynnie, bezmyślnie jak papuga, jeszcze powiedziała coś sprośnego.

Znów umalowała usta. Do toalety weszła jakaś kobieta. Szybko i ukradkiem obrzuciły nawzajem swoje suknie spojrzeniami zimnymi, ogarniającymi wszystkie szczegóły.

Wytrzeszcz z papierosem w palcach stał przy drzwiach sali.

– Dałam ci szansę – powiedziała Tempie. – Mogłeś tu nie przyjeżdżać.

– Mnie szansę niepotrzebne – powiedział.

– Jedną miałeś – powiedziała. – Żałujesz tego, co?

– Wchodź – położył rękę na jej plecach.

Już miała przestąpić próg, gdy nagle odwróciła się, trochę wyższa niż on, spojrzała mu w oczy i szybko sięgnęła pod jego pachą. Chwycił ją za przegub, więc sięgnęła drugą

ręką. Ale i tę drugą chwycił w swoją miękką, zimną dłoń. Patrzyli sobie w oczy – ona z ustami otwartymi, z plamami różu powoli ciemniejącymi na policzkach.

– Ja tobie dałem szansę tam w mieście – powiedział. –• A tyś zaryzykowała.

Za jej plecami rozbrzmiewała muzyka, parna, pełna reminiscencji; rozrzucona ruchem nóg, upojna historia mięśni, rozgrzewająca zapach ciała, krwi.

– Boże! Boże! – powiedziała prawie nie poruszając wargami. – Wracam. Wracam tam.

– Zaryzykowałaś – powiedział. – Więc teraz tu zostań.

Spróbowała wyzwolić ręce, sięgnąć do jego marynarki tuż poza zasięgiem jej palców. Powoli odwracał ją ku sali, ale wciąż patrzyła na niego.

– Tylko się ośmiel! – krzyknęła. – Tylko...

Zacisnął rękę na jej karku, palce jak stal, a przecież lekkie i zimne jak aluminium. Usłyszała słabe ocieranie się swoich kręgow i jego głos zimny i spokojny:

– Zatańczysz?

Skinęła głową. Tańczyli. Czowała jeszcze na karku jego rękę. Zza jego ramienia szybko rozglądała się po sali i wśród tańczących wodziła wzrokiem z twarzy na twarz. W pokoju gry, widocznym przez łukowate wejście tłoczono się przy dużym stole. Przechylała głowę w lewo i w prawo, żeby dojrzeć twarze graczy.

I nagle zobaczyła tych czterech. Siedzieli przy stoliku w pobliżu drzwi. Jeden z nich żuł gumę; wydawało się, że zamiast szczęki ma tylko zęby niewiarygodnie białe i wielkie. Widząc tych mężczyzn odwróciła Wytrzeszcza w tańcu plecami do nich i nieznacznie poprowadziła go z powrotem ku tym drzwiom. I znów jej udręczony wzrok przelatywał po twarzach w tłumie.

Gdy znów spojrzała na tych mężczyzn, dwaj z nich już wstali od stolika. Zbliźali się. Pociągnęła Wytrzeszcza w ich stronę, starając się, żeby nadal był do nich odwrócony plecami. Przystanęli, spróbowali przejść bokiem; a ona znów pchnęła Wytrzeszcza ku nim. Chciała coś powiedzieć, zagadać go, ale usta miała zimne i nie mogła. To było tak, jakby usiłowała zdrętwiałymi palcami podnieść szpilkę. I nagle poczuła, jak on ją od siebie odrzuca, poczuła małe jego ręce, lekkie i sztywne jak aluminium. Zatoczyła się na ścianę patrząc, jak tamci dwaj wychodzą z sali.

– Ja wracam. Wracam. – Parsknęła piskliwym śmiechem.

– Cicho bądź – powiedział Wytrzeszcz. – Będiesz cicho?

– Zamów mi coś do picia – powiedziała. Poczula na sobie jego rękę; nogi też miała teraz

zimne, jakieś nie swoje. Siedzieli już przy stoliku.

O dwa stoliki dalej, oparty łokciami o blat, nadal żuł gumę ten zębaty. Czwarty z nich, w marynarce zapiętej, prawie leżał na krześle i palił papierosa.

Patrzyła na ręce, które stawiały butelki na stoliku: na brązową rękę w białym rękawie i na brudną białą pod zaszarganym mankietem. Wzięła szklankę z dzynem. Wychyliła ją, wypila dżyń przelękając szybko i zanim odstawiała szklankę, zobaczyła, że w drzwiach stoi Rudy w popielatym ubraniu i w muszce w kropki. Wyglądał zupełnie jak student i rozglądał się po sali, dopóki jej nie zobaczył. Spojrzał na tył głowy Wytrzeszcza, a potem na nią, gdy tak siedziała z tą szklanką w ręce. Tamci dwaj o dwa stoliki dalej nie drgnęli nawet. Widziała tylko, jak słabo, miarowo poruszają się uszy tego, który żuje gumę. Znowu zabrzmiały dźwięki muzyki.

Starala się, żeby Wytrzeszcz siedział tak odwrócony tyłem do Rudego. A Rudy patrzył na nią, prawie o głowę wyższy od wszystkich w sali.

– Chodź – powiedziała Wytrzeszczowi do ucha. – Jeżeli chcesz tańczyć, to tańcz.

Wychyliła jeszcze jedną szklankę. I znowu tańczyli. Rudy zniknął. Gdy wrócili do stolika, wypila jeszcze. Nie zrobiło jej to dobrze. Legło tylko twardo i gorąco w żołądku.

– Chodź – powiedziała. – Grają znowu.

Ale on nie chciał wstać. Stała nad nim, czując, jak mięśnie jej drgają i skaczą z wyczerpania i ze strachu. Zaczęła z niego szydzić:

– Taki z ciebie mężczyzna, śmiały, zły mężczyzna, pozwolisz, żeby dziewczyna zwała cię tańcem z nóg!

I nagle z twarzą bez krwi, małą, mizerną i szczerą powiedziała jak dziecko, ze spokojną rozpaczą:

– Wytrzeszcz!

Siedział opierając ręce o stół nad drugą szklanką, w której rozpuszczał się lód, i bawił się papierosem. Położyła mu dłoń na ramieniu.

– Tatuśku! – powiedziała.

Podeszła bliżej, żeby odgrodzić go sobą od sali, i ukradkiem podsunęła palce do jego pachy, dotknęła kolby płaskiego pistoletu. Pistolet tkwił sztywno w lekkim,

martwym imadle jego ramienia i boku.

– Daj mi go – szepnęła. – Tatuśku! Tatuśku! – Podeszła jeszcze bliżej i zaczęła ocierać się udem o jego ramię. – Daj mi go, tatuśku – szepnęła. Szybko, ukradkiem zsunęła rękę w dół po jego ciele i natychmiast poderwała ją z odrazą. – Zapomniałam – szepnęła. – Nie chciałam... nie...

Jeden z tamtych dwóch o dwa stoliki dalej syknął przez zęby.

– Siadaj – powiedział Wytrzeszcz.

Usiadła. Napełniła swoją szklankę dżynem, patrząc, jak jej ręce wykonują tę czynność. Potem patrzyła już na połę popielatej marynarki.

“Odlamał mu się guzik” – pomyślała głupio. Wytrzeszcz siedział bez ruchu.

– Tańczysz to? – zapytał Rudy.

Pochylał głowę, ale nie patrzył na nią. Stał zwrócony raczej do tamtych dwóch o dwa stoliki dalej. Wytrzeszcz siedział nadal. Delikatnie skubał koniec papierosa, wyszczypując włókienka tytoniu. Potem włożył papierosa do ust.

– Nie tańczę – odpowiedziała zimnymi wargami.

– Nie? – Rudy nie odszedł. Zapytał spokojnie: – Jak się czuje nasz amant?

– Świetnie – odpowiedział Wytrzeszcz.

Tempie patrzyła na niego, gdy zapalał zapałkę; zobaczyła zniekształcony przez szkło szklanki płomyk.

– Ty już masz dość – powiedział Wytrzeszcz. Odjął jej szklankę od ust. Patrzyła, jak on wylewa

zawartość szklanki do miski z lodem. Znów zabrzmiały dźwięki muzyki. Siedziała i milcząc rozglądała się po sali. I nagle zaczął jej w uszach słabo brzęczeć jakiś głos, a potem Wytrzeszcz chwycił ją za przegub i potrząsnął jej ręką i pojęła, że ma usta otwarte i piszczy.

– Cicho bądź, no – powiedział. – Pij, jeżeli chcesz.

Napełnił jej szklankę.

– Jeszcze mi wcale nie poszło do głowy – powiedziała.

Podał jej szklankę. Wypiła. Stawiając szklankę uświadomiła sobie, że jest pijana. Pijana chyba od dłuższego czasu. Pomyślała, że może straciła przytomność i że to już się stało. Słyszała samą siebie powtarzającą raz po raz: “Mam nadzieję, że to już się stało. Mam nadzieję, że już.” Aż uwierzyła w to i ogarnęło ją pożądanie i uczucie utraty.

Myślała: "Już nigdy nie będę", i siedziała w rozkołysanym odrętwieniu, czując rozpaczliwy smutek i tęsknotę miłosną, myśląc o ciele Rudego, patrząc na swoją rękę, w której nad szklanką trzymała pustą butelkę.

– Wszystko już wypijaś – powiedział Wytrzeszcz. – Wstań teraz. Wytańcz to.

I tańczyli znowu. Poruszała się sztywno, o ciężale, oczy miała otwarte, ale nie widziała nic; tańcząc w takt muzyki, zrazu wcale melodii nie słyszała. Dopiero po chwili uprzytomniła sobie, że orkiestra gra dalej melodię, przy której prosił ją do tańca Rudy. A więc to jeszcze nie mogło się stać. Poczula szaloną ulgę. Nie jest za późno – Rudy jeszcze żyje. Poczula, jak ją zalewają długie, drżące fale pożądania, jak odbarwiają jej usta, jak w dreszczach omdlenia wciągają jej gałki oczne w głąb czaszki.

Byli już przy stole gry. Słyszała samą siebie wykrzykującą coś do kostek. Rzuciła kostki, wygrywała; gromadziły się sztony, które zagarniał ku niej Wytrzeszcz pouczając ją i poprawiając cicho, kłótliwie. Stał obok, niższy od niej.

Sam wziął kubek z kostkami. Stała przy nim, chytra, przejęta muzyką i zapachem swojego ciała i czuła, jak zalewa ją fala za falą pożądanie. Ucichła. Stopniowo, nieznacznie odsuwała się i odsuwała, dopóki ktoś nie wśliznął się na jej miejsce. Potem już szła prędko, uważnie przez parkiet ku drzwiom, gdy tańczące pary i dźwięki muzyki wirowały wokół niej jaskrawą, zróżnicowaną nieskończenie powodzią. Przy stoliku, przy którym przedtem siedzieli ci dwaj, nie było teraz nikogo, ale ona tam nawet nie spojrzała. Wyszła na korytarz. Podeszedł do niej kelner. – Pokój – powiedziała. – Prędko! W pokoju był stół i cztery krzesła. Kelner zapalił światło i zatrzymał się w drzwiach. Odprawiła go machnięciem dłoni; wyszedł. Oparta o stół napiętymi rękami, patrzyła na drzwi, aż stanął w nich Rudy.

Szedł do niej. Nie poruszyła się. Pociemniało jej w oczach, wzniesionych gdzieś w głąb czaszki ponad półksiężyc białek bez źrenic, zastygłych jak oczy posągów. Szeptala: „A-a-a-a-”, coraz ciszej, odchylając się powoli, jak gdyby czekały ją jakieś wymyślne męski. Gdy dotknął jej, sprężyła się w łuk, przywarła do niego i z ustami otwartymi, brzydkimi jak paszcza ryby na piasku, zaczęła ocierać się o niego lędźwiami. Siłą wyzwolił twarz z jej rąk. Trupio błada, trąc o niego biodrami, wysuwając rozdziawione usta, mówiła teraz:

– Pospieszmy się. Dokądkolwiek. Ja go rzuciłam. Powiedziałam mu. To nie moja

wina. No bo czy moja? Nie potrzebujesz brać kapelusza, ja także nie. Przyjechał tu, żeby cię zabić, ale ja powiedziałam, że przecież dałam mu szansę. To nie była moja wina. Odtąd będziemy już tylko my. On już nie będzie patrzył na nas. Chodź! Na co czekasz?

Wysunęła usta ku niemu, ze skomlącym jękiem przyciągnęła jego głowę do swojej. Wyzwolił twarz z jej rąk.

– Powiedziałam mu, że go rzucam. Powiedziałam mu: "Jeżeli mnie tu przywieziesz. Przecież dałam ci szansę." Tak powiedziałam. A teraz on ma ich tutaj... tych czterech, żeby cię sprzątnęli. Ale ty się nie boisz, prawda?

– Wiedziałaś o tym, kiedy do mnie telefonowałaś? – zapytał.

– Co? On powiedział, że już mi nie da widywać się z tobą. Powiedział, że cię zabije. Ale kazał śledzić mnie, kiedy telefonowałam. Widziałam tego typu. Ale ty się nie boisz. On nawet nie jest mężczyzną, a ty jesteś. Jesteś mężczyzną. Jesteś mężczyzną.

I ocierała się o niego znów, ciągnęła go za głowę, szeptała mu jak papuga epitety z podziemnego świata bezkrwistymi ustami, z których blado wyciekała ślina.

– Boisz się?

– Tego mętniaka, tego bękarta?

Unosząc ją z podłogi i odwracając, zdołał wreszcie sam odwrócić się do drzwi i wyzwolić prawą rękę. Zdawała się nie wiedzieć, że to zrobił.

– Proszę. Proszę. Proszę. Proszę. Nie każ mi czekać. Palę się.

– Dobrze. Wróć do sali. Czekaj na znak ode mnie. Wrócisz do sali?

– Nie mogę czekać. Musisz. Palę się, przecież ci mówię.

Przywarła do niego. Razem zataczali się zygzakiem ku drzwiom. Trzymał ją z daleka od swego prawego boku, a ona w zmysłowym omdleniu, nieświadoma, że oboje idą, prężyła się przy nim tak, jakby chciała dotykać go całą sobą. Uwolnił się i wypchnął ją na korytarz.

– Idź – powiedział. – Ja tam zaraz przyjdę.

– Ale zaraz? Palę się. Umieram, mówię ci.

– Tak. Zaraz. No, idź już!

Słyszała muzykę. Poszła korytarzem, trochę chwiejnie. Myślała, że opiera się o ścianę, gdy nagle stwierdziła, że znowu tańczy; a potem, że tańczy z dwoma mężczyznami jednocześnie, a potem, że wcale nie tańczy, tylko posuwa się ku wyjściu pomiędzy tym,

który żuł gumę, i tym drugim w zapiętej marynarce. Usiłowała się zatrzymać, ale prowadzili ją pod pachy; rzucając ostatnie pełne rozpaczy spojrzenie na rozwirowaną salę otworzyła usta do krzyku.

– Wrzaśnij – powiedział ten w zapiętej marynarce. – Tylko spróbuj raz.

Rudy stał przy stole gry. Zobaczyła jego odwróconą głowę, kubek z kostkami w podniesionej ręce. Właśnie kubkiem pomachał do niej krótko, wesoło. Patrzył na nią, dopóki nie zniknęła z tamtymi dwoma za drzwiami. Potem rozejrzał się szybko po sali. Twarz miał zuchwałą i spokojną, ale u nasady nozdrzy dwie białe zmarszczki i na czole kropelki potu. Zagrzechotał kubkiem i rzucił kostki, przy czym ręka mu nie drżała.

– Jedenaście – powiedział krupier.

– Niech zostanie w puli – powiedział Rudy. – Jeszcze milion razy będę rzucać tej nocy.

Wsadzili Tempie do samochodu. Ten w zapiętej marynarce ujął kierownicę. Tam gdzie podjazd łączył się z uliczką wiodącą na szosę, stał długi samochód turystyczny. Gdy go mijali, Tempie zobaczyła wąty ptasi profil Wytrzeszcza w kapeluszu na bakier i z papierosem, pochylony nad osłoniętą dłońmi zapalką. I natychmiast ta zapalka śmignęła w powietrzu jak gasnąca miniaturowa gwiazda, razem .z profilem wessana przez pęd ich przejazdu w ciemność.

XXV

Wszystkie stoliki ustawiono z jednej strony parkietu. Na każdym leżał czarny obrus. Story w oknach nadal były zasunięte, padało przez nie światło mgliste, łososiowe. Trumna stała tuż poniżej podium orkiestry, kosztowna trumna, czarna ze srebrnymi okuciami, umieszczona na kozłach, niewidocznych pod masą kwiatów. Te kwiaty, uplecione w wieńce, krzyże i inne kształty ku ozdobie ceremoniału pośmiertnego, wprost zalewały symboliczną falą katafalk, a także podium i fortepian, w oparach gęstych, dusznych woni.

Właściciel lokalu chodząc od stolika do stolika rozmawiał z przybywającymi i zajmującymi miejsca

gośćmi. Kelnerzy Murzyni w czarnych koszulach pod wykrochmalonymi białymi kurtkami już roznosili szklanki i butelki imbirowego piwa. Ruchy ich były chełpliwe, czcigodnie powściągliwe; w sali zaczynało panować przyciszone ożywienie, nastrój nieco gorączkowy, makabryczny.

Łukowate wejście do pokoju gry przysłaniały dra-perie kiru. Czarny całun leżał też i na stole, pod spiet-trzonymi tam wiązkami kwiatów, których nie dało się zmieścić przy trumnie. Nieustannie napływali j ludzie: mężczyźni w przyzwoitych ciemnych garniturach bądź w jasnych, jaskrawych ubraniach wiosennych, co podkreślało nastrój makabrycznego paradoksu; kobiety – te młodsze również ubrane jasno, w jaskrawych kapeluszach i szalach, starsze w nobliwej szarości, w czerni i w granacie, siejące skrami brylantów: godne matrony, można by pomyśleć, stateczne panie domu na popołudniowej niedzielnej imprezie.

W sali podnosił się już szum przyciszonych piskliwych rozmów. To tu, to tam z wysoko rozchybotanymi tacami chodzili kelnerzy, wyglądający w swoich białych kurtkach i czarnych koszulach jak fotograficzne negatywy. Od stolika do stolika sunął właściciel lokalu i pobłyskiwał łysiną i wielkim brylantem w czarnym krawacie, a za właścicielem wykidajło, siłacz o kulistej głowie, barczysty i tęgi, w smokingu tak obcisłym, jak gdyby lada chwila miał trzasnąć z tyłu na nim, niczym kokon na larwie.

W prywatnej jadalni na stole obwieszonym dra-periami kiru stała ogromna waza z ponczem, w którym pływały kawałki lodu i plasterki owoców. Nad wazą pochylał się jakiś

grubas w pomiętym zielonkawym ubraniu z brudnymi mankietami, wyłażącymi z rękawów aż na zakończone czarnymi paznokciami palce. Miał uszargany kołnierzyk, sflaczały i obwisa-jący z szyi, związany zatłuszczonym czarnym krawatem, w którym tkwiła szpilka z fałszywym rubinem.

Twarz mu lśniła wilgocią, gdy ochryple, żarliwie zapraszał gości stłoczonych wokół wazy.

– No, ludzie. Gene stawia. Nic was to nie kosztuje. Podchodźcie i pijcie. Nigdy jeszcze po tej ziemi nie stąpał chłopak lepszy od niego.

Pili i odchodzili, i na ich miejsce przychodzili z nadstawionymi kubkami inni. Od czasu do czasu przybiegał kelner z lodem i owocami, które wrzucał do wazy. Z walizki pod stołem Gene wyjmował coraz to nowe butelki i dopełniał wazę ich zawartością, po czym z miną gospodarza, gościnnie i spocony, podejmował swój ochryply monolog, rękawem ocierając twarz.

– No, ludzie. Na rachunek Gene'a. Jestem tylko biednym przemytnikiem, ale on nigdy nie miał lepszego przyjaciela ode mnie. Podchodźcie i pijcie, ludzie. Jeszcze jest dużo, nie zabraknie.

Z sali dansingowej dobiegały dźwięki strojenia instrumentów. Goście tam przechodzili i szukali wolnych krzeseł. Na podium była orkiestra sprowadzona z jednego z hoteli w mieście, we frakach. Właściciel lokalu i jakiś drugi mężczyzna rozmawiali z dyrygentem.

– Niech grają jazzowe kawałki -- powiedział ten drugi. – Rudy lubił tańczyć jak nikt.

– Nie, nie – powiedział właściciel. – Gene ich wszystkich tak szprycuje tą whisky za darmo, że jeszcze mi się tu puszcza w płasy. To będzie niedobrze wyglądało.

– Może "Nad pięknym modrym Dunajem"? – zaproponował dyrygent.

– Nie, nie, żaden charleston – powiedział właściciel. – Na tych marach leży nieboszczyk.

– To nie jest charleston – powiedział dyrygent.

– A co? – zapytał ten drugi.

– Walc. Straussa.

– Jakiegoś makaroniarza? – zapytał ten drugi. – Cholera w bok. Rudy był Amerykaninem. Pan możesz sobie nie być, ale on był. Nie umiecie czegoś

amerykańskiego? Zagrajcie "Oprócz miłości mej niczego dać ci nie mogę". On to bardzo lubił.

– Żeby mi tu tańczyli? – zapytał właściciel. Obejrzał się na stoliki, przy których kobiety rozmawiały już nieco piskliwie. – Lepiej zacznij pan od "Bliżej, mój Boże, do Ciebie" – powiedział – żeby ich trochę otrzeźwić. A mówiłem Gene'owi, że to ryzyko wyskakiwać z tym ponczem tak wcześnie. Radziłem zaczekać z tym, aż wyruszymy z powrotem do miasta. Ale

gdybym wiedział, że ktoś się uprze zrobić z tego karnawał... Lepiej zacznij pan uroczyście i ciągnijcie to, dopóki nie dam znaku.

– Rudy by wcale nie chciał uroczyście -powiedział ten drugi. – I pan to wiesz.

– Więc niech sobie idzie gdzie indziej – powiedział właściciel. – Ja robię tylko grzeczność. Nie prowadzę zakładu pogrzebowego.

Orkiestra zagrała: "Bliżej, mój Boże, do ciebie". Publiczność się uciszyła. Do sali weszła chwiejnie jakaś kobieta w czerwonej sukni.

– Paaa! – powiedziała. – Tymczasowo, Rudy! On prędzej będzie w piekle, zanim mnie zdążą posadzić w tym mamrze, w Little Rock.

– Pssst! – zasyczały głosy.

Opadła na krzesło. W drzwiach sali ukazał się Gene i stał tam przez cały czas, gdy orkiestra grała.

– Chodźcie, ludzie! – wrzasnął, ledwie przestała grać, i podrzucał przy tym grubymi rękami, jakby chciał ich wszystkich wygarnąć z sali. – Chodźcie i pijcie. Gene warn stawia. Żeby za dziesięć minut nie było tu ani jednego suchego gardła, ani jednego suchego oka!

Ci w tyle ruszyli ku drzwiom. Właściciel zerwał się i skinął na orkiestrę. Wstał kornecista i zaczął grać solo "W tej przystani spoczynku", ale tłum z głębi sali już i tak wyciekał drzwiami, w których wymachując ręką stał Gene. Dwie niemłode kobiety płakały cicho pod ukwieconymi kapeluszami.

Tłok i zgiełk zapanował wokół wysychającej wazy.

Z sali dolatywały tubalne dźwięki kornetu. Dwaj uszargani młodzieńcy z walizkami przepychali się do stołu, pokrzykując monotennie:

– Przejście! Przejście!

Otworzyli walizki; wyjmowali z nich butelki i stawiali na stole, skąd Gene,

wyraźnie już zapłakany, brał je, odkorkowywał i przelewał do wazy.

– Podchodźcie, ludzie! Kochałem go jak rodzzonego syna! – wrzeszczał ochryple zza rękawa, którym ocierał sobie twarz.

Bokiem przecisnął się do stołu kelner z miską lodu i owoców.

– Co do diabła? – zapytał Gene. – Chluśniesz tu te pomyje? Wynoś się z tym, do diabła!

– Urra! – wrzeszczano trącając się kubkami, zagłuszając wszystko, tak że Gene bezdźwięcznie jak w pantomimie wytrącił miskę z owocami z rąk kelnera i zabrał się znów do wlewania alkoholu w wazę i rozchlapywania po wyciągniętych rękach i kubkach. Dwaj młodzieńcy we wściekłym tempie otwierali butelki.

Jak gdyby przymieciony tam mosiężnym podmuchem muzyki, w drzwiach stanął wymachując rękami właściciel z twarzą zafrasowana.

– Chodźcie, ludzie – wrzasnął. – Najpierw niech się skończy program muzyczny. To kosztuje pieniądze.

– Do cholery z programem muzycznym! – krzyknęli.

– Kogo kosztuje pieniądze?

– Kogo to obchodzi?

– Kogo kosztuje pieniądze?

– Kto żałuje pieniędzy? Ja za to zapłacę. Jak rany Boga, zafunduję mu dwa pogrzeby!

– Ludzie! Ludzie! – krzyczał właściciel. – Zrozumcie! Chodźcie. Tam na marach...

– Kogo kosztuje pieniądze?

– Tam na arak? – zapytał Gene. – Na arak? – głos mu się załamał. – Czy ktoś mnie chce tutaj znieważyć...

– On żałuje pieniędzy dla Rudego.

– Kto żałuje?

– Joe żałuje, skurwysyn, pęta.

– Czy ktoś mnie chce tutaj znieważyć?...

– Więc przenieśmy się z tym pogrzebem. To nie jest jedyny lokal w mieście.

– Przenieśmy Joe'go.

– Do trumny tego skurwysyna! Niech będą dwa pogrzeby.

– Na arak? Na arak? Czy ktoś...

- Do trumny skurwysyna! Zobaczmy, jak mu tam będzie przyjemnie.
- Do trumny skurwysyna! – wrzasnęła kobieta w czerwonej sukni.

Hurmem ruszyli w stronę drzwi, gdzie właściciel wymachiwał rękami nad głową, przekrzykiwał ogólną wrzawę, zanim odwrócił się i uciekł.

W sali śpiewali czterej revellers! zaangażowani z teatryku wodewilowego. Zgranym chórem śpiewali kołysanki, aż przyszła kolej na "Sonny Boy". Prawie wszystkie starsze kobiety płakały. Kelnerzy teraz podawali im kubki z ponczem, a one siedziały z tymi kubkami w grubych, upierścienionych rękach i płakały.

Znów zagrała orkiestra. Do sali zataczając się weszła kobieta w czerwonej sukni.

– Prędeż, Joe! – krzyknęła. – Otwieraj grę! Wyrzuć już tego cholernego sztywniaka i otwieraj grę!

Jakiś mężczyzna spróbował ją powstrzymać; bluznęła na niego stekiem wyzwisk, podeszła do okrytego kirem stołu gry i cisnęła jeden z wieńców na podłogę. Popędził do niej właściciel, a za nim wykidajło. Właściciel chwycił ją, gdy brała ze stołu następny wieniec. Ów mężczyzna, który przedtem usiłował ją powstrzymać, przyskoczył, żeby jej bronić, ale klnąc piskliwie -zaczęła ich obu bez różnicy okładać wieńcem. Wykidajło ujął obrońcę za ramię, ten zakręcił się i walnął wykidajkę, za co został trzaśnięty z taką siłą, że przeleciał przez pół pokoju. Doskoczyli jeszcze trzej mężczyźni. Pierwszy wstał z podłogi i rzucili się na wykidajkę wszyscy czterej.

Wykidajło znów powalił pierwszego, zakręcił się i niewiarygodnie szybko dał susa do sali. Orkiestra grała. Ale natychmiast ją zagłuszyło raptowne pandemonium łoskotu krzesel i wrzasków. Wykidajło zakręcił się znów i natarł na podbiegających tamtych czterech. Zakotłowali się; drugi wyleciał w powietrze, po czym plecami przefroterował podłogę; wykidajło uskoczył przed pozostałymi trzema. Znów się zakręcił i natarł na nich tak, że rozwirowanym kłębem gruchnęli w katafalk. Muzyki już nie było. Członkowie orkiestry z instrumentami włązili na krzesła. Kwietne hołdy frunęły z katafalku; trumna się zachybotła.

- Łapać trumnę! – ktoś wrzasnął.

Doskoczyli, ale trumna ciężko gruchnęła na podłogę, wieko odpadło. Powoli, statecznie z trumny wytoczył się nieboszczyk i spoczął, z twarzą w jednym z wieńców.

- Grajcie coś! – ryknął właściciel wymachując rękami. – Grajcie! Grajcie!

Podnieśli nieboszczyka razem z wieńcem, bo koniec ukrytego w kwiatach drutu

wbił się w policzek. Nieboszczyk miał na głowie cyklistówkę, która spadła teraz i na środku jego czoła ukazała się mała sina dziurka. Dziurka była przedtem schludnie zatkana woskiem i zamalowana, ale wosk odprysnął i gdzieś zginął. Nie dał się znaleźć, więc w końcu odpięli zatrzask cyklistówki i nasunęli ją nieboszczykowi głęboko na oczy.

Gdy kondukt dojeżdżał do śródmieścia, przyłączyło się więcej samochodów. Za karawanem sunęło sześć odkrytych dużych packardów, z szoferami w liberii, z masami kwiatów wypełniającymi je po brzegi. Były jednakowe, z rodzaju tych, jakie wynajmuje na pogrzeb przedsiębiorstwo pogrzebowe lepszej klasy. Za packardami ciągnęły sznurem najrozmaitsze taksówki, samochody sportowe i limuzyny, coraz liczniejsze, w miarę jak kondukt w drodze ku głównej arterii prowadzącej za miasto, w kierunku cmentarza, posuwał się wolno ulicami, gdzie szybkość ruchu kołowego była ograniczona i gdzie spod opuszczonych rolet w oknach wyzierały jakieś twarze.

Na głównej ulicy karawan ruszył szybciej, kondukt rozciągnął się i zaczęły powstawać w nim luki. Po chwili samochody prywatne i taksówki zaczęły odpadać. Na każdym skrzyżowaniu skręcały w lewo albo w prawo, aż wreszcie został już tylko sam karawan i owych sześć packardów, w których nie jechał nikt oprócz szoferów w liberii. Środkiem szerokiej, teraz pustej jezdni biegła przed nimi biała linia, zmniejszając się w dali i znikając w gładkiej asfaltowej próżni. Wkrótce karawan jechał już z szybkością czterdziestu mil na godzinę, potem czterdziestu pięciu, a potem pięćdziesięciu.

Jedna z tych taksówek zatrzymała się przed domem pani Reby. Z taksówki wysiadła pani Reba, za nią chuda kobieta w surowo nobliwym kostiumie i w binoklach w złotej oprawie, za chudą drugą kobietą, niską i pulchną, w kapeluszu z piórem, trzymająca przy twarzy chustkę do nosa, i wreszcie wysiadł mały, pięcio czy sześćioletni chłopiec o kulistej głowie. Ta, która chustką ocierała oczy, nie przestawała łkać i gwałtownie pochlipywać, gdy szli wszyscy razem alejką i wchodzili za drewniane okratowanie. Za drzwiami już jazgotały psy. Minnie otworzyła, a one zaczęły kłębić się pod nogami pani Reby. Odpędzone przez nią kopnięciem, znów ją opadły i ujadły z zapalem; aż znów je kopnęła, tak że obily się głucho o ścianę.

– Wchodźcie, panie, wchodźcie – powiedziała pani Reba przyciskając rękę do piersi.

W domu kobieta z chustką przy oczach rozszlochała się na cały głos.

– Czyż nie wyglądał słodko? – lamentowała. – Czyż nie wyglądał słodko?

– No, no – powiedziała pani Reba i poprowadziła gości do swojego pokoju. – Niechże pani wejdzie i napije się piwa. Od razu poczuje się pani lepiej. Minnie!

Weszły do pokoju z udekorowaną toaletką, skrytką w ścianie, parawanem i portretem przystrojonym w krepę.

– Siadajcie, panie. Siadajcie – dyszała pani Reba wysuwając krzesła. Sama też ciężko usiadła i ze straszliwym wysiłkiem pochyliła się ku swoim stopom.

– Wujciu Bud, serduszko – powiedziała ta płacząca, znów zajęta ocieraniem sobie oczu. – Weź i rozsznuruj pani Rebie buciki.

Chłopiec ukląkł i zdjął pani Rebie buciki.

– A gdybyś tak jeszcze sięgnął pod łóżko, kotuś, i podał mi ranne pantofle? – poprosiła pani Reba.

Chłopiec przyniósł pantofle. Do pokoju weszła Minnie, za nią wpadły psy. Popędziły do pani Reby i zaczęły tarłować jej przed chwilą zdjęte obuwie.

– Odpiepscie się – powiedział chłopiec dając jednemu z psów klapsa. Pies błyskawicznie zwrócił ku niemu pysk, zęby kłapiące, oczy na pół ukryte pod kudłami, błyszczące złością. Chłopiec cofnął się.

– Tylko mnie ugłyż, ty skulfysynie – powiedział.

– Wujciu Bud! – upomniała go grubaska, ze zdumieniem i zgorzeniem odwracając do niego twarz okrągłą, zastygłą w fałdach tłuszczu i smugach łez, przy czym pióra na jej kapeluszu niepewnie przytaknęły.

Wujcio Bud miał idealnie kulistą głowę i nos zbryzgany piegami tak, jak uliczny chodnik bywa zbryzgany pierwszymi kroplami letniej ulewy. Druga kobieta siedziała wyprostowana godnie. W binoklach w złotej oprawie i na złotym łańcuszku, szpakowata, uczesana gładko i starannie, wyglądała na nauczycielkę.

– To przechodzi wszelkie pojęcie – powiedziała gruba. – Nie wiem, od kogo on, u Boga Ojca, może się uczyć takich słów na farmie w stanie Arkansas.

– Wszędzie nauczą się niegodziwości – powiedziała pani Reba.

Minnie pochyliła tacę, na której stały trzy oszronione kufle. Wujcio Bud patrzył okrągłymi chabrowymi oczami, jak każda bierze kufel. Grubaska znów się rozplakała.

– Tak słodko wyglądał! – zawodziła.

– Wszystkich nas to czeka – powiedziała pani Reba. – Oby jak najpóźniej – dodała podnosząc kufel.

Wypiły z ceremonialnymi ukłonami. Gruba otarła sobie oczy. Obie zaproszone damy wytarły sobie wargi godnie i przyzwoicie. Chuda zakaszła delikatnie na bok, osłaniając usta dłonią.

– Znakomite piwo – powiedziała.

– Nieprawdaż? – zapytała gruba. – Zawsze mówię, że nie ma większej przyjemności jak wizyta u pani Reby.

Potoczyła się grzeczna towarzyska rozmowa, pełna niedomówień gwoli przyzwoitości, przerywana krótkimi, przytakującymi westchnieniami. Chłopiec, nie mając co robić, podszedł do okna i wyjrzał spod uniesionej rolety na ulicę.

– Jak długo on u pani będzie, pani Myrtle? – zapytała pani Reba.

– Tylko do soboty – odpowiedziała gruba. – W sobotę wróci do domu. Ten tydzień czy dwa u mnie to dla niego zawsze miła mała odmiana. A ja też lubię go mieć przy sobie.

– Dzieci są taką pociechą każdemu – zauważyła chuda.

– Właśnie – potwierdziła pani Myrtle.

– Czy pani ma jeszcze u siebie tych dwóch sympatycznych młodzieńców, pani Rebo?

– Mam – odpowiedziała pani Reba. – Chociaż wydaje mi się, że powinnam się ich pozbyć. Nie powiem, że bym była specjalnie czułego serca, ale ostatecznie nie powinno się pomagać młodym ludziom uczyć się niegodziwości tego świata, dopóki nie muszą. Uznałam za swój obowiązek zabronić dziewczynkom tej bieżaniny po domu na golasa, i dziewczynkom wcale się to nie podoba.

Znów się napiły; tamte dwie wstrzemięźliwie, ujmując kufle delikatnie, z małymi palcami odgiętymi. Pani Reba dzierząc swój kufel, jakby to była broń, drugą rękę zatapiając w bałwany piersi. Odstawiła pusty kufel.

– Tak mi w gardle zaschło jakoś – powiedziała. – Nie napiłybyście się, panie, jeszcze?

Zaczęły się certować.

– Minnie! – zawołała pani Reba. Przyszła Minnie i napełniła kufel.

– Faktycznie, że po prostu mi wstyd – wyznała pani Myrtle. – Ale pani Reba ma takie dobre piwo. A poza tym wszystkie trochę się zdenerwowałyśmy dzisiaj.

– Mnie tylko dziwi, że nie było więcej zdenerwowania – powiedziała pani Reba. –

Tak dawać za darmo tyle tego alkoholu, jak dawał Gene!

– Ta gala musiała kosztować ciężki pieniądz – powiedziała chuda.

– Zgadzam się z panią – przytaknęła pani Reba. – I na co to komu? Same, panie, powiedzcie! Jedyny zaszczyt, że mu się napchała do lokalu kupa ludzi, którzy nie wydali nawet centa.

Odstawiła przedtem kufel na stolik przy swoim fotelu. Teraz odwróciła raptownie głowę i zajrzała do kufła. Wujcio Bud stał za jej krzesłem, opierając się o stolik.

– Czyś ty przypadkiem nie dorwał mi się do piwa, chłopcze? – zapytała.

– Ty, Wujciu Bud! – powiedziała pani Myrtle. – Nie wstyd ci? Oświadczam, dochodzi już do tego, że nie śmiem go zabrać nigdzie z wizytą. W życiu nie widziałam chłopca tak łasego na piwo. Wyjdź stąd i pobaw się na podwórku. Prędej!

– Psecies idę – powiedział Wujcio Bud.

Ruszył w nieokreślonym kierunku. Pani Reba wypila resztę piwa, odstawiła kufel z powrotem na stolik i wstała.

– Skoro wszystkie mamy trochę stargane nerwy – rzekła – to może będę mogła namówić was, panie, na łyczek dżynu.

– Nie, faktycznie – powiedziała pani Myrtle.

– Pani Reba to doskonała gospodyni – powiedziała chuda. – Ile razy ja o tym mówiłam, pani Myrtle?

– Nie podjęłabym się policzyć, ile razy, serduszko – powiedziała pani Myrtle.

Pani Reba zniknęła za parawanem.

– Widziała pani kiedy, żeby w czerwcu było tak ciepło, pani Lorraine? – zapytała pani Myrtle.

– Nigdy nie widziałam – odpowiedziała chuda. Pani Myrtle znów skrzywiła się, bliska płaczu.

Postawiła kufel i zaczęła szukać chustki do nosa.

– Tak mnie właśnie nachodzi – powiedziała. – I oni tam śpiewali tego "Sonny Boy", i w ogóle. Wyglądał tak słodko – załkała.

– No, no – powiedziała pani Lorraine. – Niech pani łyknie odrobinę piwa. Od razu zrobi się lepiej. Panią Myrtle znowu wzięło – powiedziała podnosząc głos w stronę parawanu.

– Jestem za bardzo wrażliwego serca – wyjaśniła pani Myrtle.

Pochlipując za chustką, zaczęła po omacku szukać kiifla. Pomacała przez chwilę, aż natrafiła ręką na kufel. Szybko podniosła oczy.

– Ty, Wujciu Bud – powiedziała. – Czy ci nie kazałam wyjść z tych foteli i iść się pobawić? Uwierzycie mi, panie? Onegdaj, kiedyśmy stąd wyszli, czułam się taka upokorzona, że wprost nie wiedziałam, co robić. Wstyd mi było, że mnie widzą na ulicy z chłopcem takim pijanym jak ty.

Pani Reba wynurzyła się zza parawanu niosąc trzy szklanki dżynu.

– To nas trochę podniesie na duchu – powiedziała. – Siedzimy tu jak trzy stare chore koty.

Ukloniły się sobie ceremonialnie, wypily dzyń. pocmokały. Znów potoczyła się rozmowa. Z początku mówiły wszystkie jednocześnie, zdaniami niepełnymi, ale już nie robiły przerw na przytaknięcia i potwierdzające westchnienia.

– Tak to jest z nami, dziewczynami – powiedziała pani Myrtle. – Mężczyźni chyba nigdy nie dadzą nam być tym, czym faktycznie jesteśmy same z siebie. To oni robią z nas takie, jakie jesteśmy, a później wymagają, żebyśmy były inne. Wymagają, żebyśmy nie spojrzwały już nigdy na żadnego, ale im wolno przychodzić i odchodzić, kiedy chcą.

– Kobieta, która chce się wygłupiać więcej niż z jednym na raz, jest głupia – powiedziała pani Reba. – Z każdym jednym kłopot, to po co jeszcze sobie kłopot podwajać? A kobieta, która nie potrafi być wierna jednemu dobremu mężczyźnie, kiedy go zdobędzie dla siebie i on hojnie na nią puszcza pieniądze, i nawet przez godzinę nie robi jej zmartwienia i złego słowa nie powie...

Spojrzała na tamte oczami posmutniałymi, przysnuwającymi się mgiełką nie wysłowionej, daremnej i cierplivej rozpacz.

– No, no – powiedziała pani Myrtle. Wychyliła się z fotela i poklepała jej ogromną rękę.

Pani Lorraine wyraziła współczucie plaśnięciem języka.

– Bo się pani rozrzewni – powiedziała pani Myrtle.

– On był taki dobry – powiedziała pani Reba. – Żyliśmy jak dwa gołąbki. Przez jedenaście lat jak dwa gołąbki.

– No, serduszko. No, serduszko – powiedziała pani Myrtle.

– W takich właśnie momentach to mnie nachodzi – powiedziała pani Reba. –

Jeszcze go mam w oczach, tego chłopca tam, jak leży pod tymi kwiatami.

– Nie miał więcej kwiatów niż pan Binford – powiedziała pani Myrtle. – No, no. Niech pani łyknie odrobinę piwa.

Pani Reba otarła oczy rękawem. Łyknęła piwo.

– Rudy powinien był wiedzieć, że z dziewczynką Wytrzeszcza nie ma co ryzykować – zmieniła temat pani Lorraine.

– Mężczyźni nigdy nie nauczą się wiedzieć – rozwinęła to pani Myrtle. – Jak się pani zdaje, pani Re-bo, dokąd oni wyjechali?

– Nie wiem i nie obchodzi mnie to – powiedziała pani Reba. – Ani jak prędko go złapią i spalą za zabicie tego chłopca. Ani to, ani to mnie nie obchodzi. Wcale.

– On jeździ co rok letnią porą aż do Pensacola, żeby odwiedzić swoją matkę – powiedziała pani Myrtle. – Mężczyzna, który to robi, nie może być do szpiku kości zły.

– Więc już nie wiem, jacy mają być ci źli, według pani uważania – powiedziała pani Reba. – Ja się staram prowadzić przyzwoity dom, to znaczy od dwudziestu lat prowadzę normalny bajzel, a ten chce mi tu raptem urządzić jakiś francuski wizjer czy co.

– Tak to jest z nami, biednymi dziewczynami – westchnęła pani Myrtle. – Wszystkie kłopoty przez nas i wszystkie cierpienia na nas.

– Podobnież jeszcze dwa lata temu on się zupełnie do tego nie nadawał – powiedziała pani Lorraine.

– Cały czas o tym wiedziałam – potwierdziła pani Reba. – Młody mężczyzna i pieniądze mu płyną na dziewczynki jak woda, a on z żadną nigdy nie skoczy do łóżka. To wbrew naturze. Wszystkie myślały, że to dlatego, że on ma jakąś kobietkę gdzieś na

mieście, ale ja warn mówię, moje panie, zapamiętajcie sobie moje słowa, w nim jest coś dziwnego. Jakaś to dziwna sprawa.

– Pieniądze przepuszczał, i owszem – powiedziała pani Lorraine.

– Ta biżuteria i stroje, które ona kupiła, to skandal – ciągnęła pani Reba – Było chińskie kimono, sto dolarów zapłaciła za nie, z importu było... i perfumy po dziesięć dolarów uncja; na drugi dzień rano kiedy tam poszłam na górę, wszystko leżało zwalone w kącie, i perfumy, i szminki rozsypane, jakby cyklon przeleciał. To właśnie zrobiła z wściekłości na niego, kiedy ją zbił. Więc potem zamknął ją i nie pozwolił, żeby wychodziła. Kazał pilnować frontu mojego domu, jakby to był...

Wzięła kufel ze stolika i podniosła do ust, po czym, zatrzymując rękę z kuflem w

powietrzu, zamrugła.

– Gdzie moje...

– Wujciu Bud! – powiedziała pani Myrtle. Chwyła chłopca za ramię, jednym szarpnięciem

wyciągnęła go z fotela pani Reby i zaczęła nim tak potrząsać, że kulista głowa z twarzą niezmaczenie tępą podrygiwała mu na ramionach.

– Nie wstyd ci? Nie wstyd ci? Jak mogłeś ruszać piwo tych pań? Aż mam ochotę zabrać ci z powrotem tego dolara, żebyś odkupił pani Rebie dzbanek piwa. Faktycznie, aż mam ochotę! No, idź do okna i stój tam, słyszysz!

– Głupstwo – powiedziała pani Reba. – Niedużo tam było. Wy, panie, także już wypiliście, prawda? Minnie!

Pani Lorraine przytknęła chustkę do ust. Zza binokli łypnęła oczami niejasno, tajemniczo, w bok. Drugą rękę przyłożyła do swojej płaskiej, staropanieńskiej piersi.

– Zapomniałyśmy o pani sercu, laleczko – wyraziła zrozumienie pani Myrtle. – Nie sądzi pani, że teraz lepiej by pani posłużył dżyn?

– Faktycznie. Ja... – powiedziała pani Lorraine.

– Tak, napijcie się, panie, dżynu – powiedziała pani Reba.

Wstała ociężale i zza parawanu przyniosła jeszcze trzy szklanki dżynu. Weszła Minnie i znów napełniła kufle. Piły cmokając.

– Więc tak to było, powiada pani? – podjęła pani Lorraine.

– Najpierw Minnie mi powiedziała, że tam się dzieje coś dziwnego – powiedziała pani Reba. – Że jego prawie nie ma, a kiedy jest, co parę nocy mniej więcej, to na drugi dzień przy sprzątaniu żadnych śladów w ogóle nie widać. I Minnie słyszała, jak się kłócili, i ona mówiła, że chce wyjść, a on jej nie pozwolił. Chociaż tyle strojów jej nakupował, wyobraźcie sobie, nie chciał, żeby wychodziła z domu, więc rozzłościła się, zamknęła drzwi na zasuwkę i nie chciała go nawet wpuścić.

– Może on wyjechał i kazał sobie zaszczepić taki gruczoł, z tych małych gruczołów, i nie przyjęło mu się -- powiedziała pani Myrtle.

– Potem kiedyś rano przyszedł tutaj z Rudym i zabrał go na górę. Byli tam coś godzinę i wyszli i nie pokazał się już do następnego dnia. Wtedy znów przyszedł z Rudym i byli tam coś godzinę. Po ich wyjściu Minnie do mnie przyleciała i mówi, co tam się działo, więc następnego dnia rano to już na nich czekałam. Wołam go

tutaj i mówię: "Słuchaj no ty, skur-wy..." -. urwała.

Przez chwilę wszystkie trzy siedziały bez ruchu, lekko wychylone z foteli. Potem wolno odwróciły głowy i spojrzały na chłopca, który opierał się o stolik.

– Wujciu Bud, serduszko – powiedziała pani Myrtle. – Czy nie masz życzenia wyjść i pobawić się na podwórku z Reba i Panem Binfordem?

– Mam zycenie – powiedział chłopiec.

Ruszył ku drzwiom. Patrzyły na niego, dopóki nie zamknął drzwi za sobą. Pani Lorraine podsunęła swój

fotel bliżej do tamtych; omal nie stykały się teraz głowami.

– Więc oni tak to robili? – zapytała pani Myrtle.

– Mówię mu: "Od dwudziestu lat ten dom prowadzę i jeszcze nigdy nie działo się tu u mnie nic podobnego. Jeżeli chcesz na swoją dziewczynkę napuszczać gachów, mówię, róbcie to gdzie indziej. Ja nie dam zamieniać mojego domu w jakiś francuski interes."

– Skurwysyn – powiedziała pani Lorraine.

– Miałyby przynajmniej tyle oleju w głowie, żeby wziąć do tego jakiegoś brzydkiego starucha – powiedziała pani Myrtle. – Tak nas kusić, biedne dziewczyny.

– Mężczyźni zawsze wymagają od nas, żebyśmy się opierały pokusom – powiedziała pani Lorraine. Siedziała wyprostowana jak nauczycielka w szkole. – Parszywy skurwysyn!

– Byle nie tym pokusom, jakie sami podstawiają – powiedziała pani Reba. – Wtedy trzeba na nich uważać... No więc, co rano przez cztery dni to się działo, a potem przestali przychodzić. Wytrzeszcz nie pokazał się przez cały tydzień, a ta dziewczynka wściekała się jak młoda klacz. Myślałam, że on może wyjechał gdzieś za jakimś interesem, aż Minnie mi powiedziała, że nie i że dostaje od niego pięć dolarów dziennie za pilnowanie tej dziewczynki, żeby nigdzie nie telefonowała i nie wychodziła. A ja chciałam z nim porozmawiać, żeby zabrał ją z mojego domu, bo nie miałam życzenia, żeby działo się u mnie coś podobnego. Właśnie! Minnie opowiadała, że oni oboje byli goli jak węże, a Wytrzeszcz przewieszał się przez poręcz łóżka i nawet kapelusza nie zdjął, i tylko rżał tak jakoś.

– Możliwe, że wiwatował na ich cześć – powiedziała pani Lorraine. – Parszywy skurwysyn!

Usłyszały kroki w hallu i zaraz głos Minnie podniesiony w jakiejś gorącej perswazji. Drzwi się otworzyły. Weszła Minnie, wyprostowaną ręką z daleka od siebie trzymając za kark Wujcia Buda. Zwiślał bezwładny, z twarzą zastygłą w wyrazie szklistej tępoty.

– Pani Rebo! – powiedziała Minnie. – Ten chłopiec włamał się do lodówki i wyłopał całą butelkę piwa. Ty! Chłopiec! – powiedziała potrząsając nim. – Stań na nogi!

Bezwładnie zwiślał, uśmiechnięty sztywno, głupkowato. I nagle na jego twarzy pojawił się wyraz zatroskania, konsternacji. Minnie gwałtownie odrzuciła go od siebie, gdy zaczął wymiotować.

XXVI

O wschodzie słońca Horace nie tylko nie leżał jeszcze w łóżku, ale nawet nie był rozebrany. Kończył właśnie pisać list do swojej żony na jej adres u ojca w Kentucky – list, w którym prosił ją o rozwód. Siedząc przy stole patrzył na tę jedną stronicę zapisaną starannym, nieczytelnym pismem i po raz pierwszy od czterech tygodni, odkąd nad źródłem poczuł na sobie wzrok Wytrzeszcza, było mu pusto i cicho. Siedział tak i ni stąd, ni zowąd zapachniała mu kawa.

“Ukończę tę sprawę i wyjadę do Europy. Jestem śmiertelnie zmęczony. Jestem za stary na to. Urodziłem się już za stary na to. Jestem śmiertelnie zmęczony i łaknę spokoju.”

Ogolił się, zaparzył kawę, wypił ją i zjadł trochę chleba. Gdy przechodził koło hotelu, przy krawężniku stał autobus mający odwieźć pasażerów na poranny pociąg. Wśród akwizytorów, którzy wsiadali do autobusu, był Clarence Snopes z brązową walizką w ręce.

– Jadę do Jackson na parę dni w jednym maleńkim interesiku – powiedział. – Szkoda, żeśmy się rozminęli wczoraj wieczorem. Wrócę samochodem. Coś mi się wydaje, że znalazł pan sobie wczoraj jakiś zaciszny kącik, co? – Patrzył na Horace'a, zwalisty i obleśny, i nie ulegało wątpliwości, co chce przez to powiedzieć. – Mogłem zabrać pana do pewnego do-

mu, o którym mało kto wie. Tam mężczyzna może robić wszystko, do czego dorósł. Ale jeszcze będzie okazja, skoro już poznaliśmy się bliżej. – Zniżył trochę głos odsuwając się nieznacznie na bok. – Możesz pan być spokojny. Ja nie rozgadam. Tu w Jefferson jestem takim właśnie człowiekiem; a co robię tam w mieście z paczką dobrych kumpli, to interes tylko mój i ich. Słuszne podejście?

Późniejszym rankiem tego samego dnia Horace zobaczył z daleka na ulicy swoją siostrę, która, idąc przed nim nagle zboczyła i zniknęła w jakichś drzwiach. Zaczai jej szukać, zaglądał do wszystkich pobliskich sklepów pytając o nią. Nie było jej nigdzie. Nie zajrzał tylko tam, gdzie klatka schodowa pomiędzy dwoma sklepami prowadziła na pierwsze piętro, na korytarz biur, z których jedno było kancelarią prokuratora

okręgowego, Eustace'a Grahama.

Graham miał szpotawą stopę i to zdecydowało o jego karierze. Z trudem torował sobie drogę na uniwersytet stanowy i potem na studiach; w Jefferson pamiętano go jeszcze z czasów jego młodości, gdy rozwoził artykuły spożywcze ze sklepów, z początku powożąc końmi, później prowadząc ciężarówkę. Na pierwszym roku studiów zasłynął z pracowitości. Był kelnerem w stołówce i jako listonosz miejscowej poczty nosił przesyłki po przybyciu każdego pociągu, kuśtykał po ulicy z workiem przewieszonym przez ramię – sympatyczny młody człowiek o szczerzej twarzy, z uprzejmym słowem dla każdego i z wyrazem czujnej drapieżności w oczach. Na drugim roku studiów nie odnowił już umowy z pocztą, jak również zrezygnował z pracy w stołówce; miał także nowe ubranie. Ludzie cieszyli się, że dzięki swojej pracowitości zaoszczędził trochę i teraz już cały czas będzie mógł poświęcić studiom. Był wówczas na wydziale prawnym i profesorowie hodowali go jak konia wyścigowego. Ukończył prawo z dobrym wynikiem, jakkolwiek bez odznaczenia. “Bo miał przeszkody na samym początku” – powiedzieli profesorowie. “Gdyby

zaczynał tak jak inni... On zajdzie daleko” – powiedzieli.

Dopiero po jego wyjeździe dowiedzieli się, że przez trzy lata grywał w pokera za opuszczonymi roletami w biurze pewnej stajni koni do wynajęcia. Gdy w dwa lata później został wybrany do stanowej izby ustawodawczej, zaczęto o nim opowiadać następującą anegdotę z jego czasów studenckich.

Partia pokera w biurze tej stajni. Graham ma dorzucić do puli. Patrzy ponad stołem na właściciela stajni, który jest jego jedynym pozostałym przeciwnikiem.

– Ile pan tam ma, panie Harris? – pyta.

– Czterdzieści dwa dolary, Eustace – odpowiada właściciel stajni.

Eustace wrzuca parę sztonów do puli.

– Ile tego jest? – pyta właściciel stajni.

– Czterdzieści dwa dolary, panie Harris.

– Hm! – mówi właściciel stajni. Przygląda się swoim kartom. – Ile kart wyciągnąłeś, Eustace?

– Trzy, panie Harris.

– Hm. Kto rozdawał karty, Eustace?

– Ja rozdawałem, panie Harris.

– Pasuję, Eustace.

Teraz prokuratorem, okręgowym był od niedawna, ale już zdążył dać do zrozumienia, że będzie się ubiegał o mandat do Kongresu na podstawie ilości ska-zań, które przeprowadził, toteż gdy po drugiej stronie biurka w swojej brudnej kancelarii zobaczył Nar-cisnę, minę miał taką, jak wtedy wkładając do puli czterdzieści dwa dolary.

– Wolalbym, żeby to nie był brat pani – powiedział. – Przykro mi widzieć towarzysza broni, jeżeli można się tak wyrazić, prowadzącego taką niedobłą sprawę.

Ogarniała go spojrzeniem bez wyrazu.

– Ostatecznie musimy chronić społeczeństwo nawet wtedy, kiedy się wydaje, że społeczeństwo nie potrzebuje ochrony.

– Czy jest pan pewny, że on nie wygra? – zapytała.

– No, pierwszą zasadą prawa jest: "Bóg tylko wie, co zrobi ława przysięgłych." Oczywiście, trudno wymagać...

– Ale, zdaniem pana, on nie wygra?

– Naturalnie, ja...

– Ma pan konkretny powód, żeby sądzić, że on nie może wygrać. Zapewne wie pan o tym coś, czego on nie wie.

Spojrzał na nią krótko, po czym wziął z biurka pióro i zaczął oskrobywać koniec stalówki nożem do przecinania papieru.

– To jest ściśle poufne – powiedział. – Łamię przysięgę służbową. Nie muszę pani tego mówić. Ale może zaoszczędzę pani zgryzoty, kiedy powiem, że on nie ma cienia szansy. Wyobrażam sobie, jakie to będzie dla niego rozczarowanie, niestety nie ma na to rady. My, tak się składa, wiemy, że ten człowiek jest winny. Więc jeżeli da się w jakiś sposób odsunąć brata pani od tego procesu, radziłbym to zrobić. Przegrywający adwokat to zupełnie to samo co przegrywający każdy inny, piłkarz czy kupiec, czy lekarz; jego zadaniem jest przecież wy...

– Więc im prędzej przegra, tym lepiej, prawda? – zapytała. – Jeżeli powiesz tego człowieka i już raz z tym skończą.

Ręce Grahama znieruchomiały. Nie podniósł wzroku.

– Są powody, dla których chcę Horace'a wypłatać z tej sprawy – powiedziała chłodno, spokojnie. – Im prędzej, tym lepiej. Trzy dni temu wieczorem telefonował do mnie ten Snopes, wie pan, ten z izby ustawodawczej, i chciał się z nim

skomunikować. Następnego dnia Horace wyjechał do Memphis. Pojęcia nie mam, po co. Będzie pan musiał sam to zbadać. Ja tylko chcę wypłatać Horace'a z tego wszystkiego możliwie jak najprędzej.

Wstała i ruszyła ku drzwiom. Graham wyszedł zza

biurka i kuśtykając pospieszył, żeby przed nią otworzyć drzwi. Znów zmierzyła go owym zimnym, zgaszonym, niezgłębionym spojrzeniem, jak gdyby był psem albo krową i miał zejść jej z drogi. Potem wyszła. Zamknął za nią drzwi i ledwie odszedł kulawo o krok, przytkając palcami w powietrzu, drzwi otworzyły się znowu. Więc szybko te przytkające palce podniósł do krawata i udał, że poprawia węzeł, przy czym patrzył na Narcisse, która znów stanęła w drzwiach.

– Jak pan myśli, którego dnia to się skończy? –• zapytała.

– No, nie umiałbym... Sesja sądu zaczyna się dwudziestego – powiedział. – To będzie pierwsza sprawa. Potrwa... hmm... ze dwa dni. Trzy najwyżej, z pani łaskawą pomocą. I nie potrzebuję zaznaczać, że zostanie to na pewno między nami.

Ruszył ku niej, ale jej zimne, obojętne spojrzenie było jak otaczający go mur.

– Dwudziestego czwartego. – Potem spojrziała na niego znowu. – Dziękuję – powiedziała i zamknęła drzwi.

Jeszcze tego wieczora napisała do Belle, że Horace wróci do domu dwudziestego czwartego. Zatelefonowała do Horace'a i zapytała o adres Belle.

– Na co? – zapytał Horace.

– Chcę napisać do niej – odrzekła głosem spokojnym, bez groźby.

“Niech to diabli – pomyślał trzymając słuchawkę, w której szumiała już cisza. – Jak można oczekiwać ode mnie walki, kiedy oni nawet nie uciekają się do wybiegów!”

Ale wkrótce zapomniał o tym – zapomniał, że Nar-cissa telefonowała. Nie widział się z nią, dopóki nie nadszedł dzień rozpoczęcia procesu.

Na dwa dni przed procesem ludzie widzieli Snopesa, gdy wychodził z gabinetu dentystycznego

i potem spluwając stanął na krawężniku. Wyjął z kieszeni cygaro owinięte złotą blaszką, usunął ją i ostrożnie wetknął cygaro między zęby. Miał podbite oko i na nasadzie nosa brudny opatrunek.

– Jakiś samochód potrącił mnie w Jackson – wyjaśnił u fryzjera. – Ale niech warn się nie zdaje, że ten skurwysyn nie musiał mi za to zapłacić – powiedział i pokazał plik

żółtych banknotów.

Włożył je do portfela i schował portfel.

– Ja jestem Amerykanin – ciągnął. – Nie chełpię się tym, bo jestem rodowity Amerykanin. I przyzwoity baptysta przez całe życie. Och, nie żaden kaznodzieja ani stara panna; od czasu do czasu wyskoczę gdzieś razem z chłopcami, ale uczciwie uważam, że nie jestem gorszy od mnóstwa innych, którzy udają, że śpiewają głośno w kościele. Jednakże najniższe, najpodlejsze stworzenie na tym padole to nie jest Negr, to jest Żyd. Nam potrzeba ustaw w obronie przed Żydami. Srogich ustaw. Kiedy byle cholera z żydowskiej hołoty może przyjechać do takiego wolnego kraju jak nasz, tylko dlatego że ma magisterium praw, naprawdę już pora czemuś podobnemu położyć wreszcie kres. Żyd jest najniższym rodzajem stworzenia. A najniższy rodzaj Żyda to Żyd adwokat. A najniższy rodzaj Żyda adwokata to Żyd adwokat z Memphis. Kiedy Żyd adwokat z Memphis może trzymać pod rewolwerem Amerykanina, białego, i dać mu tylko dziesięć dolarów za coś, za co dwóch Amerykanów, dżentelmenów z Południa: sędziego, który mieszka w stolicy stanu Missisipi, i adwokata, który zostanie kiedyś takim samym wielkim człowiekiem, jakim był jego papcio, i także sędzią... kiedy tacy dwaj dają temu Amerykaninowi, białemu, za to samo dziesięć razy więcej niż ten żydowski hołociarz, my naprawdę potrzebujemy opieki prawa. Przez całe życie hojnie sypałem pieniędzmi; co było moje, to było i moich przyjaciół, zawsze. Ale kiedy jakiś cholerny, cuchnący żydowski hołociarz nie chce Amerykaninowi, białemu, zapłacić nawet jednej dziesiątej

części sumki, którą inny Amerykanin, i w dodatku sędzia...

– Więc dlaczego pan mu to sprzedał? – zapytał fryzjer...

– Co? – zapytał Snopes. Fryzjer patrzył na niego bacznie.

– No... to, co starał się pan sprzedać temu samochodowi, zanim pana potrafił.

– Zapal pan cygaro – powiedział Snopes.

XXVII

Proces wyznaczono na dwudziestego czerwca. W tydzień po swojej wizycie w Memphis Horace zatelefonował do pani Reby.

– Chcę tylko wiedzieć, czy ona tam jeszcze jest – powiedział. – Żebym mógł ją ściągnąć w razie potrzeby.

– Ona jest – powiedziała pani Reba. – Ale to ściąganie. Nie podoba mi się. Gliny to ja lubię widzieć u siebie wyłącznie po linii mojego interesu.

– Przyjdzie tylko woźny sądowy – powiedział Horace. – Ktoś, kto jej doręczy to pismo do rąk własnych.

– Więc niech to zrobi listonosz – powiedziała pani Reba. -- I tak-tu przychodzi. I też w mundurze. Wygląda nie gorzej niż odpiardolony na ostatni guzik glina. Niech listonosz to zrobi.

– Nie będzie pani miała kłopotów przeze mnie. Nie narażę pani na żadne przykrości.

– Wiem, że nie. – Głos pani Reby w słuchawce był cienki i skrzeczący. – Nie pozwolę panu na to. Minnie dziś wieczorem dostała ataku spazmów o tego drania, który wziął ją i porzucił, a żeśmy tu siedziały z panią Myrtle, także zaczęłyśmy płakać. Aż musiałyśmy otworzyć nową butelkę dżynu i do ostatniej kropli wypić. Nie stać mnie na takie poczęstunki. Więc niech pan tu nie nasyła żadnych poli-kierów z pismami do nikogo. Niech przedtem pan zatelefonuje, to ja ich oboje wyrzucę na ulicę i tam może pan sobie ich aresztować.

Wieczorem dziewiętnastego znów do pani Reby zatelefonował. Było trochę trudności z przywołaniem jej.

– Wyjechali – powiedziała. – On i ona. Nie czyta pan żadnych gazet?

– Jakich gazet? – zapytał Horace. – Halo! Halo!

– Nie ma ich tutaj, mówię – powiedziała pani Reba. – Nic o nich nie wiem i nie chcę wiedzieć, poza tym kto mi zapłaci za ten tydzień ich...

– Ale nie mogłaby pani dowiedzieć się, dokąd ona wyjechała? Może mi być potrzebna.

– Nic nie wiem i nie chcę wiedzieć – powiedziała pani Reba.

Usłyszał trzask słuchawki. Ale nie rozłączono ich od razu. Usłyszał, jak słuchawka uderza głucho o stół, na którym stał telefon, i jak pani Reba woła: "Minnie! Minnie!" Potem czyjaś ręka podniosła tam słuchawkę i położyła na widelkach. W drucie coś pstryknęło przy jego uchu. I obojętny głos, wypracowany jak obraz Del Sarto, powiedział:

– Pine Bluff. Ską-ńczone. Dzia-nkujęęę!

Proces rozpoczął się nazajutrz. Na stole leżały nie-, liczne przedmioty, przedłożone przez prokuratora o-kręgowego. Kula wyjęta z czaszki ofiary, kamienny gąsior z kukurydzianą whisky.

– Poproszę o zeznanie panią Goodwin – powiedział Horace. Nie obejrzał się, tylko czuł, jak Goodwin patrzy na niego, gdy pomagał kobiecie usiąść w fotelu.

Złożyła przysięgę trzymając dziecko na kolanach. Powtórzyła to wszystko, co Horace'owi opowiadała rankiem po owej nocy, w której zachorowało dziecko. Dwa razy Goodwin próbował jej przerwać i sędzia go uciszał. Horace nie patrzył na Goodwina.

Kobieta skończyła zeznawać. Siedziała wyprostowana, w schludnej, znoszonej szarej sukni z amaran-tową ozdobą na ramieniu, w kapeluszu z pocerowaną woalką. Dziecko na jej kolanach miało oczy zamknięte, leżało nieruchome jak pod narkozą. Przez chwilę ręka jej krążyła przy tej małej twarzyczce, niepotrzebne macierzyńskie zabiegi, bezwiedne, zbyteczne.

Horace podszedł do niej i usiadł. Potem patrzył już wyłącznie na Goodwina. Ale tamten siedział teraz spokojnie, z rękami założonymi, z głową trochę pochyloną, nie na tyle jednak, żeby Horace nie mógł zobaczyć jego nozdrzy woskowo białych z wściekłości na tle smagłej twarzy. Pochylił się ku niemu, zaczął szeptać, ale Goodwin nie poruszył się nawet.

Teraz prokurator stanął przed kobietą.

– Pani Goodwin – powiedział. – Zechce pani podać datę swojego ślubu z panem Goodwinem.

– Wnoszę o uchylenie tego pytania – powiedział Horace wstając.

– Czy oskarżyciel może wyjaśnić, jaki to pytanie ma związek ze sprawą? – zapytał sędzia.

– Wycofuję pytanie, wysoki sędzie – powiedział prokurator i rzucił okiem na ławę przysięgłych.

Gdy sędzia zawiesił rozprawę do dnia następnego, Goodwin powiedział z goryczą:

– No, mówiłaś, że mnie kiedyś zabijesz, ale nie myślałem, że mówiłaś to poważnie. Nie myślałem, że ty...

– Niech pan nie będzie głupi – powiedział Horace. – Czy pan nie widzi, że pańska sprawa jest już wygrana? Że oni już nic nie mogą zrobić, więc tylko usiłują podważyć reputację świadka obrony?

Ale gdy wyszli z więzienia, stwierdził, że kobieta wciąż jeszcze patrzy na niego z jakiejś otchłannej głębi złych przeczuc.

– Nie ma się czym martwić, mówię pani. Może wy lepiej ode mnie znacie się na sprawach whisky czy miłości, ale ja znam się lepiej od was na postępowaniu karnym, niech pani o tym pamięta.

– Nie uważa pan, że popełniłam błąd?

– Mało “nie uważam”, wiem, że pani nie popełniła. Czy pani nie rozumie, że to obróciło wniwecz całą ich argumentację? W najlepszym razie mogą liczyć tylko na różnicę zdań wśród przysięgłych. A i tu mają szansę nawet nie jedną na pięćdziesiąt. Mówię pani, on jutro wyjdzie z więzienia jako wolny człowiek.

– To chyba już czas pomyśleć o tym, żeby panu zapłacić.

– Tak – powiedział Horace. – Dobrze. Przyjdę dziś wieczorem.

– Dziś wieczorem?

– Tak. On jutro może zażądać od pani ponownych zeznań. W każdym razie lepiej przygotować się do tego.

O godzinie ósmej wszedł na podwórko obłąkanej. W murszejących głębinach domu błyskało światło jak świętojański robaczek w gąszczach, ale kobieta nie pokazała się na jego wołanie. Podeszedł do drzwi i zapukał. Usłyszał wykrzykujący coś piskliwy głos; czekał przez chwilę. Już miał zapukać po raz drugi, gdy znów to usłyszał: głos piskliwy i dziki, ale słaby, daleki, jak gdyby to były dźwięki trzcinowej piszczałki z jaskini przywalonej górską lawiną. Okrążył dom brnąc w bujnym, wysokim do pasa zielsku. Drzwi kuchenne stały otworem. Lampa z kloszem zakopconym i zmetniałym napelniała izbę – zbiorowisko niewyraźnych kształtów w zaduchu starego, brudnego ciała kobiecego – nie światłem, tylko cieniem. Łypnęły białka oczu wysoko w małej kulistej głowie, która połyskiwała brązowo nad podartą koszulką gimnastyczną wpuszczoną w spodnie kombinezonu. Wariatka stała za Murzynem przy otwartym kredensie; odwróciła się do

Horace'a, przedramieniem zgarniając sobie z twarzy długie, tłuste włosy.

– Pana kurwa poszła do więzienia – powiedziała. – Gzi j się pan z nią dalej.
– Do więzienia? – zapytał Horace.
– A do więzienia. Tam gdzie mieszkają dobrzy ludzie. Jak się dostanie mażą, to go trzeba trzymać w więzieniu, żeby się nie naprzykrzał. – Z małą, płaską butelką w ręce odwróciła się do Murzyna. – Nuże, kochasiu. Daj mi za to dolara. Masz moc pieniędzy.

Horace wrócił do miasta, do więzienia. Wpuścili go. Wszedł na schody; dozorca zarygłował za nim drzwi.

Do celi wpuściła go kobieta. Dziecko leżało na pryczy. Goodwin siedział przy dziecku; z rękami skrzyżowanymi na piersiach, z nogami wyciągniętymi wyglądał tak, jakby był w ostatnim stadium wyczerpania fizycznego.

– Dlaczego pan tu siedzi naprzeciwko tej szczeliny? – zapytał Horace. – Może lepiej niech się pan zaszyje w kąt i przykryjemy pana siennikiem?

– Przyszedł pan popatrzeć, jak się to stanie? – zapytał Goodwin. – No, słusznie. To należy do pana. Pan obiecał, że nie będę wisiał, prawda?

– Ma pan jeszcze godzinę spokoju – powiedział Horace. – Pociąg z Memphis nie przyjedzie do Jefferson przed ósmą trzydzieści. A on z pewnością jest dość mądry, żeby tu nie zajeżdżał tym swoim kanarkowym samochodem. – Zwrócił się do kobiety. – Ale pani. Miałem o pani lepsze pojęcie. Wiem, że my obaj to głupcy, ale po pani nie spodziewałem się tego.

– Oddaje pan jej przysługę – powiedział Goodwin. – Mogłaby trzymać się mnie aż do czasu, kiedy będzie już za stara na to, żeby sobie złowić jakiegoś porządnego faceta. Jeżeli tylko pan mi przyrzeknie, że dzieciak dostanie plik gazet na sprzedaż, ledwie podrośnie i nauczy się wydawać resztę, mogę być spokojny.

Kobieta już znowu siedziała na pryczy. Dziecko wzięła na kolana. Horace podszedł do niej.

– Idziemy – powiedział. – Przecież nic się nie stanie. On tu jest bezpieczny. I wie o tym. Musi pani iść do domu i przespać się, bo jutro oboje stąd wyjeżdżacie. No już.

– Lepiej, jak tu zostanę – powiedziała kobieta.

– Do diabła, czy pani nie wie, że takie wyczekiwanie nieszczęścia to najpewniejszy w świecie sposób, żeby je wreszcie ściągnąć? Nigdy pani tego nie doświadczyła? Lee wie

o tym. Niechże pan jej każe wyjść stąd.

– Idź, Ruby – powiedział Goodwin. – Idź i połóż się spać.

–• Lepiej, jak tu zostanę – powtórzyła kobieta.

Horace stał przy nich. Kobieta zadumała się nad dzieckiem, nieruchoma, z głową pochyloną. Goodwin oparł się plecami o ścianę, ukrywając brązowe na-pięstki w wypłowiałych rękawach koszuli.

– Teraz pan jest mężczyzną – powiedział Horace. – Prawda? Szkoda, że przysięgli nie mogą widzieć, jak siedzi pan zamknięty w tej betonowej celi i straszy pan kobiety i dzieci pięciorzędymi brukowymi opowieściami o upiorach. Wtedy by wiedzieli, że pan by nigdy nikogo nie zabił. Brak panu tej ikry.

– Lepiej, żeby pan stąd poszedł przespać się – powiedział Goodwin. – Już byśmy oboje spali tutaj, gdyby nie robił pan tyle hałasu.

– Nie. Jak na nas to byłoby za rozsądnie – powiedział Horace.

Wyszedł z celi. Dozorca otworzył mu drzwi i wypuścił go z gmachu. Ale po dziesięciu minutach on wrócił przynosząc jakąś paczkę. Goodwin nie poruszył się. Kobieta patrzyła na niego, kiedy rozwijał to opakowanie. Zawierało butelkę mleka, bombonierkę i pudełko cygar. Dał Goodwinowi jedno z cygar i sobie wziął jedno.

– Pani ma tu jego butelkę? – zapytał.

Kobieta wyciągnęła butelkę z zawiniątka pod pryczą.

– I mleka mam jeszcze trochę – powiedziała. Dodała mleko z kupionej butelki.

Horace zapalił

cygaro i podał ogień Goodwinowi. Gdy znów spojrzał, butelki nie było.

– Czy nie pora na karmienie? – zapytał.

– Ogrzewam ją – powiedziała kobieta.

– Aha – powiedział. Odchylił się z krzesłem do ściany naprzeciwko pryczy.

– Jest miejsce na tym łóżku – powiedziała kobieta. – Będzie panu wygodniej.

Zmieści się pan.

– Nie będzie pani mogła przewinąć dziecka, jeżeli usiądę przy was – powiedział.

– Niech pan posłucha – odezwał się Goodwin. – Niech pan wraca do domu. To przecież bez sensu.

– Mamy coś niecoś do roboty – powiedział Horace. – Jutro prokurator zacznie ją wypytywać. Jedyna jego szansa: obalić w jakiś sposób jej zeznanie. Pan mógłby się

trochę zdrzemnąć, kiedy my to będziemy omawiać.

– Dobrze – powiedział Goodwin.

Chodząc tam i z powrotem po wąskiej celi, Horace pouczał kobietę. Goodwin wypalił cygaro i znów siedział nieruchomo, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, z głową zwieszoną. Zegar nad rynkiem wybił godzinę dziewiątą, a potem dziesiątą. Dziecko zakwiliło, poruszyło się niespokojnie. Kobieta przerwała rozmowę z Horace'em, przewinęła je i nakarmiła butelką, którą wyciągnęła spod pachy. Potem ostrożnie pochyliła się i zajrzała w twarz Goodwinowi.

– Śpi – szepnęła.

– Położymy go? – szepnął Horace.

– Nie. Niech tak zostanie.

Cichutko położyła dziecko przy Goodwinie i przesunęła się na drugi koniec pryczy. Przeniósł tam swoje krzesło. Rozmawiali szeptem.

Zegar wybił jedenastą. Przewidując coraz to nowe ewentualności Horace wciąż jeszcze pouczał kobietę. W końcu rzekł:

– To chyba wszystko. Czy pani to już zapamięta? Jeżeli on zada jakieś pytanie, na które nie będzie pani mogła odpowiedzieć dosłownie tak, jak panią nauczyłem, to proszę przez chwilę po prostu nie mówić nic. Ja wtedy zabiorę głos. Czy pani to zapamięta?

– Zapamiętam – szepnęła.

Sięgając przed nią, wziął z pryczy bombonierkę i otworzył, przy czym cynfolia zatrzeszczała słabo. Wzięła czekoladkę. Goodwin nie poruszył się. Spojrzała na niego, a potem na tę wąską szczelinę okienną.

-- I po co to? – szeptem zapytał Horace. – On nie mógłby dosięgnąć go przez to okno nawet szpilką do kapelusza, a cóż dopiero mówić o kuli. Nie wie pani?

– Wiem – powiedziała.

Trzymała cukierek w ręce. Nie patrzyła na niego.

– Wiem, co pan myśli – szepnęła.

– Co?

– Kiedy pan tam przyszedł do tego domu i nie zastał mnie... Wiem, co pan myśli.

Horace patrzył na nią, na jej odwróconą twarz.

– Powiedział pan dzisiaj, że już czas, żeby zacząć panu płacić.

Patrzył na nią jeszcze przez chwilę.

– Ach – westchnął. – O temporal O mores! O, do diabła! Czy wy, głupie ssaki, nigdy nie zdołacie uwierzyć w to, że ktoś, że każdy... Myślała pani, że ja w tym celu tam przychodzę? Myślała pani, że gdybym miał takie zamiary, czekałbym tak długo?

Spojrzała na niego szybko.

– Nic by pan nie osiągnął, gdyby pan nie czekał.
– Co? Aha. Tak. Ale dziś wieczorem pani by?...
– Myślałam, że właśnie o to...
– Więc teraz pani by to zrobiła? Obejrzała się na pochrapującego Goodwina.
– Och, nie mówię, że w tej chwili – szepnęła... – Ale zapłaci mi pani na żądanie.
– Wiedziałam, że o to panu chodzi. Mówiłam, że my nie mamy... Jeżeli to nie wystarczy, nie wiem, czy mogę mieć do pana pretensję.

– Nie o to chodzi. Pani wie, że nie o to. Ale czy pani nie rozumie, że ktoś mógłby coś zrobić tylko dlatego, że widzi w tym słuszność i nieodzowność, jeżeli ma istnieć harmonia rzeczy?

Kobieta powoli obróciła czekoladkę w ramię.

– Myślałam, że pan jest wściekły z jego powodu.
– Z powodu Lee?
– Nie. Jego – dotknęła dziecka. – Bo musiałabym zabierać go z nami wszędzie.
– Chce pani przez to powiedzieć, że leżałby wtedy na łóżku? A pani by go może przez cały czas trzymała za nogę, żeby nie spadł?

Patrzył jej w oczy poważne, obojętne, zadumane. Zegar na rynku wybił północ.

– Dobry Boże – szepnęła. – Z jakimi mężczyznami miała pani do czynienia?
– Raz już wyciągnęłam Lee z więzienia w ten sposób. I to z Leavenworth. Kiedy wiedzieli, że jest winny.

– Wyciągnęła go pani? – zapytał. – Proszę. Niech pani weźmie inną czekoladkę. Ta już rozgnieciona.

Spojrzała na swoje pobrudzone palce i na miazgę czekoladki. Upuściła ją na pryczę. Horace wyciągnął chustkę do nosa.

– Pobrudzę panu chustkę – powiedziała. – Niech pan zaczeka.

Wytarła palce o zużytą pieluszkę i siedziała znów z rękami splecionymi na kolanach. Goodwin chrapał miarowo.

– Kiedy pojechał na Filipiny, zostawił mnie w San Francisco. Dostałam

tam posadę i mieszkałam w sublokatorskim pokoju, i gotowałam na palniku gazowym, bo mu przyrzekłam. Nie wiedziałam, jak długo jego nie będzie, ale przyrzekłam mu i on wiedział, że dotrzymam. Kiedy zabił żołnierza z powodu tej czarnuchy, nawet o tym nie wiedziałam. Nie miałam od niego listu przez pięć miesięcy. Aż dopiero przypadkiem zobaczyłam starą gazetę, którą wykladałam półkę kredensu tam, gdzie pracowałam, i przeczytałam, że jego pułk wraca do kraju, a kiedy spojrzałam na kalendarz, to był właśnie ten dzień. Przez cały czas prowadziłam się dobrze! A miewałam różne okazje, co dzień okazje z gośćmi z tej restauracji.

Szef nie chciał mnie zwolnić, żebym wyszła na spotkanie tego statku, więc musiałam rzucić posadę. A potem nie pozwolili mi się z nim zobaczyć, nawet nie wpuścili mnie na pokład. Stałam tam, kiedy oni wychodzili ze statku, i wypatrywałam go, i pytałam tych, którzy obok mnie przechodzili, czy nie wiedzą, gdzie on jest, ale tylko kpili sobie ze mnie, pytali, czy mam z nim randkę w ten wieczór, i mówili, że nigdy o nim nie słyszeli albo że on nie żyje, albo że uciekł do Japonii z żoną pułkownika. Próbowałam znowu dostać się na pokład, ale nie wpuszczali. Więc w tamten wieczór wystroiłam się i zaczęłam chodzić po kabaretach, aż wreszcie znalazłam jednego z nich i dałam mu się przygadać, i powiedział mi. Było mi tak, jakbym umarła. Siedziałam tam i muzyka grała, i w ogóle, ten pijany żołnierz mnie obmacywał, a ja tylko zdziwiona, dlaczego się nie puszczam, nie puszczam się z nim, i dlaczego nie jestem pijana, pijana na umór raz na zawsze; i myślałam sobie: dla takiego bydlaka zmarnowałam cały rok. Chyba właśnie dlatego nie puściłam się.

Tak czy inaczej, nie puściłam się. Wróciłam do swojego pokoju i następnego dnia zaczęłam go szukać. I szukałam, a ci dranie mi kłamali, próbowali mnie uwodzić, ale wreszcie dowiedziałam się, że on jest w Leavenworth. Miałam za mało pieniędzy na bilet, więc musiałam znowu wystarać się o posadę. Dwa miesiące pracowałam i odkładałam pieniądze. Potem pojechałam do Leavenworth. Wzięłam posadę kelnerki na nocnej zmianie u Childsa, żeby móc odwiedzać go co drugą niedzielę po południu. Zdecydowaliśmy się wziąć adwokata. Nie wiedzieliśmy, że w sprawie więźnia skazanego przez sąd wojskowy adwokat nie może nic zrobić. Ten nasz nie powiedział mi tego, a ja nie powiedziałam Lee, w jaki sposób go wzięłam. Lee myślał, że mam trochę odłożonych pieniędzy. Żyłam z tym adwokatem przez dwa miesiące, zanim się dowiedziałam, że to na nic.

Potem wojna wybuchła, więc wypuścili Lee i wysłali go do Francji. Pojechałam do Nowego Jorku i zaczęłam pracować w fabryce amunicji. Dobrze się prowadziłam, chociaż w mieście pełno było żołnierzy z pieniędzmi i nawet nędzne zdziury chodziły w jedwabkach. Ale prowadziłam się dobrze. Potem Lee wrócił do kraju i wysłałam na ten statek, żeby go powitać. Ale aresztowali go i odesłali z powrotem do Leaven-worth za zabicie tego żołnierza przed trzema laty. Więc wzięłam adwokata, który namówił jednego posła na Kongres, żeby go wy dostał. Dałam temu adwokatowi także wszystkie pieniądze, jakie miałam odłożone. Więc kiedy Lee wyszedł z więzienia, byliśmy bez grosza. Powiedział, że się pobierzemy, ale nie stać nas było na ślub. I kiedy mu powiedziałam, co z tym adwokatem, zbił mnie.

Znów upuściła rozgniecioną czekoladkę za pryczę i wytarła ręce o pieluszkę. Wybrała z bombonierki jeszcze jedną i zjadła. Jedząc popatrzyła na Horace'a przeciągle, obojętnie, w zadumie. Przez szczelinę okienną przenikała zimna, martwa ciemność.

Goodwin przestał chrapać. Poruszył się i usiadł.

– Która godzina? – zapytał.

– Co? – zapytał Horace. Spojrzał na zegarek. – Pół do trzeciej.

– Musiała mu nawalić kicha – powiedział Goodwin.

Przed świtem sam Horace spał siedząc na krześle. Gdy się obudził, przez okno wpadał poziomo cienki, różowy ołówek słonecznego blasku. Goodwin i kobieta rozmawiali cicho na pryczy. Goodwin spojrzał na Horace'a ponuro.

– Dzień dobry – powiedział.

– Mam nadzieję, że już pan przespał ten swój koszmar – odparł Horace.

– Jeżeli przespałem, to i tak ostatni w moim życiu. Podobno tam nic się nie śni.

– Z pewnością dołożył pan starań, żeby mieć zły sen – powiedział Horace. – Mam nadzieję, że po tym już nam pan uwierzy.

– Uwierzę, do cholery! – zdenerwował się Goodwin, dotychczas taki opanowany, posępnie spokojny, taki niedbały w kombinezonie i w niebieskiej koszuli. – Czy pan naprawdę bodaj przez jedną minutę wyobraża sobie, że ten człowiek pozwoli mi po wczorajszej rozprawie wyjść z celi i przejść na drugą stronę ulicy? Gdzie i między jakimi ludźmi pan żył do tej pory? W pokoju dziecinnym? Ja sam na jego miejscu bym nie pozwolił.

– Niech tylko to zrobi, a wpadnie we własną pułapkę – oświadczył Horace.

– Ale co mnie z tego przyjdzie? Niechże mi pan da...

– Lee – przerwała Goodwinowi kobieta.

– ...powiedzieć. Następnym razem, kiedy zechce się panu grać w kości o czyjaś głowę...

– Lee – powtórzyła

Powoli głaskała go po włosach. Wyrównała mu przedziałek, a potem obciągnęła na nim tę niebieską koszulę bez kołnierzyka. Horace przyglądał się im.

– Czy nie chciałby pan tu zostać dzisiaj? – zapytał cicho. – Mogę to załatwić.

– Nie – powiedział Goodwin. – Rzygać mi się chce od tego. Chcę już raz z tym skończyć. Tylko niech pan powie temu cholernemu zastępcy szeryfa, żeby nie szedł za blisko mnie. A w ogóle to pan i ona powinniście iść na śniadanie.

– Nie jestem głodna – powiedziała kobieta.

– Idź, jak ci mówię – powiedział Goodwin.

– Lee.

– Idziemy – powiedział Horace. – Po śniadaniu może pani tu wrócić.

Na świeżym porannym powietrzu zaczął głęboko oddychać.

– Niech pani napełni płuca – powiedział. – Noc tam w celi mogłaby każdego przyprawić o delirium

tremens. Pomyśleć, że troje dorosłych ludzi... Boże mój, czasami mam wrażenie, że wszyscy jesteśmy dziećmi, z wyjątkiem samych dzieci. Ale dzisiaj to już ostatni dzień. W południe on stamtąd wyjdzie wolny; czy pani zdaje sobie z tego sprawę?

Szli w świeżym blasku słońca pod wysokim pastelowym niebem. Ponad nimi na tle błękitu wysoko płynęły z południowego zachodu tłuste obłoczki i w chłodnych, miarowych podmuchach wiatru drżały i migotały akacje, z których już dawno opadło kwiecie.

– Nie wiem, jak pan dostanie to honorarium – powiedziała kobieta.

– Proszę nie myśleć o tym. Ja już je dostałem. Pani tego nie zrozumie, ale moja dusza terminowała przez czterdzieści trzy lata. Czterdzieści trzy lata. Dwa razy tyle, ile pani ma lat. Więc widzi pani, głupota, tak samo jak nędza, dba o swoich.

– I pan wie, że on... że...

– No, skończmy z tym. Prześniliśmy i ten koszmar także. Bóg jest czasami niemądry, ale przynajmniej jest dżentelmenem. Nie wie pani o tym?

– Zawsze uważałam Go za mężczyznę – powiedziała kobieta.

Dzwon już dzwonił, kiedy Horace szedł przez rynek do sadu. Na rynku stało mnóstwo wozów i samochodów i pod gotyckie sklepienie bramy sunęły powoli tłumy kombinezonów i kurtek khaki. Gdy wchodził na schody, zegar w górze wybijał godzinę dziewiątą.

Szerokie podwójne drzwi na podeście tych zatłoczonych schodów były otwarte. Dolatywały spoza nich nieustanne odgłosy usadawiania się ludzi w sali. Ponad oparciami siedzeń Horace widział głowy – łyse, siwe, kudłate i ostrzyżone nad opalonymi karkami, lśniąca od brylantyny nad miejskimi kołnierzykami i gdzieś tam jakiś damski czepek czy ukwiecony kapelusz.

Szum rozmów i ruchów dolatywał przez drzwi wraz z nieustannym przeciągiem. Ponad głowami tych ludzi powietrze z otwartych okien napłynęło ku Horace'owi falą już przesyconą zapachem tytoniu, stęchłego potu i ziemi, i owym charakterystycznym odorem sal sądowych – owym spleśniałym odorem wygasłych chciwych zachcianek i żądz, zajadłego pie-niactwa i goryczy, wyważonych na szali tej sprawiedliwości w braku lepszej...

Okna wychodziły na balkony w łukach portyku. Wlatujący przez nie wiatr niósł świergotanie wróbli i gruchanie gołębi, które gnieździły się pod okapami, i od czasu do czasu beknięcia klaksonów samochodowych z rynku poniżej – to głośniejsze, to ciszsze przy tym głuchym tupocie nóg na korytarzu i na schodach.

Ława sędziowska była pusta. Po jednej stronie przy długim stole Horace widział czarną głowę Goodwi-na, jego mizerną ogorzałą twarz i szary kapelusz kobiety. Przy drugim końcu stołu siedział dłubiąc w zębach jakiś mężczyzna. Czaszkę jego pokrywała obcisła mycka drobnutko skręconych włosów rzednących na ciemieniu. Miał długi blady nos. Ubrany był w elegancki jasnobrązowy letni garnitur; tuż przy nim na stole leżała elegancka skórzana teczka i słomkowy kapelusz z czerwono-brązową wstążką, a on, dłubiąc w zębach, patrzył leniwie ponad rzędami głów w niebo za oknem. Horace zatrzymał się w drzwiach.

– To adwokat – powiedział. – Żydowski adwokat z Memphis. – Potem patrzył już tylko na tyły głów ponad stołem dla świadków. – Z góry wiem, co zobaczę. Ona będzie. W czarnym kapeluszu.

Ruszył w głąb sali. Zza balkonowego okna, zdającego się koncentrować dźwięki

dzwonu i gardłowe gruchanie gołębi pod okapem, doleciał głos woźnego:

– Posiedzenie Wysokiego Sądu Okręgowego hrabstwa Yoknapatawpha zostaje otwarte zgodnie z prawem...

Tempie rzeczywiście była w czarnym kapeluszu.

Sekretarz sądu dwa razy wywołał jej nazwisko, zanim wystąpiła i usiadła w fotelu świadków. Dopiero po chwili Horace pojął, że sędzia nieco zgryźliwie zwraca się do niego.

– Czy to jest świadek obrony, panie Benbow?

– Tak jest, wysoki sędzie.

– Czy obrona życzy sobie zaprzysiężenia świadka i zaprotokołowania zeznań?

– Tak jest, wysoki sędzie.

Za oknem pod spokojnym gruchaniem gołębi jak w innym świecie buczał głos woźnego – raz po raz buczał uprzykrzony, natrętny, chociaż dźwięk dzwonu już ustał.

XXVIII

Prokurator stanął przed ławą przysięgłych:

– Jako dowód rzeczowy przedkładam ten oto przedmiot znaleziony na miejscu zbrodni.

Trzymał w ręku kaczan kukurydzy. Kaczan wyglądał tak, jakby go zanurzono w ciemnobrązowej farbie.

– Nie przedłożyłem tego dowodu wcześniej, ponieważ jego związek ze sprawą nie był jasny do czasu złożenia przez żonę oskarżonego zeznań, odczytanych przed chwilą na moje zlecenie z protokołu. Usłyszeliście, panowie, również i orzeczenie biegłych, chemika i ginekologa, który, jak panom wiadomo, jest autorytetem w najświętszych sprawach najświętszej rzeczy w życiu, a mianowicie kobiecości... i który twierdzi, że to już nie jest sprawa dla kata, tylko że to wymaga ogniska z benzyny...

– Zgłaszam sprzeciw! – powiedział Horace. – Oskarżyciel usiłuje skierować...

– Sąd się przychyła – powiedział sędzia. – Panie sekretarzu, proszę wykreślić z protokołu zdanie od słów: “który twierdzi, że...” Panie Benbow, może pan polecić przysięgłym, żeby nie brali tego pod uwagę. Do rzeczy, panie prokuratorze.

Prokurator skłonił lekko głowę, po czym odwrócił się do fotela, w którym jako świadek siedziała Tempie. Włosy jej, wymykające się spod czarnego kapelusza w mocno skreconych rudych lokach, wyglądały jak zlepki żywicy. Kapelusz zdobiły sztuczne brylanty. Na obciążonych czarną satyną kolanach leżała platynowa torebka. Spod rozpiętego beżowego płaszcza wystawała fioletowa kokarda na ramieniu. Ręce Tempie trzymała na kolanach nieruchomo, dłońmi do góry. Siedziała z długimi nogami zsuniętymi ukośnie, jedwabście cielistymi, wiotkimi w kostkach, tak że jej czółenka z błyszczącymi klamrami stały jak gdyby puste przy nogach. Ponad rzędami twarzy zastygłych w napięciu, białych niczym sterczące z wody brzuchy śniętych ryb, siedziała tam niedbale i służalczo zarazem, zapatrzona w coś w głębi sali. Twarz miała zupełnie bladą, z dwiema plamami różu, jakby kółka z glansowanego czerwonego papieru naklejono na jej kości policzkowe, i z ustami umalowanymi barbarzyńsko w kształt

doskonałego łuku, też jak jakaś naklejona, symboliczna i zagadkowa wycinanka z purpurowego papieru.

Stanął przed nią prokurator:

– Nazwisko świadka?

Nie odpowiedziała. Lekko przechyliła głowę, jak gdyby zasłaniał jej pole widzenia, i nadal patrzyła na coś w głębi sali.

– Nazwisko świadka? – powtórzył przesuwając się także w kierunku jej spojrzenia.

Poruszyła ustami.

– Głośniej – powiedział. – Śmiało. Nikt pani nie skrzywdzi. Niech ci zacni ludzie tutaj, ojcowie i mężowie, usłyszą to, co ma pani do powiedzenia. Niech naprawią zło, które się pani stało.

Sędzia unosząc brwi spojrzał na Horace'a. Ale Horace nie drgnął nawet. Siedział z głową pochyloną, z rękami zaciśniętymi na kolanach.

– Temple Drake – powiedziała Tempie.

– Wiek?

– Osiemnaście lat.

– Miejsce zamieszkania?

– Memphis – szepnęła prawie niedosłyszalnie.

– Proszę mówić trochę głośniej. Ci ludzie nie skrzywdzą pani. Są tutaj po to, żeby naprawić zło, które zostało pani wyrządzone. Gdzie pani mieszkała przed przybyciem do Memphis?

– W Jackson.

– Ma pani tam rodzinę?

– Tak.

– Kogo? No, niech pani powie tym zacnym ludziom...

– Ojca.

– Matka pani nie żyje?

– Tak.

– Ma pani siostry?

– Nie.

– Jest pani jedyną córką swojego ojca?

Znów sędzia spojrzął na Horace'a i znów Horace nie ruszył się.

– Tak.

– Gdzie pani mieszka od dnia dwunastego maja tego roku?

Słabo przechyliła głowę, jak gdyby chciała zobaczyć coś, co było poza nim, ale przesunął się na linię jej wzroku i przytrzymał jej spojrzenie. Więc udzielała dalej swoich papuzich odpowiedzi wpatrzona znów w niego.

– Czy ojciec pani wiedział, że pani jest tam?

– Nie.

– Myślał, że gdzie pani jest?

– Myślał, że jestem w szkole.

– Więc ukrywała się pani przed nim dlatego, że coś się pani stało, i nie miała pani odwagi...

– Zgłaszam sprzeciw! – powiedział Horace. – To pytanie naprowadza...

– Sąd się przychyła – powiedział sędzia. – Sam już chciałem pana upomnieć, panie prokuratorze, ale obrona z jakiegoś powodu nie zgłaszała sprzeciwu.

Prokurator skłonił głowę w stronę sędziego. Odwrócił się do przesłuchiwanej i znów przytrzymał jej wzrok.

– Gdzie pani była w niedzielę dwunastego maja rano?

– Byłam w tej stajni, w komórce.

Sala zareagowała zbiorowym westchnieniem, syczącym w spleśniałej ciszy. Weszli jacyś nowi ludzie, ale zatrzymali się zbitą gromadką na tyłach. Tempie znów przechyliła głowę. Prokurator podchwycił i przytrzymał jej wzrok. Na pół odwrócony wskazał ręką Goodwina.

– Widziała pani kiedykolwiek przedtem tego człowieka?

Patrzyła na prokuratora i twarz miała zastygłą, bez wyrazu. Z małej odległości jej oczy, dwie plamy różu i usta wyglądały jak pięć bezsensownych przedmiotów na talerzyku mającym kształt serca.

– Proszę patrzeć tam, gdzie pokazuję.

– Tak.

– Gdzie pani go widziała?

– W komórce, w stajni.

– Co pani tam robiła?

- Schowałam się.
- Przed kim się pani schowała?
- Przed nim.
- Przed tym człowiekiem? Niech pani patrzy tam, gdzie pokazuję.
- Tak.
- Ale on trafił do pani?
- Tak.
- Czy był tam ktoś jeszcze?
- Był Tommy. Powiedział...
- Czy był w komórce, czy na zewnątrz?
- Był na zewnątrz, przy drzwiach. Pilnował. Powiedział, że nie wpuści...
- Chwileczkę. Czy pani prosiła go, żeby nikogo nie wpuszczał?
- Tak.
- I on zamknął drzwi od zewnątrz?
- Tak.
- Ale Goodwin wszedł?
- Tak.
- Miał coś w ręce?
- Miał pistolet.
- Tommy usiłował go zatrzymać?
- Tak. Powiedział, że...
- Zaraz. Co on zrobił z Tommym? Wpatrywała się w niego.
- Miał pistolet w ręce. Co zrobił?
- Zastrzelił go.

Prokurator okręgowy odstąpił na bok. Od razu wzrok jej padł w głąb sali i utkwiał tam. Prokurator wrócił i znów stanął przed nią. Przechyliła głowę; podchwycił i przytrzymał jej spojrzenie, po czym podniósł ten splamiony kaczan. Sala zareagowała przeciągłym, syczącym westchnieniem.

- Czy widziała to pani kiedykolwiek przedtem?
- Tak.

Prokurator odwrócił się.

- Wysoki sędzie i panowie przysięgli, słyszeliście tę okropną, niewiarygodną

historię, którą opowiedziała wam ta młoda dziewczyna; widzicie dowód rzeczowy i znacie już orzeczenie lekarskie; nie będę dłużej poddawał tego znękanego, bezbronego dziecka męczarniom... – urwał.

Wszystkie głowy odwróciły się jak jedna i wszystkie oczy patrzyły teraz na człowieka, który kroczył wolno przejściem ku sędziemu. Szedł tak, poprzedzany i odprowadzany powolnym gapieniem się małych białych twarzy i szmerem powoli odwracających się kołnierzyków. Był siwy, starannie uczesany i jego przystrzyżone wąsy wyglądały jak sztabka kutego srebra przy jego ciemnej cerze. Pod oczami tworzyły mu się worki. Miał mały brzusek, schludnie opięty nieskazitelnym płóciennym ubraniem. W jednej ręce trzymał kapelusz panamę, w drugiej cienką czarną laskę. Równym krokiem szedł ku sędziemu-

mu, nie patrząc ani w lewo, ani w prawo, w powolnym wydechu ciszy rozbrzmiałym jak przedłużone westchnienie. Minął fotel świadków bez jednego spojrzenia na siedzącą tam dziewczynę, wciąż jeszcze wpatrzoną w coś w głębi sali; po prostu przeciął linię jej wzroku, jak biegacz zrywa taśmę, i zatrzymał się przed kratkami, ponad którymi sędzia na pół wstał, z rękami na blacie stołu.

– Wysoki sędzie – zapytał ten stary człowiek. – Czy sąd już skończył przesłuchiwać świadka?

– Tak jest, panie sędzio – odpowiedział wysoki sąd. – Tak jest, proszę pana. Czy obrona rezygnuje z...

Powoli ten stary człowiek odwrócił się, wyprostowany ponad powstrzymanym oddechem sali, ponad małymi białymi twarzami, i spojrzał na sześć osób przy stole obrońcy. Za jego plecami dziewczyna w fotelu świadków nie poruszyła się. Jak odurzona siedziała w swoim dziecięcym bezruchu, wciąż wpatrzona poza te twarze w coś w głębi sali. Stary człowiek odwrócił się do niej i wyciągnął rękę. Nie poruszyła się. Sala wytchnęła powietrze, wessała je szybko i znów wstrzymała oddech. A on już dotknął ramienia dziewczyny. Zwróciła ku niemu głowę, puste spojrzenie oczu, w których widać było tylko źrenice nad trzema barbarzyńskimi plamami rózu. Wsunęła dłoń w jego wyciągniętą dłoń i nadal wpatrzona w coś w głębi sali wstała, przy czym platynowa torebka zsunęła jej się z kolan i z cichym trzaskiem upadła na podłogę. Stary człowiek czubkiem swego małego, lśniącego pantofla pchnął torebkę w kąt, gdzie ława przysięgłych łączyła się z trybunałem i gdzie stała spluwaczka, po czym pomógł

dziewczynie zejść z podium. Sala odetchnęła, gdy ruszyli oboje ku drzwiom.

W połowie drogi dziewczyna zatrzymała się znowu, wysmukła w rozpiętym eleganckim płaszczu, z twarzą zastygłą bez wyrazu i z ręką w dłoni starego człowieka; dopiero po chwili dała się poprowadzić dalej.

Szli powoli przez salę przy akompaniamencie powolnego szmeru kołnierzyków – ona i ten stary człowiek wyprostowany u jej boku, nie patrzący ani w lewo, ani w prawo. Potem znów się zatrzymała. Sprężyła się, wygięła do tyłu, spróbowała wyzwolić rękę. Pochylił się ku niej i coś powiedział. Jak urzeczona ruszyła znowu, kurcząc się w poniżeniu. Przed drzwiami sztywno jak na baczność stali czterej młodszy mężczyźni. Stali jak żołnierze, patrząc prosto przed siebie, dopóki nie podszedł do nich ten stary człowiek z dziewczyną. Dopiero wtedy ruszyli się, otoczyli ich dwoje i zbitą gromadką osłaniając dziewczynę poszli do drzwi. W drzwiach znów przystanęli; widać było, jak dziewczyna kuli się i znów sprężyła i przyciska do ściany. Przez chwilę wydawało się, że nie można jej od ściany oderwać, po czym pięciu ich znów zasłoniło ją sobą i znów zbitą gromadką wszyscy razem przeszli przez próg i zniknęli za drzwiami. Sala odetchnęła: zabrzmiało to, jak gdyby nagle zerwał się wiatr. Przeciągłe, wzbierające westchnienie niosło się powoli ponad długi stół, przy którym siedzieli oskarżony i kobieta z dzieckiem, i Horace, i prokurator okręgowy, i adwokat z Memphis – i poprzez ławę przysięgłych ku ławie sędziowskiej. Adwokat z Memphis siedział rozparty i marzycielsko patrzył w okno. Dziecko zakwiliło niespokojnie.

– Cicho – powiedziała kobieta. – Ciiiiii...

XXIX

Narada przysięgłych trwała osiem minut. Gdy Horace wyszedł z sądu, już zmierzchało. Przygotowywano wozy do odjazdu, niektóre do przebycia dwunastu i szesnastu mil wiejskiej drogi. Narcissa w samochodzie czekała na niego. Wyszedł z tłumu kombinezonów powoli, z twarzą ściągniętą i wszedł do samochodu sztywno jak starzec.

- Chcesz jechać do domu? – spytała Narcissa.
- Tak – odpowiedział.
- Do domu tutaj czy do domu na wsi?
- Tak – odpowiedział.

Siedziała przy kierownicy, silnik warczał. Spojrzała na niego; była w ciemnej sukni z surowym białym kołnierzykiem i w ciemnym kapeluszu.

- Więc dokąd?
- Do domu – powiedział. – Wszystko jedno. Po prostu do domu.

Przejeżdżali koło więzienia. Pod murem stała gromada gapiów: wieśniaków i łobuzów, młokosów, którzy przyszli z sądu za Goodwinem i zastępcą szeryfa. Nie opodal bramy stała kobieta w szarym kapeluszu z woalką, trzymając dziecko na ręku.

– Stoi tak, żeby on mógł je zobaczyć przez okno – powiedział. – I czuję zapach szynki w dodatku. Może on będzie jadł szynkę, zanim dojedziemy do domu.

I siedząc w samochodzie obok siostry zaczął płakać. Prowadziła samochód spokojnie, niezbyt szybko. Wkrótce wyjechali z miasta i po obu stronach szosy uciekały równoległe do tyłu przysadziste rzędy młodej bawełny. Na wznoszącym się podejździe jeszcze leżało trochę kwietnego śniegu akacji.

– Trwa – powiedział Horace. – Wiosna trwa. Prawie można by pomyśleć, że w tym jest jakiś cel.

Został na kolacji. Jadł mnóstwo.

- Przygotuję ci pokój – powiedziała siostra dosyć łagodnie.
- Dobrze – powiedział Horace. – To ładnie z twojej strony.

Wyszła. Fotel Panny Jenny stał na podstawie ze specjalnymi nacięciami na kółka.

- To ładnie z jej strony – powiedział Horace. – Chyba wyjdę na dwór zapalić

fajkę.

– Odkąd to nie palisz tutaj? – zapytała Panna Jenny.

– Tak – powiedział. – To było ładnie z jej strony.

Przeszedł przez ganek.

– A ja miałem zamiar tu się zatrzymać.

Patrzył na siebie; patrzył, jak Horace Benbow przechodzi przez ganek, a potem depte śnieg kwiatów akacji pozbawionych już wszelkiej nadziei; wyszedł za żelazną furtkę na żwir szosy. Przeszedł bez mała milę, gdy zwolnił przy nim jakiś przejeżdżający samochód i kierowca zaofiarował się, że go podwiezie.

– Ja tylko wyszedłem na spacer przed kolacją – powiedział Horace. – Zaraz zawracam.

Gdy przeszedł następną milę, widział już światła miasteczka. Jaśniały na niebie słabą luną, niską i skupioną, coraz jaśniejsza w miarę jak podchodził. Z daleka zaczął słyszeć ten hałas i głosy. A potem zobaczył tych ludzi, falę ich rozlewającą się po ulicy i po ponurym płytkim dziedzińcu, nad którym majaczyła kwadratowa, pocięta wąskimi szczelinami okien masa więzienia. Na dziedzińcu poniżej zakratowanego okna stał jakiś mężczyzna bez marynarki i gestykulując przemawiał ochryple do tłumu. W zakratowanym oknie nie było nikogo.

Horace szedł dalej na rynek. Przed hotelem, wśród akwizytorów siedzących przy krawężniku, stał szeryf. Był grubasem o szerokiej twarzy, której tępota kontrastowała z wyrazem zaniepokojenia w oczach.

– Nic nie zrobią – powiedział szeryf. – Za dużo jest gadania. I wrzawy. I za wcześnie. Motloch, kiedy poważnie się do czegoś zabiera, nie gada tyle i nie traci czasu. I nie zabiera się do tego tam, gdzie wszyscy mogą zobaczyć.

Tłum stał na ulicy do późnej nocy. Był jednak zupełnie zdyscyplinowany. Wyglądało to tak, jakby większość tych ludzi przyszła tu, żeby się pogapić, popatrzeć na więzienie i na zakratowane okno, posłuchać człowieka bez marynarki. W końcu on powiedział wszystko, co miał do powiedzenia. I wtedy zaczęli odchodzić, niektórzy znowu na rynek, inni do / domów, aż pod lampą łukową u wylotu rynku została tylko gromadka przy nocnym zastępcy szeryfa

i dwóch zastępcach tymczasowych. Nocny zastępca szeryfa był w jasnym kapeluszu z szerokim rondem, miał latarkę, zegar kontrolny i pistolet.

– Do domu teraz – powiedział. – Już po przedstawieniu. Jużście się zabawili, chłopcy. Teraz do domu spać.

Akwizytorzy siedzieli jeszcze przez chwilę wzdłuż krawężnika pod hotelem. Horace między nimi; pociąg na południe odchodził o pierwszej po północy.

– I oni tak mu to puszcza płazem? – zapytał któryś z akwizytorów. – Ten kaczan kukurydzy? Jakich wy ludzi tutaj macie? Czego im potrzeba, żeby wpadli we wściekłość?

– W moim mieście w ogóle by nie doszło do takiego procesu – powiedział drugi.

– Nawet do uwięzienia tego faceta – powiedział trzeci. – A ona to kto?

– Studentka. Przystojna. Nie widziałeś pan jej?

– Widziałem. Dzieciaczek. O, rany! Ja to bym nie użył kaczana.

Potem na rynku zrobiło się cicho. Zegar wybił godzinę jedenastą; akwizytorzy weszli do hotelu, przyszedł portier Murzyn i zaczął odwracać krzesła, opierając je o ścianę.

– Czeka pan na pociąg? – zapytał Horace'a. •– Tak. Już zapowiadali?

– Przyjdzie na czas. Ale to dopiero za dwie godziny. Może pan się położyć w Salonie Próbek, jeżeli pan chce.

– Mogę?

– Zaprowadzę pana – powiedział Murzyn.

Salonem Próbek nazywano pokój, w którym akwizytorzy pokazywali swoje towary. Stała tam sofa. Horace zgasił światło i położył się na sofie. Widział drzewa i jedno skrzydło gmachu sądu wznoszące się ponad rynkiem cichym i pustym. Ale ludzie nie spali. Wyczuwał czujność, pogotowie tych ludzi w mieście.

– I tak nie mógłbym zasnąć – szepnął do siebie. Usłyszał, jak zegar wybija dwunastą. A potem -

upłynęło może pół godziny, może więcej – usłyszał, jak ktoś przebiega pod oknem. Kroki biegnącego, głośniejsze niż tętent koński, rozległy się echem po pustym rynku o tej spokojnej porze przeznaczonej na sen. I usłyszał teraz już nie odgłosy, tylko coś, co wisiało w powietrzu, w eo zamienił się cichnąc ten tupot.

Na korytarzu w drodze do schodów Horace wcale nie wiedział, że biegnie, dopóki zza którychś drzwi nie doleciały słowa:

– Pożar! To jest...

I dalej już nic, bo tak szybko minął te drzwi.

– Przestraszyłem go – powiedział. – Może jest z Saint Louis i nie przyzwyczajony do tego.

Wybiegł z hotelu na ulicę. Przed nim już biegł, śmiesznie, właściciel hotelu, grubas w spodniach zebranych w garść przy brzuchu, szelki dyndały mu spod nocnej koszuli, potargane pasmo włosów stało dęba nad łysiną. Biegiem minęli hotel trzech inni mężczyźni. Zdawało się, że biegną znikąd, że w pełnym stroju, w pełnym biegu wynurzyli się na ulicy wprost z nicości.

– To pożar – powiedział Horace.

Widział lunę; na tle luny ponurą, dziką sylwetą majaczyło więzienie.

– Ta pusta parcela tam – powiedział właściciel hotelu przytrzymując na sobie spodnie. – Nie mogę iść, bo w recepcji nie ma nikogo...

Horace biegł. Widział, jak inni biegną i skręcają w zaułek za więzieniem; po chwili usłyszał łoskot tego pożaru, wściekły huk benzyny. Skręcił w zaułek. Widział ogień gdzieś pośrodku pustej parceli, na której w dni targowe zostawiano wozy. W blasku płomieni widział podrygujące czarne postacie; słyszał zdyszane okrzyki; przelotnie utworzyła się luka i wtedy zobaczył, jak ktoś, jakiś człowiek, a raczej żywa pochodnia, odwraca się i biegnie, wciąż jeszcze z pięcio-galonową bańką nafty, która wybuchła mu w rękach rozbłyskując jak rakietka.

Wbiegł w tłum, w krąg zamknięty wokół płomiennej masy pośrodku parceli. Z jednej strony tego kręgu rozlegały się wrzaski człowieka, któremu w rękach wybuchła bańka z naftą, ale ze środkowej masy ognia nie dobiegał żaden głos. Nic już tam nie można było rozróżnić, tylko płomienie skręcały się w grzmiące wysokie pióropusze i z tej masy rozpalonej do białości sterczały zamglone, niewyraźne czubki kilku słupów i końce desek. Horace wbiegł między ludzi; trzymali go, ale nie wiedział o tym; mówili, ale ich nie słyszał.

– To jego adwokat.

– To ten, co go bronił. Co się starał o jego uniewinnienie.

– Wrzucicie go także. Jeszcze wystarczy, żeby spalić i adwokata.

– Załatwić tego adwokata tak samo, jak jegośmy załatwili, jak on tę małą. Tylko że my bez kaczana. Ale na pewno już by wolał kaczan.

Horace nie słyszał ich. Nie słyszał wrzasków człowieka, który się zapalił. Nie słyszał ognia, chociaż płomienie nadal wzbijały się wirem, rozhukane, aż wydawało mu

się, że są ogniem spalającym tylko ogień; i jak głos furii we śnie ryczały ciszą ze spokojnej próżni.

XXX

Na pociągi, które zatrzymywały się w Kinston, czekał zawsze pewien staruszek, żeby odwozić pasażerów ze stacji swoją siedmioosobową taksówką. Był szczupły, miał szare oczy i szare wąsy o wypomadowanych końcach. Był synem jednego z pierwszych osadników w dawnych czasach, zanim miasto nagle rozkwitło jako ruchliwy ośrodek sprzedaży drewna, właścicielem plantacji, ziemianinem. Utracił majątek przez chciwość i łatwowierność, po czym kupił dorożkę i niezmienny, ze swoimi wąsami o wypomadowanych koń-

each, w cylindrze i w znoszonym tużurku dla księżę _Albert, kursował tam i z powrotem pomiędzy miastem i stacją, opowiadając agentom handlowym, jak to niegdyś przewodził towarzystwu w Kinston; obecnie je przewoził.

Gdy minęła, era koni, kupił samochód i nadal wyjeżdżał na każdy pociąg. Nadal miał wąsy o wypomadowanych końcach, chociaż zamiast cylindra nosił już cyklistówkę, a zamiast tużurka popielaty garnitur w czerwone paski, uszyty przez Żydów w czynszowej dzielnicy Nowego Jorku.

– No, przyjechał pan – powiedział, gdy Horace wysiadł z pociągu. – Niech pan wstawi walizkę do wozu. – Usadowił się przy kierownicy. Horace usiadł obok niego na przednim siedzeniu. – O jeden pociąg pan się spóźnił.

– Spóźniłem się? – zapytał Horace.

– Ona przyjechała dziś rano. Odwiozłem ją do domu. Pana żonę.

– Aha – powiedział Horace. – Jest w domu? Kierowca zapuścił silnik, włączył tylny bieg i zawrócił. To był dobry, mocny, zwrotny samochód.

– A pan myślał, że kiedy ona przyjedzie?... Jechali.

– Słyszałem, że spalili tego faceta tam, w Jefferson. Pan to widział pewnie.

– Spalili – powiedział Horace. – Spalili. Słyszałem o tym.

– Dobrze mu tak – powiedział kierowca. – Musimy chronić nasze dziewczęta. Nam samym mogą się przydać.

Skręcili w boczną ulicę. Był tam narożnik pod lampą łukową.

– Tu wysiądę – powiedział Horace. – Nie będzie pan musiał zakręcać.

– Jak pan sobie życzy – powiedział kierowca. – Za to pan przecież płaci.

Horace wysiadł i wyciągnął z samochodu walizkę; kierowca nie ruszył się, żeby mu pomóc. Samochód

pojechał dalej. Horace podniósł walizkę – tę, która przez dziesięć lat leżała w szafie u siostry i którą zabrał do domu w mieście wtedy rano, gdy siostra zapytała go o nazwisko prokuratora okręgowego.

Jego willa była nowa, stała na sporym trawniku wśród topoli i klonów, przez niego tu zasadzonych też niedawno. Podchodząc zobaczył różowe story w oknach pokoju żony.

Wszedł od tyłu, podszedł do jej drzwi i zajrzał do pokoju. Leżała na łóżku czytając szeroki magazyn z kolorową okładką. Światło lampy padało przez różowy abażur. Na stoliku stało otwarte pudełko czekoladek.

– Wróciłem – powiedział Horace. Spojrzała na niego sponad magazynu.

– Zamknąłeś tylne drzwi? – zapytała.

– Tak, wiedziałem, że jej nie będzie – powiedział Horace. – Czy ty dzisiaj...

– Czy ja co?

– Do Małej Belle. Czy telefonowałaś?...

– Po co? Jest tam na wsi, bawi się. I czemużby miała tam nie pojechać? Czemużby miała psuć sobie plany, odrzucić zaproszenie?

– Tak – powiedział Horace. – Wiedziałem, że jej nie będzie. Czyś ty...

– Rozmawiałam z nią przedwczoraj wieczorem. Idź i zamknij tylne drzwi na klucz.

– Tak – powiedział Horace. – Z nią wszystko w porządku. Oczywiście. Ja tylko...

Telefon stał na stoliku w ciemnym hallu. Był to numer linii wiejskiej; połączenie zabrało trochę czasu. Horace siedział przy telefonie. Wchodząc do domu nie zamknął tylnych drzwi. Nadlatywał z tamtego końca hallu lekki, błędny, niepokojący wietrzyk letniej nocy.

– Noc jest ciężka dla starych ludzi – powiedział Horace cicho, ze słuchawką w ręce. – Letnie noce są ciężkie dla starych ludzi. Jakoś trzeba temu zaradzić. Ustawą.

Belle zawołała do niego ze swojej sypialni głosem nieco zduszonym, jak zwykle gdy się woła leżąc:

– Dzwoniłam do niej przedwczoraj wieczorem. Czy musisz jej zawracać głowę?

– Wiem – powiedział Horace. – Ja niedługo.

Ze słuchawką w ręce patrzył na drzwi, przez które wpadał ten błędny i drażniący powiew. Zaczął cytować coś z jakiejś dawno czytanej książki:

“Spokoju coraz mniej! Spokoju coraz mniej!”

Słuchawka telefonu ożyła.

– Halo! Halo! Belle? – zapytał.

– Słucham? – głos jej był niski i słaby. – Co się stało? Czy coś złego?

– Nie, nie – powiedział. – Chciałem ci tylko powiedzieć “Halo!” i dobranoc.

– Co powiedzieć? Co to? Kto mówi?

Ze słuchawką przy uchu siedział w ciemnym hallu.

– To ja, Horace, Horace. Chciałem tylko... Usłyszał odgłosy szamotania i oddech Małej Belle.

A potem czyjś głos, męski głos:

– Halo, Horace. Pozwól, że ci przedstawię...

– Cicho – głos Małej Belle był niski i słaby. I znów Horace usłyszał, jak oni się tam szamoczą, aż ucichli oboje, jakby im zabrakło tchu.

– Przestań – odezwała się Mała Belle. – To Horace! Mieszkam u niego!

Trzymał słuchawkę przy uchu. Głos Małej Belle był zdyszany, a przecież spokojny, chłodny, rozsądny i obojętny.

– Halo, Horace. Mama dobrze się czuje?

– Tak. Czujemy się dobrze. Chciałem ci tylko powiedzieć...

– Aha! Dobranoc!

– Dobranoc! Dobrze się bawisz?

– Tak, tak. Jutro napiszę. Czy mama dostała dziś mój list?

– Nie wiem. Ja dopiero co...

– Może zapomniałam go wysłać. Ale jutro już nie zapomnę. Jutro napiszę. Czy to wszystko, o co ci chodziło?

– Tak. Chciałem ci tylko powiedzieć...

Odłożył słuchawkę; usłyszał, jak telefon martwieje. Światło z pokoju żony rzuciło smugę przez hali.

– Zamknij na klucz tylne drzwi – przypomniała.

XXXI

Gdy Wytrzeszcz jechał do Pensacola w odwiedzinach do matki, aresztowano go w Birmingham za zamordowanie policjanta w małym miasteczku w stanie Alabama siedemnastego czerwca tego roku. Aresztowano go w sierpniu. To właśnie w nocy siedemnastego czerwca Tempie minęła Wytrzeszcza, siedzącego w samochodzie zaparkowanym przy podmiejskiej knajpie – tamtej nocy, gdy Rudy został zabity.

Co rok latem Wytrzeszcz jeździł do matki. Mówił jej, że jest nocnym portierem w jednym z hoteli w Memphis.

Jego matka była córką kierownika pensjonatu. Jego ojciec był zawodowym łamistrajkiem, którego najęła dyrekcja komunikacji miejskiej w czasie strajku w roku tysiąc dziewięćsetnym. Jego matka pracowała wtedy w domu towarowym w śródmieściu. Przez trzy wieczory wracała z pracy tramwajem siedząc przy motorniczym, to znaczy ojcu Wytrzeszcza. Czwartego wieczora, gdy wysiadła z tramwaju na rogu swojej ulicy, łamistrajak wysiadł także i odprowadził ją do domu.

– A nie zwolnią pana? – zapytała.

– Kto niby? – zapytał łamistrajak.

Szli obok siebie. On był szykownie ubrany.

– Zaraz by mnie przyjęli tamci. Dyrekcja też to wie.

– Kto by pana przyjął?

– Ci strajkujący. Guzik mnie obchodzi, dla kogo prowadzę ten wóz. Jasne? Tak samo dobrze mogę dla tych, jak dla tamtych. Ale już wolę dla tych, żeby co wieczór jeździć tą trasą.

– Serio pan mówi?

– No, pewnie. Wziął ją pod ramię.

– Mnie to się zdaje, że i ożenić się może pan tak samo z tą, jak z tamtą?

– Kto pannie powiedział? – zapytał. – Czy te bękarty już coś na mnie naszczeły?

W miesiąc później oznajmiła mu, że muszą się pobrać.

– Jak to, musimy? – zapytał.

- Nie mam odwagi im powiedzieć. Powinnam wyjechać. Nie mam odwagi.
- No, szkoda nerw. Dla mnie to bez różnicy. I tak muszę przejeżdżać tędy co wieczór.

Pobrali się. Wieczorem przejeżdżał koło rogu. Dzwonił wtedy, naciskając pedał dzwonka w tramwaju. Czasami przychodził do domu. Dawał jej pieniądze. Podobał się jej matce; przychodził do domu w niedzielę w porze obiadowej, porykiwał i mówił po imieniu wszystkim mieszkańcom pensjonatu, nawet starym. A potem pewnego dnia przestał przychodzić. Dzwonek już nie dzwonił, gdy tramwaj przejeżdżał koło rogu. Strajk się skończył. Na Boże Narodzenie dostała od niego pocztówkę – obrazek z dzwonkiem i wytłoczonym połączonym wianuszkiem – z jakiegoś miasta w stanie Georgia. Na odwrocie wiadomość:

“Chłopaki starają się urządzić to tutaj. Ale tu okropnie ślamazarny naród. Chyba dalej będziemy jeździć, dopóki się nie wstrajkujemy w jakie przyzwoite miasto, ha, ha, ha.”

Słowo “wstrajkujemy” było podkreślone.

W trzy tygodnie po ślubie zaczęła niedomagać. Była wtedy w ciąży. Nie poszła do lekarza, bo pewna stara Murzynka powiedziała jej, dlaczego jest źle. Wytrzeszcz urodził się w Boże Narodzenie, akurat wtedy, gdy przysłała ta pocztówka. Na początku my-

siali, że jest niewidomy. Potem stwierdzili, że widzi, ale do czterech lat nie nauczył się chodzić ani mówić. Tymczasem drugi mąż jej matki, mały, zatabaczony człeczyna z obwisłymi, bujnymi wąsami, który plątał się po domu naprawiając połamane schodki, przeciekające rury i inne takie rzeczy, wyszedł kiedyś po południu, żeby czekiem podpisanym przez żonę in blanco zapłacić dwanaście dolarów rzeźnikowi. Nie wrócił już. Podjął z banku tysiąc czterysta dolarów żoninych oszczędności i zniknął.

Ona wciąż jeszcze pracowała w śródmieściu, a dzieckiem opiekowała się jej matka. Raz po południu jeden z pensjonariuszy wracając do domu zastał swój pokój w płomieniach. Wygasił ogień; w tydzień później zobaczył, że z jego kosza do śmieci unosi się gęsty dym. Dzieckiem opiekowała się babka. Nosila je ze sobą wszędzie. Raz wieczorem nie można jej było znaleźć. Cały dom przetrząsnęto. Któryś z sąsiadów nacisnął sygnał przeciwpożarowy i wreszcie strażacy znaleźli babkę na strychu, gdy zadeptywała płonąca garść wełny drzewnej pośrodku podłogi; dziecko spało na starym, nie używanym materacu.

– Te bękarty chciały się dostać do niego – powiedziała staruszka. – Podpalili dom.

Nazajutrz wyprowadzili się wszyscy pensjonariusze.

Młoda kobieta zrezygnowała z pracy. Ciągle siedziała teraz w domu.

– Powinnaś wychodzić trochę na powietrze – powiedziała babka.

– Mam dosyć powietrza – zaprotestowała córka.

– Mogłabyś wychodzić i kupować jedzenie – powiedziała matka. – Mogłabyś kupować je taniej.

– Dostajemy je dostatecznie tanio – powiedziała córka.

Pilnowała wszystkich kominków; nie chciała w domu trzymać zapalek. Chowala je w niewielkich ilościach za cegłą w murze od zewnątrz. Wytrzeszcz miał Wtedy trzy lata. Wyglądał na roczne dziecko, chociaż

jadał zupełnie dobrze. Lekarz polecił karmić go jajkami gotowanymi w oliwie. Pewnego dnia po południu chłopiec ze sklepu spożywczego, wjeżdżając na rowerze w alejkę, wpadł w poślizg i przewrócił się. Coś pocięło z paczki.

– To nie jajka – powiedział chłopiec. – Widzi pani?

To była butelka z oliwą.

– Powinna pani kupować oliwę w puszkach, jednakże – powiedział chłopiec. – Dla niego przecież bez różnicy. Przywiozę pani drugą butelkę. I powinna pani kazać naprawić tę furtkę. Chce pani, żebym sobie na niej kark skręcił?

O szóstej jeszcze się nie pokazał. Było lato; w domu nie było ognia, ani jednej zapalki.

– Wychodzę na pięć minut – powiedziała córka. Wyszła z domu. Babka odprowadziła ją wzrokiem,

Potem owinęła dziecko w lekki koc i też wyszła z domu. Ta boczna ulica prowadziła na główną ulicę. gdzie kwitł handel i gdzie zatrzymywali się po drodze bogaci ludzie w limuzynach, żeby załatwić sprawunki. Gdy babka dochodziła do rogu, przy krawężniku stanął samochód. Wysiadła jakaś kobieta i weszła do sklepu, pozostawiając za kierownicą szofera Murzyna. Babka podeszła do samochodu.

– Pół dolara – powiedziała. Murzyn spojrział na nią.

– Wiele?

– Pół dolara. Chłopiec zbił butelkę.

– Aha – powiedział Murzyn. Sięgnął do kieszeni. – I jak ja mam wyjść na swoje, kiedy pani pobiera tutaj? Ona panią tu przysłała po te pieniądze?

– Pół dolara. Zbił butelkę.

– To ja już chyba wejdę do sklepu – powiedział Murzyn. – Widzi mi się, że wy, ludzie, zamiast tak pobierać pieniądze, powinniście pilnować, żeby klienci takie dawne jak my dostawali w waszym sklepie, co należy.

– Pół dolara – powtórzyła.

Dał jej pół dolara i wszedł do sklepu. Oczekała chwilę. Potem położyła dziecko na siedzeniu w samochodzie i poszła za Murzynem. To był sklep samoobsługowy i klienci w ogonku przesuwali się wolno wzdłuż bariery. Murzyn stał za tą białą kobietą, która wysiadła z samochodu. Odwracając się kobieta dała Murzynowi do niesienia kilka buteleczek z sosami i zup w kostkach.

– To już jeden dolar dwadzieścia pięć centów – powiedziała babka.

Murzyn dał jej pieniądze. Wzięła je, minęła tamtych dwoje i przeszła przez sklep. Zobaczyła butelkę importowanej oliwy włoskiej z podaną ceną.

– Jeszcze mam dwadzieścia osiem centów – powiedziała.

Poszła dalej patrzeć na ceny, dopóki nie znalazła czegoś, co kosztowało dwadzieścia centów. Było to siedem kawałków mydła kąpielowego. Z dwiema paczkami wyszła ze sklepu. Na rogu stał policjant.

– Nie mam zapalek – powiedziała. Policjant pogrzebał w kieszeni.

– Dlaczego nie kupiła pani zapalek tam w sklepie?

– Zapomniałam po prostu – odpowiedziała. – Pan wie, jak to jest, kiedy się kupuje z dzieckiem.

– Gdzie jest dziecko? – zapytał policjant.

– Przehandlowałam je tam – odpowiedziała.

– Powinna pani występować w wodewilu – powiedział policjant. – Ile pani chce tych zapalek? Mam tylko parę.

– Wystarczy jedna – odpowiedziała. – Nigdy nie rozpalam ognia więcej niż jedną.

– Powinna pani występować w wodewilu – powiedział policjant. – Zrobiłaby panu furorę, aż by się strop zawalił.

– I zrobię, że się zawali – powiedziała. – Zawali się.

– Gdzie? – spojrzał na nią. – Chyba w przytułku dla ubosich?

– Zawali się – powtórzyła. – Jutro pan przeczyta w gazetach. Mam nadzieję, że dobrze wydrukują moje nazwisko.

– A jak się pani nazywa? Calvin Coolidge?

– Nie, proszę pana. Tak się nazywa mój chłopak.

– Aha. I dlatego ma pani tyle kłopotu z zakupami, prawda? Powinna pani występować w wodewilu... Czy dwie zapalki wystarczą?

Straż ogniowa dostała już trzy wezwania pod ten £ adres, więc teraz za czwartym razem się nie spieszyła. Pierwsza przybiegła córka. Drzwi zastała zamknięte, a gdy wreszcie strażacy przyjechali i wywalili je, dom był już wypalony. Babka wychylała się w kłębach dymu z okna na piętrze.

– Te bękarty – mówiła. – Myśleli, że się do niego dobiorą. Ale im powiedziałam: “Ja wam pokaże.” – Tak im powiedziałam.

Matka myślała, że Wytrzeszcz także zginął. Krzyczała rozpaczliwie i musieli ją trzymać, gdy babka – z wrzaskiem zniknęła w dymie i łupina domu się zawaliła; tam właśnie znaleźli ją, owa kobieta z samochodu i policjant niosący dziecko – znaleźli młodą matkę, która z obłędem na twarzy, z ustami rozdziawionymi, powoli oburącz odgarniając włosy z czoła, patrzyła na dziecko tak, jakby go nie poznawała. Już nigdy nie przyszła do siebie całkowicie. Ciężka praca, brak świeżego powietrza i rozrywek i wreszcie choroba – spadek po jej przelotnym mężu, złożyły się na to, że ów wstrząs nie minął bez śladów i nieraz jeszcze jej się wydawało, że dziecko zginęło, chociaż trzymała je w ramionach i nuciła mu.

Wytrzeszcz równie dobrze mógł umrzeć. Włosy zaczęły mu rosnąć dopiero, gdy miał pięć lat i chodził do przedszkola dla dzieci niedorozwiniętych; był za mały na swój wiek, słaby i żołądek miał tak delikatny, że przy najmniejszym odchyleniu od diety przepisanej mu przez lekarza dostawał konwulsji.

– Alkohol zabiłby go jak strychnina – powiedział doktor. – I on nigdy nie będzie mężczyzną w pełnym

tego słowa znaczeniu. Pod odpowiednią opieką pożyje jeszcze przez jakiś czas. Ale nigdy nie będzie dojrzały, niż jest teraz.

Mówił to kobiecie, która znalazła Wytrzeszcza w swoim samochodzie tamtego dnia, gdy jego babka podpaliła dom, i która zapewniła Wytrzeszczowi tę stałą opiekę lekarską. W święta i czasem w dni powszednie po południu przywoziła go do siebie do

domu, gdzie bawił się sam. Kiedyś postanowiła wydać dla niego dziecinne przyjęcie. Powiedziała mu o tym, kupiła mu nowe ubranko. Nadeszło to popołudnie, zaczęli się schodzić goście, ale Wytrzeszcza nigdzie nie było. Szukając go służąca stwierdziła, że drzwi łazienki są zamknięte od wewnątrz. Wołali do niego, nie odpowiadał. Posłali po ślusarza, ale zanim ślusarz przyszedł, przerażona kobieta kazała wyłamać drzwi siekierą. W łazience nie zastali nikogo. Okno było otwarte. Wychodziło na niższy dach, z którego do samej ziemi zwieszała się rynna. Ale Wytrzeszcz zniknął. Na podłodze stała klatka dwóch papużek nierozłączek; przy klatce leżały oba ptaszki i zakrwawione nożyczki, którymi on pociął je żywcem.

W trzy miesiące później, na naleganie sąsiada matki, Wytrzeszcza zabrano i umieszczono w domu poprawczym. Pociął bowiem w taki sam sposób małego kociaka.

Matka była chronicznie chora. Utrzymywała się z szycia i innych robót, jakie jej dawała kobieta, która przedtem okazała tyle dobroci jej dziecku. Wytrzeszcz po zwolnieniu z zakładu – gdzie sprawując się nienagannie przebywał pięć lat i został uznany za zupełnie wyleczonego – pisywał do matki dwa, trzy razy na rok najpierw z Mobile, potem z Nowego Orleanu, potem z Memphis. Rokrocznie latem przyjeżdżał do niej – zamożny, spokojny, szczupły, czarny i nieprzystępny w swoich obcisłych czarnych ubraniach. Mówił jej, że pracuje jako portier nocny w hotelach i że jego zawód wymaga, by przenosił się z miasta do miasta jak doktor czy adwokat.

Jadąc do matki tego lata został aresztowany za zabicie kogoś w jakimś mieście o tej samej godzinie, kiedy w innym mieście zabił kogoś innego. Ten człowiek, który robił pieniądze i nie miał na co ich wydawać ani trwonić, ponieważ wiedział, że alkohol zabiłby go jak trucizna, który nie miał żadnych przyjaciół i który nie zaznał kobiety i wiedział, że jej nie zazna nigdy – został aresztowany i powiedział:

– Rany boskie!

Rozejrzał się po celi więzienia w miasteczku, gdzie zabito owego policjanta, po czym wolną ręką (drugą był skuty z policjantem, eskortującym go z Birmingham) wyskubał z kieszeni marynarki papierosa.

– Niech on wezwie swojego adwokata – powiedzieli. – I niech zrzuci ten ciężar z serca. Chcesz pan zadepeszować?

– Nie – odpowiedział, spojrzeniem zimnych, miękkich oczu ogarniając pryczę, okienko wysoko w ścianie, zakratowane drzwi, przez które padało światło z korytarza.

Zdjęli mu te kajdanki; wydawało się, że jego ręka wykrzesuje płomyk z powietrza. Zapalił papierosa i cisnął zapalną ku drzwiom.

– Po co mi adwokat? W życiu nie byłem tutaj... Jak się nazywa ta dziura?

Powiedzieli mu.

– Zapomniałeś, co?

– Teraz już nie zapomni – powiedział drugi z nich.

– Chyba że do rana przypomni sobie nazwisko swojego adwokata – powiedział pierwszy.

Odeszli, a Wytrzeszcz na pryczy palił papierosa. Słyszał trzaskanie drzwi. Od czasu do czasu słyszał głosy dolatujące z innych cel. Gdzieś przy końcu korytarza śpiewał jakiś Murzyn. Wytrzeszcz leżał na pryczy i nogi w połyskliwych, czarnych, małych bucikach miał skrzyżowane.

– Rany boskie – powiedział.

Nazajutrz rano sędzia zapytał go, czy chce mieć adwokata.

– Po co? – odpowiedział sędziemu. – Mówiłem im wczoraj wieczorem, że nigdy w życiu tu nie byłem. Nie podoba mi się wasza dziura tak znów bardzo, żebym miał bez powodu sprowadzać tu jeszcze kogoś obcego.

Sędzia i szeryf porozmawiali ze sobą na stronie.

– Lepiej niech oskarżony wezwie swojego adwokata - powiedział sędzia.

– Dobrze, już dobrze! – powiedział Wytrzeszcz. Odwrócił się i rzucił pytanie: – Który tam z was, najmimordy, chciałby na jeden dzień roboty?

Sędzia zastukał w stół. Wytrzeszcz znów odwrócił się do niego, lekko wzruszając wąskimi ramionami, robiąc ręką ruch ku kieszeni, w której miał papierosy. Sędzia wyznaczył obrońcę, młodego adwokata, świeżo upieczonego.

– I żadnym zwolnieniem za kaucją nie będę sobie zawracał głowy – powiedział Wytrzeszcz. – Skończcie już raz z tą zabawą.

– Ja bym i tak oskarżonego nie zwolnił – powiedział sędzia.

– Nie? – zapytał Wytrzeszcz. – Więc dobrze, Jack – powiedział adwokatowi.

– Rób pan swoje. Powinienem już być w Pensacola.

– Proszę zabrać oskarżonego z powrotem do więzienia – polecił sędzia.

Ten adwokat miał brzydką twarz pełną zapału i powagi. Terkotał bez przerwy z ponurym entuzjazmem, podczas gdy Wytrzeszcz w kapeluszu nasuniętym na oczy leżał

na pryczy i palił papierosa, nieruchomy jak wygrzewający się w słońcu gad, tyle że miarowo podnosił papierosa do ust. W końcu odezwał się:

- Słuchaj no pan. Przecież ja to nie sędzia. Jemu pan powiedz to wszystko.
- Ale muszę...
- No, pewnie. Im pan to powiedz. Ja nie o tym nie wiem. Nawet nie było mnie przy tym. Idź pan stąd i wyspaceruj to z siebie.

Proces trwał jeden dzień. Gdy zeznawali świadkowie – policjant, kolega zabitego, sprzedawca papierosów i telefonistka – i gdy obrońca odpierał te zeznania żalną mieszaniną niezdarnego entuzjazmu i gorliwości, i kiepskiego rozeznania, Wytrzeszcz, rozparty na krześle, patrzył w okno ponad ławą przysięgłych. Od czasu do czasu ziewał; robił raka ruch ku kieszeni, w której miał papierosy, po czym zatrzymywał ją i kładł na czarnym suknie ubrania, niedużą, kształtną, bezduszną woskową jak ręka lalki.

Narada przysięgłych trwała osiem minut. Stanęli, popatrzyli na niego i orzekli, że jest winny. Znieruchomiały patrzył na nich w tęym milczeniu przez długą chwilę.

- No, rany boskie – powiedział.
- Sędzia raptownie stuknął młotkiem; policjant dotknął ramienia Wytrzeszcza.
- Wniosem apelację – bełkotał adwokat miotając się przy nim. – Będę z nimi walczył we wszystkich instancjach.
 - No, pewnie – powiedział Wytrzeszcz. Leżał teraz na pryczy i zapalał papierosa.
- Ale nie tutaj. Zjeżdżaj pan. Zażyj pan jakąś tabletkę.

Prokurator okręgowy już nakreślił plany w związku z apelacją.

- To poszło za łatwo – powiedział. – On to przyjął... Widzieliście, jak on to przyjął? Jak gdyby słuchał piosenki i nie chciało mu się zastanowić, czy jest miła, czy niemiła, a sędzia akurat wtedy mówił, za ile dni skręcą mu kark. Prawdopodobnie on ma adwokata w Memphis, który pod drzwiami wyższej instancji czeka tylko na depezę. Ja ich znam. Właśnie tacy bandyci od tak dawna wystawiają sprawiedliwość na pośmiewisko, aż dochodzi do tego, że nawet kiedy uzyskujemy wyrok skazujący, wszyscy wiedzą, że ten wyrok się nie uprawomocni.

Wytrzeszcz wezwał dozorcę i dał mu banknot studolarowy. Chciał mieć przybory do golenia i papierosy.

- Resztę pan zatrzymaj i daj mi znać, kiedy zabraknie.
- Wedle mnie, to pan już niedługo będzie u mnie palił – powiedział dozorca. –

Weźmie pan sobie tym razem dobrego adwokata.

– A nie zapomnij pan o tej wodzie kwiatowej •– powiedział Wytrzeszcz. – Ed Pinaud. – Wymawiał E d P a j n u d.

Szare było lato, nieco chłodne. Nikły blask dnia rzadko kiedy docierał do celi i tylko światło palące się przez cały czas na korytarzu wpadało szeroką białą mozaiką, dosięgając jego nóg na pryczy. Dozorca przyniósł krzesło dla niego. Służyło mu za stół; leżał tam jego zegarek za dolara i obok kartonu papierosów stała wyszczerbiona miska do zupy pełna niedopałków, a on leżał na pryczy paląc i w zadumie przyglądając się swoim nogom, i tak mu przechodził dzień za dniem. Połysk butów zmatowiał; ubranie bardzo się pogniotło, bo w kamiennej celi było chłodno i nie rozbierał się ani na chwilę.

Jednego dnia dozorca powiedział:

– Poniektórzy mówią, że ten glina aż się prosił, żeby go zabić. Zrobił parę grubszych świństw i ludzie o tym wiedzą.

Wytrzeszcz w kapeluszu nasuniętym na twarz palił papierosa. Dozorca powiedział:

– Może oni nie wysłali tej pana depeszy. Chce pan, żebym wysłał panu drugą?

Oparty o kraty, widział buty Wytrzeszcza, jego nieruchome, szczupłe czarne nogi, przechodzące w wąty zarys leżącego ciała, kapelusz nasunięty krzywo na odwróconą twarz, papieros w małej dłoni. Buty były w cieniu dozorcey, w cieniu, który padał stamtąd, gdzie dozorca przesłaniał kratę. Po chwili dozorca odszedł po cichu.

Gdy Wytrzeszczowi zostało sześć dni, dozorca zaofiarował się, że mu przyniesie czasopisma i talię kart.

– A po co? – zapytał Wytrzeszcz.

Uniósł głowę i po raz pierwszy spojrział na dozorcę oczami tak okrągłymi w gładkiej, bladej twarzy i tak miękkimi jak gumowe czubki strzał do dziecinnych łuków. Potem znów położył się na wznak. Odtąd co dzień rano dozorca wpychał przez drzwi zwiniętą gazetę. Gazety upadały na podłogę i leżały tam gromadząc się z dnia na dzień, rozwijając się i spłaszczając jedna pod drugą.

Gdy zostały już tylko trzy dni, przyjechał pewien adwokat z Memphis. Nieproszony wpadł do celi. Przez cały poranek dozorca słyszał jego głos podniesiony w perswazji, w gniewie i tłumaczeniu; w południe głos był zachrypnięty, cichy, prawie jak szept.

– Będzie pan tu tak leżał i dawał się...

– Mam wszystko, co trzeba – powiedział Wytrzeszcz. – Nie wzywałem pana.

Pilnuj pan swojego nosa.

– Wisieć pan chce? O to chodzi? Chce pan w ten sposób popełnić samobójstwo?

Robienie forsy aż tak pana zmęczyło, że... Pan, najsprytniejszy...

– Raz już powiedziałem. Dosyć o was wiem.

– Pan, żeby dał to sobie przypisać jakiemuś małemu sędziemu pokojowi?! Kiedy wrócę do Memphis i powiem im, przecież mi nie uwierzą.

– Więc im pan nie mów.

Leżał przez jakiś czas, gdy adwokat przyglądał mu się zawiedziony, wściekły, pełen niedowierzania.

– Te cholerne prowincjały – powiedział Wytrzeszcz. – Rany boskie!...

Zjeżdżaj pan stąd, no! – powiedział. – Przecież panu mówię. Mam wszystko, co trzeba.

W poprzedzający wieczór wszedł do celi pastor.

– Pozwolisz mi pomodlić się z tobą, synu? – zapytał.

– No, pewnie – powiedział Wytrzeszcz. – Wal pan. I nie zwracaj pan na mnie uwagi.

Pastor ukląkł przy pryczy, na której Wytrzeszcz leżał paląc papierosa. Po chwili pastor usłyszał, jak Wytrzeszcz wstaje, przechodzi przez celę i wraca. Gdy

podniósł się z klęczek, Wytrzeszcz znów paląc papierosa leżał na pryczy. Pastor spojrzał tam, gdzie przedtem słyszał Wytrzeszcza, i zobaczył u podstawy ściany dwanaście kresek, jak gdyby działek, nakreślonych spaloną zapalką. Dwie działki były pełne niedopałków ułożonych równo rząd za rzędem. W trzeciej leżały dwa niedopałki. Przed odejściem zobaczył jeszcze, jak Wytrzeszcz znów tam idzie, zdusza następne dwa i kładzie je starannie przy tamtych.

Pastor powrócił o świcie, ledwie minęła godzina piąta. Wszystkie działki były wypełnione niedopałkami z wyjątkiem dwunastej. Ta ostatnia była wypełniona w trzech czwartych. Wytrzeszcz leżał na pryczy.

– Idziemy? – zapytał.

– Jeszcze nie – powiedział pastor. – Spróbuj się pomodlić, synu. Spróbuj.

– No, pewnie – powiedział Wytrzeszcz. – Wal pan.

Pastor znów ukląkł. Usłyszał raz, jak Wytrzeszcz wstaje z pryczy, idzie przez celę i

wraca. O pół do szóstej przyszedł dozorca.

– Przyniosłem... – Urwał. Niemo wyciągnął zaciśniętą garść przez kratę. – Reszta dla pana z tych stu dolarów, co pan nie... Przyniosłem... Czterdzieści osiem dolarów zostało. Zaraz, jeszcze policzę. Nie wiem dokładnie, ale mogę dać panu spis... te kwitki...

– Zatrzymaj to – powiedział nie poruszając się Wytrzeszcz. – Kup sobie kółko do poganiania patykiem.

Przyszli po Wytrzeszcza o szóstej. Pastor go prowadził, podtrzymywał pod łokieć, a potem stał przy podwyższeniu i modlił się, gdy oni naciągnęli Wytrzeszczowi pętlę na lśniąca od brylantyny głowę, targając mu włosy. Wytrzeszcz miał ręce związane, więc zaczął szarpać głową, żeby odrzucić włosy do tyłu, tylko że zaraz spadały znowu na twarz; pastor modlił się, a oni z głowami pochylonymi stali na swoich miejscach i nie ruszali się.

Więc Wytrzeszcz zaczął raz po raz wysuwać podbródek.

– Pssst! – syknął i to syknięcie wwierciło się w pomruki pastora. – Pssst!

Szeryf spojrział na niego; wtedy on przestał wysuwać podbródek i stał sztywno, jak gdyby musiał utrzymać na głowie jajko.

– Popraw mi włosy, Jack! – powiedział.

– Oczywiście – powiedział szeryf. – Poprawię ci włosy.

I nacisnął sprężynę klapy.

Szary był dzień, szare lato, szary rok. Na ulicy widziało się starych ludzi ubranych ciepło, a w Ogrodzie Luksemburskim, gdy Tempie i jej ojciec przechodzili, kobiety, siedzące tam z robótkami na drutach, były w szalach, i nawet mężczyźni, którzy grali w krokiet, nie zdejmowali marynarek i czapek; pod kasztanami w smutnym półmroku suche trzaski kuł krokietowych i przypadkowe okrzyki dzieci miały w sobie ową jesienność, ową żalność oporu, jaki jeszcze stawiało lato. Spoza kręgu pseudogreckiej balustrady, gdzie tłumy spacerowały w szarej jasności o tej samej barwie i konsystencji co woda spadająca z fontanny do basenu, dolatywał miarowy łomot muzyki. Szli dalej, minęli basen, nad którym staruszek w zniszczonym brązowym palcie bawił się z dziećmi puszczaniem małych stateczków, weszli znów między drzewa i usiedli. Natychmiast ze zgrzybiałą skwapliwością podeszła do nich jakaś stara kobieta i pobrała cztery sows za krzesła.

W muszli orkiestra w błękitnych mundurach wojskowych grała Masseneta,

Skriabina, Berlioza, mających w tym wykonaniu smak pajdy czerstwego chleba posmarowanej cieniutką warstewką udręczonego Piotra Czajkowskiego, a na muszlę i na posępne muchomory wielkich parasoli mokrym połyskiem z gałęzi osuwał się zmierzch. Huczne dźwięki dętych instrumentów rozbrzmiewały i cichły w tym gęstym zielonym zmierzchu, hucznymi smutnymi falami przelewając się nad Tempie i jej ojcem. Tempie przysłoniła usta dłonią i ziewnęła, po czym wyjęła puderniczkę i otworzyła miniaturowe odbicie swojej twarzy nadąsanej i smutnej. Obok niej siedział ojciec, ze sztywną sztabką wąsów oszronioną srebrnie kropelkami wilgoci, z rękami na główce laski. Zamknęła puderniczkę i spod nowego eleganckiego kapelusza zapatrzyła się w przestrzeń, jak gdyby ściagała wzrokiem fale muzyki, które w cichnym brzęku instrumentów dętych ulatywały ponad basen i przeciwległe półkole drzew, tam gdzie oddzielone od siebie ciemnością dumwały spokojne martwe królowe z brudnobiałego marmuru, i dalej, w niebo pochylone, pokonane, w objęciach pory deszczu i śmierci.